

**Stanisław Lem**

# **DyLEMaty**

**2003**

**Polityczne roszady**

**Niepokoje**

Nad zamiarami politycznymi Putina łamią sobie głowy wszyscy, w Ameryce i w Europie, nic bowiem właściwie o nich nie wiadomo.

Rzeczowe informacje czy choćby sugestie zastępowane są albo domysłami, często wewnętrznie sprzecznymi, albo co najwyżej opowieściami o jego biografii, z powoływaniem się na opinie dawnych kolegów czy współpracowników z KGB. Wszyscy dość bezradnie powtarzają: On nie ma politycznego ani ekonomicznego programu! Tak, ale ma za sobą wyborami i nastrojami zjednoczonych Rosjan. Nie napawa mnie to niczym innym jak niepokojem.

Słysząc czasem — uważam to na poły za mit — że u schyłku Sowietów istniały w KGB dwie tendencje: jedna bardziej liberalna i skłonna może nie do łagodności, ale przynajmniej do pomiarkowania, usytuowana w pobliżu Andropowa, i druga, bardziej sroga. Putin miałby wywodzić się z tych łagodniejszych. Swoją popularność zyskał dość nagle, na gruzach Groźnego i całej Czeczenii. Wojna stała się dlań wyrzutnią na polityczną orbitę. Rozkaz, by zniszczyć „czeczeńskich terrorystów”, a także jego loty do ruin czeczeńskiej stolicy, nakładanie i zdejmowanie hełmu pilota myśliwskiego — bardzo mu w starcie pomogły. Znaczna liczba Rosjan wynagradzała sobie bowiem, i to od dawna, brak osobistej wolności i dobrobytu świadomością, że stanowi element imperium.

Wschód Putina rozpoczął się nie tylko od wyrzutni ludobójstwa czeczeńskiego, ale także od ukazu czyniącego Jelcyna i jego rodzinę nietykalnymi, wraz ze wszystkim, co zdążyli wchłonąć, zasymilować i wywieźć z Rosji. Nie jest to miły start i nie napawa człowieka ogromnym zaufaniem. Wiemy też o jego pracy jako rezydenta KGB w Niemieckiej Republice Demokratycznej; było to bardzo ciekawe miejsce, w którym można się było nauczyć wszystkiego, oprócz tego, czym jest demokracja.

Ludzie rozsądni, jak pani Madeleine Albright, mówią: zobaczymy, co Putin teraz zrobi. A jego słowa są dość gładkie i zdają się wskazywać nie najgorszy kierunek. Innym dla jego akceptacji wystarczy sam fakt, że stanął naprzeciw Ziuganowa, czyli tak zwanych autentycznych komunistów. Dość roztropności wykazuje w swych wypowiedziach Clinton: dał do zrozumienia, że byłoby przyjemnie i zacie dla świata, gdyby Putin ruszył Rosję ku demok-

racji i zbliżeniu z Zachodem, ale ze zbytnim entuzjazmem się wstrzymał. Clinton jest już jednak u schyłku swej prezydentury. Sytuacja, w której miesiące tylko dzielią urzędującego prezydenta od niewątpliwego opuszczenia urzędu, zawsze naznaczona jest pewną chwiejnością i niepewnością polityczną. W kontekście zmian w Rosji nie jest to szczęśliwe.

Co Putin myśli o sprawach gospodarki? Ośmielę się powiedzieć: nic nie myśli, ponieważ zupełnie nie wie, co w tej dziedzinie zrobić. Tajemniczość jego jest milczeniem niewiedzy, a nie postawą chytrze zaczajonego do skoku tygrysa. Sytuacja Rosji — a polityka splata się tu z ekonomią — nie jest, jak wszyscy wiedzą, wesoła. Globalny dochód narodowy w stosunku do ostatnich lat sowieckich (a nie były one najlepsze) spadł o trzydzieści kilka procent. Do tego przeciętny wiek mężczyzny wynosi dziś 58 lat, a Rosjan jest już mniej niż 150 milionów.

Grupa plutokratów rosyjskich, którzy nie całkiem legalnie zawłaszczyli dużą część niosących doraźne zyski elementów gospodarki rosyjskiej, zaczęła nagle odczuwać przeszechy, trochę jak doktor Frankenstein (przypominam, że — wbrew temu, co się często sądzi — Frankenstein to nie ów straszny trup, ale doktor, co trupa ożywił). Ten czy ów zaczął się najwyraźniej obawiać, czy nie dozna pod nowymi rządami uszczerbku majątkowego.

Próba zdeptania tego, co się tli — a tli się wciąż porządnie, jak torfowiska, które w latach siedemdziesiątych zaczęły dymami całą Moskwę — w Czeczenii, będzie zajmowała Rosjan przez dłuższy czas. Są tacy, którzy twierdzą, że wojna partyzancka może trwać całe lata. Teraz, na oczach świata, trudniej wygubić cały naród aniżeli w latach stalinowskich. Trzeba to robić szyto–kryto. A tendencje odśrodkowe pojawiają się i na innych obszarach; islamsko–muzułmańska ludność rejonów kaukaskich, choć gęsto poprzerastana Rosjanami, miałyby dużą ochotę usamodzielniać się, i zapewne duży wysiłek centrum będzie musiał zostać skierowany na przeciwdziałanie tym procesom.

Towarzyszy temu niezbyt jeszcze wyraźna skłonność, by odzyskać co się tylko da dla wskrzeszanego imperium, nikt jeszcze nie powiedział wprost, że Rosja zamierza dążyć do powrotnego zawłaszczenia na przykład Ukrainy, byłoby to jednak wielkim krokiem ku wzmożeniu niebezpieczeństwa grożącego naszemu krajowi.

Słyszę, że ku czci Putina jeden z postsowieckich okrętów podwodnych wystrzelił transkontynentalną rakietę, oczywiście bez głowicy atomowej. Taki gest symboliczny powinien mieć dla nas znaczenie. Słowa moje są bezsilne i bez skutku realnego, choćby się ukazały Bóg wie na jakich łamach, ale chciałbym, by zanikły w naszym społeczeństwie przeświadczenia, wedle których najstraszniejszymi szkodnikami dla Polski są duchy zabitych dawno Żydów... Należałoby się trochę zainteresować tym, co się dzieje za naszą wschodnią granicą, która niebezzasadnie nazywa się „wschodnią ścianą”; zawsze to oznaczało miejsce, za którym dalej nie ma już nic, głową w mur.

Sąsiadów sobie nie zmienimy, a Polska położona jest — to przykre — między dwoma wulkanami: niemieckim, zachodnim, i rosyjskim, wschodnim. Wulkan rosyjski cicho bulgoce, wulkan niemiecki szczęśliwie wygaś, krater jego jest martwy, choć równocześnie ze strony Niemców nie powinniśmy już oczekiwać żadnych specjalnych przywilejów, jak w erze Kohla. Przeciwnie, okazują oni sporą gotowość, aby nas nie dostrzegać. Gotowość ta nasuwa skojarzenia z Rapallo, na razie tylko *in potentia*, ale czułki wysuwane przez polityków niemieckich

w stronę Moskwy dostrzec można wyraźnie. Socjaldemokrata Schröder bardzo by chciał troszeczkę się odkochać w Polsce i mocniej się zakochać w Rosji.

Widać przy tym różnicę między tym, co mówią politycy lub ich rzecznicy, którym wyraźnie zależy na ugłaskaniu i przypochebieniu się Rosji, a tonem prasy niemieckiej; znajdziemy tam wiele łagodnego, ale jednoznacznego zaniepokojenia. Putin przecież nieomal z dnia na dzień z szarego oficera KGB stał się prezydentem, a fakt, że w wyborach wystąpił przeciwko partii komunistycznej, o niczym jeszcze nie świadczy. Kiedy się jednak w mediach światowych, a zwłaszcza zachodnioeuropejskich, śledzi opinie na temat Putina i jego stosunku do Zachodu, odnosi się wrażenie, jakby Rosja na dość szerokim froncie graniczyła bezpośrednio z Niemcami i jakby nic takiego jak Polska w ogóle nie istniało. Nie powinna to być sytuacja przyjemna dla czterdziestomilionowego państwa. Niewczesne oczywiście byłoby przypominanie słów Mołotowa o pokracznym bękarcie traktatu wersalskiego, nic szczególnego nam na razie nie grozi, istnieją jednak środki nacisku, których Rosja może użyć, a nie wskazuje na to, by Putin był szczególnym zwolennikiem dogadywania się i współdziałania z nami, choćby tylko w zakresie ekonomii.

Głównym zadaniem rozkawałkowanej polskiej klasy politycznej nie powinno być dziś poszukiwanie okazji, by Rosjanom przypominać ich winy wobec nas, choć o tych winach zapominać nie należy. Przyszłość polityczną powinno się rozważać w zakresie strategicznych scenariuszy najgorszego wyjścia. Piękna pogoda nie wymaga specjalnych przygotowań z naszej strony, mogą jednak zdarzyć się burze. Powinniśmy działać ostrożnie, kontynuować współpracę ekonomiczną, a równocześnie uniezależniać się w miarę możliwości, przede wszystkim w dziedzinie dostaw nośników energii, z gazem na czele.

Wiem, że to zgrzytliwie zabrzmiało, ale wyrażam moje osobiste przekonanie: aczkolwiek inicjatywa ludzi, którzy stworzyli pismo „Nowaja Polska”, i szlachetny niewątpliwie wysiłek Jerzego Pomianowskiego jako naczelnego redaktora są bardzo znaczne i godne uznania, jest to jednak pismo skierowane do takiej części elit intelektualnych Rosji, które mają dziś równie zmikroskopowany wpływ na sytuację polityczną, jak polskie elity twórcze.

Putinińska już Rosja święci triumf absolutnego zwycięstwa nad „terrorystami”, choć podgryzany przez walczącą wciąż czeczeńską partyzantkę. Polskę źle się traktuje w centrum i w okolicach, ponieważ ośmielamy się sympatyzować z Czeczenami. Takie odruchy jak apel o zaprzestanie wojny czeczeńskiej, wystosowany w grudniu 1999 roku przez Czesława Miłosza, Wisławę Szymborską i kilka innych osób, potraktowano u nas jako akcję polityczną o pewnym ciężarze gatunkowym. Ja natomiast uważam, że okres, w którym takie manifesty mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie, dawno minął. Nawiasem mówiąc, podjętą przez grupę przedstawicieli intelektualno—kreacyjnej czołówki krajowej próbę lansowania kandydatury Olechowskiego na urząd prezydenta także uważam za nieporozumienie; to jest cofanie się mentalne do lat mniej więcej siedemdziesiątych, kiedy tego rodzaju deklaracje miały jakąś wagę polityczną. Owszem, apel w sprawie Czeczenii sam z poczucia obowiązku podpisałem, powiedziałem jednak przez telefon Miłoszewi, że w moim przekonaniu nie jest to nawet akcja wagi piórkowej. Bezpowrotnie minęła epoka magicznej wiary w moc słowa wypowiedzianego wbrew cenzuralno—politycznym zasadom.

We wszystkich krajach, które wydobyły się spod protektoratu czy wpływów kolonialnych sowieckich, daje się dostrzec chęć, żeby się od przeszłości wyraźnie oddzielić. Nie tylko w Polsce słycać głosy, by „wszystko, co komunistyczne, wypalać rozżarzoną żelazną łopatką”. Skądinąd jednak wiemy, że i w Europie Zachodniej działają nadal legalne ruchy komunistyczne, mają więc jakieś oparcie. W rosyjskiej Dumie komuniści stracili wprawdzie większość bezwzględna, ale silna frakcja komunistyczna nadal istnieje.

W polityce działanie i mówienie rozszczepionym językiem jest rzeczą normalną i, niestety, zasadną. Wewnątrzpolityczne wysiłki nie powinny być dziś kierowane na to, by pogrążyć Kwaśniewskiego, zwłaszcza że ponad siedemdziesiąt procent Polaków chce go ponownie wybrać. Obawiam się, że i ja na niego zagłosuję, ponieważ lepszego kandydata nie widzę, a mimo wszystkich jego niewątpliwych obciążeń i wad może mu być łatwiej — w imieniu Polski oczywiście i w jej interesie — dogadać się nie tyle nawet z Putinem, ile z ekipą, którą on dopiero stawia na nogi; wiadomo, że będzie się ona składać z ludzi wyselekcjonowanych z zaplecza KGB. Nie uważam Kwaśniewskiego za cudownego zaklinacza, który Rosjan pod Putinem potrafi udobruchać, ale sądzę, że jeżeli ktoś coś zrobić tutaj potrafi, to bardziej on niż kto inny.

Bilans tego, co Putin odziedziczył po Jelcynie, nie napawa obawami na najbliższą przyszłość. Nic okropnego zrobić nam w tej chwili nie mogą, ale tendencja wydaje się niezdrowa. Trudno się spodziewać, że Rosja będzie nam sprzyjać. Osobiście mam tam wielu przyjaciół, dlatego przykro mi to mówić, tym bardziej że kulturę i naukę rosyjską bardzo poważam, ale one są tylko trybami zębatymi w olbrzymim mechanizmie. Mechanizm ten mocno jest wprawdzie rozkojarzony, ale do jego skojarzenia, wzmocnienia i zespolenia ekipa Putina będzie z wolna dążyć, nawet w sposób brutalny.

Na Zachodzie widać wyraźną chęć, aby Rosję wspomagać i popierać. Musiałaby ona uczynić coś znacznie okropniejszego aniżeli zniszczenie całego narodu kaukaskiego, by od tej linii odstąpiono. A są też inne obszary: nie wiemy, czy i jakie będą stosunki Rosji putinowskiej z komunistycznymi Chinami. Sytuacja jest więc wielozakresowo niepewna. Brzydko to zabrzmiało, ale chaos w Rosji był dla nas korzystniejszy aniżeli próby sprawniejszego rządu tym krajem.

Na Wschodzie nie wylania się jakaś szczególna postkomunistyczna formacja, obserwujemy raczej późne czkawki pocarskie. Nie czas na nasilanie antykomunistycznej nagonki, co wcale nie znaczy, że trzeba ukochać komunę czy postkomunę. Najważniejsze jest to, co będzie dobre dla Polski, a nie to, co jest dobre dla AWS czy SLD. Niestety, muszę zgodzić się z Karolem Modzelewskim, który powiedział niedawno, że orientacja AWS jest w gruncie rzeczy historyczna: oni jadać w przyszłość, spoglądając wstecz.

Nie musimy się obawiać nagłych i gwałtownych pogorszeń naszego statusu suwerenności, ale opierać się całym ciężarem na naszej przynależności do Paktu Północnoatlantyckiego też nie wystarczy. Nie nawołuję, by każdy zdejmował zaraz ze ściany halabardę, miecz i koncerz, ale nie trzeba oczu zamykać na niepokojące fakty.

2000

**Sferomachia**

Zmartwiło mnie oświadczenie nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, że zaniechany wcześniej pomysł strategicznej obrony przeciwrakietowej musi koniecznie wprowadzić w życie. Chodzi bowiem o krok podobny do wielkich poruszeń technologicznych, gdzie od pewnego etapu nie ma już odwrotu.

Sekretarz obrony Donald Rumsfeld na konferencji w Monachium oświadczył dość sceptycznym przedstawicielom NATO, że wdrożenie systemu obrony antybalistycznej jest amerykańskim imperatywem, idzie bowiem o konstytucyjną odpowiedzialność prezydenta. Rzecz obraca się na razie w sferze retoryki, ponieważ nie rozdysponowano dotąd żadnych środków finansowych, a badania sprowadzają się do gier wojennych.

W „Heraldzie” przeczytałem relację o takiej grze, obejmującej „działania wojenne w przestrzeni zewnętrznej”, czyli po prostu w Kosmosie. Brało w niej udział dwustu pięćdziesięciu specjalistów. Przez cztery dni dwie strony, Czerwoni i Niebiescy, znajdowały się na granicy wojny gorącej. W pewnej chwili Czerwoni usiłowali przy pomocy nienuklearnych pocisków zniszczyć instalacje wojskowe równocześnie na Hawajach i na Alasce, by w ten sposób zagwoździć obronę antyrakietową. Następnie rozpoczęli atak informatyczny na wszystkie komputery amerykańskie.

Fachowcy byli małowówni, jeśli chodzi o szczegóły, gotowi jednak wyjawić pewne konkluzje. W przyszłej ofensywnej obronie i zadawaniu przewencyjnych ciosów przeciwnikowi ogromną rolę odgrywać mają symulowane na razie bronie, jak osłona przeciw rakietom i lasery antysatelitarne, a także wahadłowce kosmiczne oraz inne orbitalne pojazdy. Pan Hegstrom, który był dyrektorem tych gier, dodał, że mowa o sytuacji z roku 2017, kiedy realizować się będzie to, do czego się już teraz przygotowujemy; dotyczy to więc kolejnego prezydenta, nie Busha, nawet gdyby ten rządził przez dwie kadencje.

Przeczytawszy powyższe, sięgnąłem po moją powieść *Fiasko*, gdzie napisałem mniej więcej tak: Jeżeli dochodzi do równowagi stron w konflikcie, wówczas któraś ze stron usiłuje przebić pułap. Za pułap fazy przedkosmicznej można uznać stan, w którym każda ze stron potrafi zarówno zlokalizować, jak zniszczyć środki przeciwnika. U krańca tej fazy zostają narażone na zniszczenie zarówno balistyczne pociski globalnego zasięgu, umieszczone w skorupie planetarnej, jak wszystkie ruchome wyrzutnie na lądach, a nawet na jednostkach pływających.

W tak powstałej równowadze wzajemnego rażenia najczulszym ogniwem staje się system łączności, wyprowadzony w próżnię satelitami rozpoznania i śledzenia, czyli dalekiego zwiadu, a kluczowa jest oczywiście więź tych satelitów ze sztabami i środkami bojowymi. Ażeby i taki system wyprowadzić spod zaskakującego uderzenia, które go rozerwie lub oślepi, tworzy się następny system, wyższego orbitalnego rzędu. Mamy więc rodzaj sferomachii, która zaczyna się rozpręzać. Im więcej jest satelitów jednej i drugiej strony, tym wrażliwsza na destrukcję staje się ich łączność z naziemnymi sztabami. Sztaby usiłują wyjść spod tego zagrożenia. Jak morskie wyspy są niezatapialnymi lotniskowcami w erze walk konwencjonalnych, tak najbliższy glob, a więc Księżyc, może się stać niezniszczalną bazą dla tej strony, która go pierwsza zawładnie militarnie. Ponieważ Księżyc jest tylko jeden, każda ze stron usiłuje się pierwsza na nim ulokować.

Jedyną optymalną strategicznie reakcją na posiedzenie potencjału rozerwania łączności przez adwersarzy jest udzielanie własnym broniom w Kosmosie rosnącej autonomii bitewnej. Powstaje sytuacja, w której wszystkie sztaby znają daremność scentralizowanych operacji dowódczych. Równowaga jest coraz bardziej chwiejna: jeżeli raz dojdzie do frontального konfliktu między satelitami, które zostaną oślepienie albo zniszczone, wtedy, jak płomień w czasie pożaru stepu, przeczuci się on na samą planetę.

Działa tu tak zwany efekt zwierciadła: każdy czyni drugiemu to, co mu niemiłe, rwąc mu łączność, i w zamian otrzymuje odpłatę analogiczną. Po zmaganiach o celność i moc balistycznych pocisków przychodzi zmaganie o osłonę łączności. Pierwsze było gromadzeniem środków destrukcji i tylko groźbą ich użycia. Drugie zmaganie jest wojną łącznościową, czyli informacyjną. Bitwy o rwanie łączności są realne, choć nie pociągają za sobą ani zniszczeń, ani krwawych ofiar.

Mamy więc najpierw próg czołowego zderzenia sił na planecie, następną fazą zaś jest militaryzacja Kosmosu. Rzecz najbardziej kluczowa: z tego rodzaju wyścigu od Pewoermentu nie można się już wycofać.

Patrzac realistycznie: za prezydenta Clintona robiono już próby z obroną przeciwrakietową, dwie byty daremne, trzecia się powiodła, ale w sposób trochę oszukańczy. Nie ma na razie ani środków technicznych, ani rozwiązań pro—jektotwórczych, ani pieniędzy: to nawet nie pobrzękiwanie szabelką, raczej uderzanie łyżką w rondel. Już za prezydentury Reagana fachowcy uznali próby zestrzeliwania większej liczby rakiet raketami za beznadziejne. Całkiem ostatnio mówi się, że Amerykanie mają do dyspozycji gigantyczny naziemny laser. Problem w tym, że na powierzchni Ziemi przeszkadza działanie pochłaniające atmosfery. Na—prasza się jako obiektywna strategiczna konieczność wprowadzenie na orbitę okołozemską laseronośnych satelitów. Ze stacjonarnej orbity w odległości 36 tysięcy kilometrów można niezłe obserwować tak zwaną fazę *boostu*: start rakiety, kiedy płomień odrzutu jest największy. Trafienie laserowe jest wtedy możliwe, mogłoby dotyczyć niewielkiej liczby równocześnie startujących rakiet.

Ilość rakiet, jakimi w roku 2017 mogą dysponować takie państwa jak Korea Północna albo Chiny, jest jednak zupełnie nieobliczalna. Potencjalni przeciwnicy nie będą przecież siedzieli z założonymi rękami i czekali amerykańskiego zmiłowania. W dodatku głowice bojowe można imitować i strona odpierająca atak nie zdoła stwierdzić, że chodzi tylko o atrapy, inaczej niż strzelając do nich. Zużyje w ten sposób szybko swój defensywny potencjał.

Koszta, jakie pociąga za sobą przebijanie pułapu, o jakim pisałem w swojej powieści, są olbrzymie. I nie ma mowy, by przeciwnik, domyślny albo rzeczywisty, zachował się jak gracz w pokera, który nie musi koniecznie przebijać puli, bo zawsze może wstać od stołu. Tutaj wstać od stołu się nie da, nadchodzi nieuchronnie eskalacja mocy, na którą trudno wpłynąć powściągająco. Zupełnie nie wiadomo, jak by się można było wycofać, kiedy się już wprowadzi satelity na orbity. Teoretycznie możliwa jest oczywiście zmiana układu sił światowych, kontrrewolucja w Chinach i tak dalej, są to jednak okoliczności nieobliczalne politycznie ani militarnie.

Zarówno prezydent, jak i czcigodny starzec Rumsfeld, piękna lady Condoleezza Rice oraz generał Powell zgodnie twierdzą, że pomysł jest świetny. Jedyny głos rozsądku, jaki dotychczas znalazłem, był głosem amerykańskiego czytelnika „Heralda”: w liście do redakcji

uznał cały koncept za nonsens, którego efekty będą odwrotnie proporcjonalne do wieluset miliardów dolarów rzuconych w błoto. Istotnie: chodzi o inwestycję rzędu setek miliardów dolarów, gdyby okazała się daremna, byłoby to dosyć koszmarnie. Ktoś tymczasem napisał złośliwie: wyobraźmy sobie pana, który przyjeżdża do Stanów Zjednoczonych z walizeczką zawierającą kilkadziesiąt probówek z wirusami. Wcale nie musi strzelać raketami w Kapitol, wystarczy, że zawartość probówek wpuści do waszyngtońskiego systemu wodociągowego.

Ze sferomachii należy zejść na ziemię. Różne warianty realizacji tak zwanej strategicznej inicjatywy obronnej USA były już wielokrotnie analizowane na łamach naukowych i fachowych periodyków amerykańskich. Wszystkie te próby i projekty ujawniały daremność owej koncepcji.

Jedyny sens, jaki może ocaleć przy jej realizacji, to zmuszenie ewentualnych przeciwników USA do uczestniczenia w samobójczej licytacji satelitarno-rakietowej mocy. Podobna licytacja przyniosła już rezultaty, w postaci osłabienia potencjału ZSRR, i przyczyniła się do jego upadku. Wszelako wznowienie takiego wyścigu byłoby niesłychanie kosztowne dla wszystkich antagonistów i urzeczywistnienie powiedzenia „nim gruby schudnie, chudy zdechnie” mogłoby wprowadzić świat w nieprzewidywalnie groźne położenie. Dlatego istotniejsza od przywołanych przez Rumsfelda konstytucyjnych obowiązków prezydenta wydaje się w tym przypadku maksyma: *Impossibilium nulla obligatio*.

2001

## **Strasziwa lekcja**

Fachowcy powiadają, że operacja taka musiała być nadzwyczaj starannie opracowana pod względem logistycznym i że przygotowywano ją co najmniej od kilku miesięcy. Musiano użyć sił znajdujących się na terenie Stanów Zjednoczonych, nie zdołałby jej bowiem poprowadzić ktoś, kto przyjeżdża w ostatniej chwili. To, że wszystko, z jednym wyjątkiem, poszło tak bezbłędnie, wynika z dokładnego opracowania bardzo elastycznych scenariuszy. Wytypowano określone cele: Pentagon jako ośrodek militarny, World Trade Center, a więc ośrodek gospodarczy, w którym nie do zastąpienia są nie tyle jego bliźniacze wieże, ile rozmaici specjaliści i dane, wreszcie Biały Dom — siedziba samego prezydenta. Tylko w tym ostatnim przypadku zamiar się nie powiódł.

W każdym samolocie oprócz Bogu ducha winnych pasażerów znalazło się kilku porywaczy, fanatycznych amatorów samobójstwa, spośród których co najmniej jeden był wyszkolony w Stanach Zjednoczonych w pilotowaniu takiej właśnie maszyny. Specjalnie wybrano samoloty obsługujące możliwie najdłuższe połączenia wewnątrzamerykańskie i tym samym posiadające maksymalny ładunek paliwa. Kaskady płonącej benzyny spłynęły wewnątrz wieżowców World Trade Center, powodując niesłychane rozgrzanie ich stalowych konstrukcji i szybkie zapadnięcie się obu budynków; pobliskie gmachy też runęły. Zrzucono część Pentagonu; ocalał szczęśliwie sekretarz obrony Donald Rumsfeld, który wprawdzie znajdował się w swoim biurze, ale w innym skrzydle.

Pasażerowie i obsługa samolotów pouczeni są, aby w przypadku porwania nie próbować się bronić, zakłada się bowiem prowadzenie pertraktacji. Tak pewnie stało się w trzech samolotach, które wykonały swoje mordercze zadania. W czwartym natomiast pewnemu człowiekowi udało się połączyć z telefonu komórkowego z żoną: powiedział jej, że zostali porwani i nie wiedzą, dokąd lecą, na co usłyszał, że właśnie dwa inne samoloty uderzyły w wieżowca na Manhattanie. W tym momencie rozmowa się urwała, ponieważ jednak samolot nie dotarł do celu, a więc nad Biały Dom, można przypuszczać, że ów człowiek zdołał przekazać wiadomość współpasażerom, a ci, wiedząc już, że i tak ich przeznaczeniem jest śmierć, podjęli walkę z porywaczami. Pierwotna wersja, jakoby samolot ten został zestrzelony, okazała się nieprawdziwa; katastrofa była najpewniej efektem walki na pokładzie, choć co się tam dokładnie stało, tego się już, niestety, nie dowiemy.

Bezpośrednie szkody są gigantyczne; pośrednie, spowodowane reperkusjami na rynku światowym, trudno na razie obliczyć, światowa finansjera i banki starają się je zminimalizować. Członkowie NATO wspomnieli o piątym paragrafie traktatu waszyngtońskiego, który powiada, że napaść na jedno z państw członkowskich traktowana będzie jako napaść na wszystkie państwa; wcześniej zaś prezydent Bush orzekł, a generał Powell potwierdził, że nie mamy do czynienia z atakiem terrorystycznym, ale z aktem wojennej natury, że jest to po prostu *casus belli*. Jedno tylko pozostaje dotąd niejasne: z kim mianowicie ta wojna miałyby się toczyć.

Specjaliści — do których przecież nie należą! — twierdzą, że tego rodzaju operacja wymagała solidnego zaplecza i sporych pieniędzy, zaprojektowana być musiała w innym kraju, a nie w jakiejś amerykańskiej piwnicy. To projektowanie odbywało się z wielką starannością, zwłaszcza pod kątem synchronizacji działań. Im ktoś jest lepszym znawcą czy to dziedziny terroryzmu, czy to lotnictwa, tym większe w nim budzi poważanie — bo trudno mówić o uznaniu — mordercza precyzja całego planu. Nie jest wcale tak łatwo trafić samolotem we właściwy punkt wieżowca. Pojedyncze samobójcze zamachy Palestyńczyków należą do zupełnie innej parafii, są dziełem minimalnie wyszkolonych amatorów. Rzadko się też zdarza, żeby operacja na tak wielką skalę tak się powiodła. Starczy przypomnieć inny epizod z historii, inwazję aliantów w Normandii; w końcu przewyciężyła ona opór niemiecki, ale miała liczne uchyby. Tutaj wszystko poruszało się jak w zegarku, nasmarowanym krwią niby oliwą.

Pentagon był specjalnie strzeżony przed atakami bombowymi i miał własną obronę przeciwlotniczą, ale nie otrzymała ona instrukcji, co zrobić, jeżeli skieruje się na nich samolot pasażerski wypełniony obywatelami amerykańskimi. Pomysł był piekielnie przebiegły i tak wypośrodkowany slalomowo, ażeby wykorzystać wszystkie słabości amerykańskiego systemu dla zmaksymalizowania szkód. Uzbrojenie terrorystów składało się z kilku plastikowych nożyków, wszystko inne, mówiąc cynicznie, dostarczyli sami Amerykanie: samoloty, paliwo, cele. Diabli chyba terrorystom pomogli! Szatan im to do ucha wszepiał! Ktoś słusznie powiedział: wprawdzie imperium zła trochę się rozleciało, ale zło pozostało.

Główny podejrzany, czyli Osama bin Laden, oświadczył, że gratuluje udanej operacji, ale sam nie brał w niej udziału. Mimo to Arabia Saudyjska odebrała mu w czwartek obywatelstwo, jakim cieszył się do tej pory. Talibowie powiedzieli, że wydadzą go Amerykanom tylko wówczas, jeśli otrzymają pewne dowody, że to on jest winien zamachu. Mniej pewni swego



dypłomaci arabscy znajdujący się w Kabulu oraz członkowie misji ONZ czym prędzej z tego miasta odlecieli, bojąc się amerykańskich kroków odwetowych.

Czy nastąpi więc przeciwuderzenie? I w kogo będzie wymierzone? Bazy terrorystów w Afganistanie tymczasem opustoszały, wszyscy się z nich wynieśli. Nie wiem, co stanie się teraz z bin Ladenem, ale talibowie, którzy dali mu schronienie, wcześniej już robili rzeczy tak straszne, że należałoby im się parę porządnych grzotnięć. Na razie ładuje się rakiety średniego zasięgu na wielkie jednostki amerykańskie zgrupowane u wschodniego wybrzeża. Czy zostaną użyte, tego jeszcze nie wiemy.

Wtórne echa tej zbrodni trwają i będą trwały, i nie ograniczą się do kondolencji, nabożeństw żałobnych i wyrazów sympatii dla Ameryki. Mówi się, że Arabowie, których w Stanach Zjednoczonych mieszka kilka milionów, byli już dosyć silnie bombardowani telefonicznymi pogroźkami i mogą ich spotkać jeszcze większe nieprzyjemności. Nie ze strony władz — nikt przecież nie zapędzi amerykańskich Arabów za druty kolczaste, tak jak to podczas drugiej wojny uczyniono z amerykańskimi Japończykami — raczej ze strony współmieszkańców. W Austrii 35-tysięczna gmina muzułmańska zwróciła się do władz z deklaracją lojalności, żeby ich nikt nie posądził o jakąkolwiek sympatię dla fanatycznych islamistów.

Widoki, które oglądaliśmy w telewizji — Palestyńczycy tańczący na ulicach Jerozolimy czy Hebronu po nadejściu wiadomości z Nowego Jorku — nie przysparzają im sympatii. I chociaż akurat ci, co tańczyli, są Bogu ducha winni, Amerykanie nie będą skłonni zbyt mocno ich teraz ukochać. Nieco humorystyczny w tej tragicznej sytuacji obrazek — Arafat oddający krew (przypuszczam, że Amerykanie wyleją ją do zlewu) — nie zmieni faktu, że cała akcja nie jest korzystna dla Palestyńczyków, ani na krótką, ani na dłuższą metę. Szczególnie zaś wygrany jest Ariel Szaron. Dotąd Ameryka wciąż go lekko strofowała, krytykując działania zmierzające do likwidacji przywódców skrajnych frakcji palestyńskich. Teraz, kiedy terroryści próbowali osiągnąć prezydenta Stanów Zjednoczonych, to się zapewne zmieni: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, choć wzywianie boskiego imienia nie jest tutaj na miejscu. Izraelczykom więcej zostanie odpuszczone, ich sytuacja strategiczna w cieniu koszmarnej nowojorskiej chmury wyraźnie się polepszyła.

Czy spodziewać się należy dalszych, równie spektakularnych aktów terroru? Nie wydaje mi się, żeby można było przeprowadzić serię zamachów o takiej skali i rozpiętości, jeżeli się jest organizacją, która stara się utajnić swe istnienie. Posyłając komuś szyfrowane wiadomości, to nierozłamywalnego szyfru użyć można tylko raz. Powtarzanie operacji byłoby równoznaczne z ujednoznacznieniem miejsca, z którego nią kierowano. Poza tym dostać się nieproszonemu terroryście na pokład samolotu w Stanach nie będzie już łatwo, a uczynić to równocześnie w kilku portach lotniczych okaże się niemożliwe. Dotąd jedynie linie izraelskie, czyli El Al, stosowały nadzwyczajne środki ostrożności, podróżnych badano aż do śledziona i wątroby, teraz w Stanach Zjednoczonych już się zapowiada podobne obostrzenia po ponownym otwarciu przestrzeni powietrznej.

Nie sądzę więc, żeby to mógł być początek czegoś więcej, to raczej kulminacja wysiłku zmierzającego do zdemitologizowania mocarstwowości jedyne i potężnego imperium amerykańskiego. Cel został przecież zrealizowany: uderzono w samo serce Ameryki, do czego nigdy wcześniej nie doszło, bo nawet Pearl Harbor znajdowało się na dalekich peryferiach.

Putin oficjalnie bardzo Amerykanom współczuł, ale sędzę, że na Kremlu po cichu odtąńczono małego kozaka.

Bush chciał wrócić do doktryny Monroego, ale nie wyszło. Prawdziwie dobrych znawców polityki zagranicznej w jego otoczeniu nie ma; Cheney jest może najlepszy, ale bardzo schorowany, Powell to, owszem, człowiek rozsądny, ale przewagę nad nim zdobyła mniej odpowiedzialna pani Rice. Inteligencja sama nie wystarczy; potrzebny jest jeszcze rozum. Niebezpiecznie odrywać się od ziemi, snując marzenia o sputnikach i laserach, skoro śmiertelne zagrożenie może się kryć na znacznie, znacznie niższym piętrze. Słysząc wprawdzie nadal głosy: budujmy tarczę antyrakietową, ale głupców nie trzeba siać, sami wschodzą. Amerykanie w ogóle zresztą nie liczyli się z możliwością samobójczych ataków. Trzeba przy tym uczciwie powiedzieć, że nie każde państwo stać na to, ażeby wysyłać w bój samobójców. Dojść musi podkład fanatyzmu religijnego czy ideowego: prosto do rajy!

Niektórzy piszą, jakoby pewne dane o szykującym się już od kilku tygodni wielkim zamachu były wiadome służbom specjalnym, ale nie dotarły na wyższy szczebel. Czy to prawda — nie wiem, ale tak czy inaczej zamach to straszliwa lekcja, która pokazuje, że administracja Busha, wpatrzona w niebo, gdzie zainstalować miano tarczę antyrakietową, powinna była zejść wcześniej na ziemię.

2001

## Rozważania sylwiczne CXIV

Wpadł mi w ręce numer amerykańskiego kwartalnika „Foreign Affairs” z czerwca ubiegłego roku. Dopiero porządnie przekartkowawszy go, zrozumiałem, do jakiego stopnia zmienił się nasz świat po zamachu z 11 września w Nowym Jorku. Obecnie rozprzestrzeniają się w USA spory na temat tego, które elementy wywiadowczego systemu amerykańskiego, czyli FBI i CIA, szczególnie zawiodły, ignorując dość liczne i z różnych stron świata płynące ostrzeżenia przed zamachem al.-Kaidy. Sukces tak zwanego asymetrycznego ataku na amerykańskiego kolosa wynikł przede wszystkim właśnie z gigantycznych rozmiarów strony zaatakowanej. W jej ogromnych trzewiach informatycznych krąży olbrzymia ilość informacji, które muszą być filtrowane, odsiewane, a na koniec scalane, zanim poprzez sieć kanałów biurokratycznych dotrą do administracyjnej czołówki, na której szczycie znajduje się prezydent Bush. Większość pominiętych, czyli zlekceważonych, ostrzeżeń przed zamachem daje się obecnie — niczym układanka — złożyć w groźną całość. Nikt jednak nie zdołał owych puzzli wcześniej poskładać do kupy, ponieważ kosztująca obywateli USA miliardy dolarów maszynaria biurokratyczna jest tak rozbudowana. Ostrzeżenia przybywały, gromadziły się i grzęzły w różnych strefach tego molocha. Obecny pomysł Busha, ażeby ulepić z FBI oraz CIA kolejne ministerstwo, czy też departament obrony Stanów, jest porównywany do próby wybudowania nowej wieży Babel.

Sytuacja ta jawi się postronnemu obserwatorowi, którym jestem, jako zaiste tragifarsowa. Podczas kiedy przed rokiem, w periodyku poświęconym sprawom polityki zagranicznej, mędracy łamali sobie głowy nad tym, co należy począć z rozrosłą po upadku Sowietów potęgą USA i wymyślali dla niej różne kierunki działania, życie napisało zupełnie nieprzewidywalny

scenariusz. Kilkunastu terrorystów arabskich przejęło rolę grupki mikroskopijnych bakterii, które potrafią ciężko zranić Goliata.

Na łamach amerykańskiej prasy toczą się dziwne dyskusje terminologiczne, które wyroili się z bezprecedensowej sytuacji. Chodzi o to, że administracja prezydenta traktuje pochwyconych i podejrzanych o terroryzm ludzi jako tak zwanych „wrogich bojowników”. Sfera krytyków poczęła na strzępy rwać ów wykuty na nowo termin, głosząc, że o wrogich bojownikach można mówić tylko wtedy, jeśli reprezentują oni zbrojny interes jakiegoś konkretnego państwa. Natomiast pochwycony przez USA członekowie albo podejrzani o członkostwo ludzie al-Kaidy nie reprezentują nikogo w rozumieniu prawa międzynarodowego, ponieważ nie stoi za nimi żadne państwo. Chór krytyków sprowadza więc postępowanie władz amerykańskich do aktów pogwałcenia konstytucji. Ażeby jakoś krytykę ową stłumić i uciszyć, otoczenie prezydenta stara się rozdmuchać do rozmiarów wściekłego słonia byle ziarenko nowych zagrożeń. Oburzenie i zarzuty naruszania konstytucji USA administracja kontruje na różne sposoby. Na przykład faceta, który komuś miał powiedzieć, jakoby zamierzał doprowadzić do eksplozji na amerykańskim terenie tak zwanej brudnej bomby, czyli konwencjonalnego ładunku umieszczonego w radioaktywnej otulinie, przedstawia się jako zamachowca dysponującego niemal bombą atomową.

Sytuacja jest tym bardziej dziwaczna, że nie wiadomo, czy Osama bin Laden i jego sztab rzeczywiście szykują jakieś nowe asymetryczne diabelstwo, wskutek czego trudno zorientować się, co jest prawdą, a co złudzeniem w nieprzeniknionej mgie informacyjnej po zamachu nowojorskim. Polemiki sprzed roku, dotyczące rezurekcji Reaganowskiego projektu „wojen gwiazdnych”, wydają się zeszlým starociem, któremu jednak prezydent Bush pozostaje wierny, ponieważ żaden z jego doradców nie wpadł na pomysł bardziej rozsądny od antyrakietowej tarczy, moim skromnym zdaniem wartiej dzisiaj funta kłaków.

Można ująć rzecz w kilku słowach: pierwsze mocarstwo planety zostało boleśnie pokąsane i po prostu nie wie, jak by się przed nowymi ukąszeniami obronić. Wskutek tego przestraszone społeczeństwo dodatkowo przeraża administracja prezydencka, ażeby odwrócić uwagę od naruszeń i ograniczania elementarnych swobód obywatelskich, jakie gwarantuje konstytucja. Jeszcze krócej można powiedzieć, że nie da się zrobić omletu bez rozbijania jajek, a tu jeszcze szkopuł w tym, że jajka mogą być nie tylko nieświeże, ale i jadowite.

2002

## **Bilans**

Polska należała do koalicji walczącej przeciwko Trzeciej Rzeszy Hitlera. Jakkolwiek alianci (a zatem i my) odnieśli zwycięstwo nad Niemcami, nasz wojenny koszt okazał się straszliwy i odosobniony w zwycięskiej wspólnotce. Straciliśmy ponad połowę przedwojennego obszaru Polski, zginęło ponad dwadzieścia procent obywateli naszego kraju, nasza stolica została spalona i zgruchotana. Czechosłowacja, już zajęta przez Niemcy jako protektorat, aż do końca wojny miała przecież otwarte wyższe uczelnie. Natomiast nas skazał Hitler na niewolniczy trud, konsekwentnie dążąc do eksterminacji polskiej inteligencji i pozbawiając

nas średniej i wyższej oświaty. Za te gigantyczne straty otrzymaliśmy z poręki Stalina dawne piastowskie ziemie graniczące z Odrą i z Nysą oraz terytorium Prus Wschodnich.

Jak na kraj należący do zwyciężkich, ponieśliśmy straty właściwie nie do powetowania. Dlatego obecna kariera niemieckich publikacji przedstawiających całą krwawą groźbę ucieczki Niemców ze wszystkich zajętych przez Czerwoną Armię obszarów nieszczególnie mnie, muszę wyznać, poruszyła. Władysław Bartoszewski zauważył w wywiadzie udzielonym specjalnemu wydaniu tygodnika „Der Spiegel”, poświęconemu niemieckiemu exodusowi, że gdybyśmy — wypędzeni, wykrwawieni i zrujnowani przez Trzecią Rzeszę i Sowiety — byli jeszcze w stanie żałować Niemców w ich klęsce, bylibyśmy narodem świętych. Na tym całym pogorzeliśku ostatniej wojny światowej podgrzewają jeszcze niemieckie żale tamtejsi politycy, wykorzystując całą gorycz klęski, wygnań, rabunków, wywłaszczeń i gwałtów. Nie przestaje ponadto zaostriżać się sprawa Niemców sudeckich, których również wyrzucono z czeskiej ziemi i związki wypędzonych wciąż nie mogą owej przeszłości przeboleć.

Chociaż wspomniany specjalny numer „Spiegla” nie przemilcza polskich ani czeskich strat wojennych, samo zestawienie danych, przedstawiających wędrówki ludów, zesłania do obozów albo do komór gazowych, deformuje przecież tamtą panoramę historyczną. Może mnie ktoś oskarżyć o zimne okrucieństwo, ponieważ nie wylewałem i nie wylewam łez nad nadziejami tych, którzy roztrzaskali nasz kraj i pręc na Wschód, uwięźli wreszcie w ogromnych obszarach Rosji.

Kilkadziesiąt milionów ludzkich istnień uległo zagładzie i buchalteryjne próby wyliczenia, która strona doznała większych upokorzeń, cierpień i katuszy, wydają mi się niezbyt sprawiedliwym postępowaniem. Przypominanie skutków wszystkich ciosów, jakie Niemcy zadały Europie, po to ażeby wyliczać ich własne straty wywołane alianckim odwetem, to dla mnie jakby upajanie się powiększonymi dziejami wojen punickich. Rozumiem pragmatyczne przyczyny prezentowania szczegółowych, ilustrowanych opisów wszystkich nieszczęść, jakie Niemcy sami sobie ściągnęli na głowy, ale uważam zastosowanie księgowej rachuby do porównywania wielomilionowych ofiar nie tylko za jałowe, ale tracące kiepską moralnością.

Właściwie należy na początku dwudziestego pierwszego wieku zwrócić uwagę na zupełnie nowe niebezpieczeństwa i zagrożenia, które dotyczą całego świata Zachodu, z tym że Europa jakby nie do końca zdaje sobie sprawę z koszmaru, jaki przeżyli 11 września ubiegłego roku mieszkańcy Stanów Zjednoczonych. Fachowe prace, dostępne tylko częściowo dla szerokiej publiczności, mogą nas również powiadomić, że toczą się już badania i próby mające doprowadzić do stworzenia czwartej generacji broni jądrowych. Rzecz ta nie nadaje się do zwięzłego przedstawienia, toteż mogę powiedzieć tylko tyle: szeroki dotąd rozziw, jaki istniał pomiędzy konwencjonalnymi środkami wybuchowymi i zmagazynowaną w zbrojowniach oraz silosach balistyczną mocą atomową, ma zostać zniwelowany. Nowe nuklearne pociski staną się mniejsze i przez to będą wymykać się postanowieniom pokojowych traktatów. Fachowiec potrafi doprowadzić już do eksplozji nieomal szczyptę deuteru i trytu — tym samym poczyną się zacierać dotychczas utrwalona różnica pomiędzy konwencjonalną a nuklearną mocą destrukcyjną. O zastosowaniach broni jądrowej czwartej generacji militarne ośrodki na razie milczą. Warto im jednak poświęcić więcej uwagi aniżeli minionym nieszczęściom, które zapoczątkował niemiecki atak wojenny na Europę.

## Teatr świata

Toczy się teraz gra pomiędzy Zachodem a Rosją, a prezydent Putin znajduje się jakby w rozkroku. Rosja z raketowo–atomowego bucefała przemieniła się w kucyka i podług ambicji rosyjskiej generalicji powinna odbudować swój imperialny status, a podług prezydenta, który okazał się człowiekiem trzeźwym, najważniejsza jest ekonomia i zbliżenie z Zachodem, zwłaszcza z Ameryką. Równocześnie nie chce on zrezygnować z kolosalnych dochodów, jakie przynoszą kontakty z dawnymi klientami Sowietów, takimi jak Irak czy Iran, co z kolei bardzo się nie podoba Amerykanom.

Prezydent Bush nadal objawia słabości; nie chcę powiedzieć — intelektualne, ale polityczne. Jego uporczywe parcie w stronę ataku na Irak jest niebezpieczne z kilku powodów. Po pierwsze, wszyscy dookoła się przelekli, zarówno państwa sąsiadujące z Irakiem, jak i Europa Zachodnia. W tym ostatnim przypadku chodzi nie tylko o interesy, ale i o dużą populację muzułmańską. Po drugie, nawet gdyby Stany Zjednoczone solo ruszyły do ataku i polewając ziemię iracką krwią amerykańską, zwyciężyły, zupełnie nie wiadomo, co się dalej stanie. Z kolei Izrael, w czasie poprzedniej wojny w Zatoce przez Busha ojca ubłagany, żeby siedział cicho, chociaż spadały na niego rakiety Saddama, daje teraz sygnały, że gdyby zaatakowano go w jakikolwiek sposób — odpowie ogniem. A przeciąganie liny w konflikcie izraelsko–palestyńskim? W moich oczach jest to konflikt nierozwiązywalny; zawsze trafi się jakiś „bomber”, który wysadzi wraz z sobą autobus czy kawiarnię, i z trudem wynegocjowane porozumienie pada w gruz.

Mamy tyle krzyżujących się czynników, że przyszłość spowita jest nieprzejrzystą mgłą. Nadzieje nasze na spokojną nudę po upadku Sowietów zupełnie się nie sprawdziły, a Francis Fukuyama, który nas na tę nudę przygotowywał, zgodnie z metodą właściwą futurologom wcale się nie przejął upadkiem swych przewidywań; obdarzony dziwną zdolnością amnestyczną, w „Foreign Affairs” smaży nowe artykuły.

Trwa teraz szczyt Ziemi w Johannesburgu; z Moskwy dzwoniło do mnie, abym powiedział, co na tym szczycie przywódcy państw uchwalą i co z tego zostanie zrealizowane. Odpowiedziałem: wszechwiedzący nie jestem, ale przypuszczam, że uchwalą różne ładne i ciekawe rozwiązania, z których nic nie wyjdzie. Trudności są bowiem wieloczynnikowe.

Niemcy, którzy pod przywództwem ministra Trittina zapewniali, że zamkną wszystkie elektrownie atomowe, teraz zaczęli cicho bąkać, że tak się jednak nie stanie. Okazało się, że wystarczy, by temperatura roczna Ziemi podniosła się o półtora stopnia Celsjusza, a powstają takie perturbacje atmosferyczne, takie huragany, takie ulewy i takie powodzie, że trzeba coś zrobić z emisją gazów cieplarnianych, wszystkie opowieści o nieszkodliwych źródłach energii, które nie pozostawiają niebezpiecznych odpadów i nie dałą żadnych wyziewów do atmosfery, okazują się tylko rojeniami. Cały las wiatropędni pozwala pokryć około półtora procent światowego zapotrzebowania na energię. O wykorzystaniu siły pływów oceanicznych mówi się od czasu, kiedy byłem dzieckiem, i nic z tego dotąd nie wyszło, a koncepcja ogniwi, które by przekształcały energię słoneczną, dobra jest dla Sahary, ale w pasie umiarkowanym, w jakim znajduje się Europa, nie mielibyśmy z tego nic. Światu całemu zagraża też brak słodkiej

wody. Teoretycznie można odsalać wodę morską, ale to kosztuje, a dzisiaj wszystko, co kosztuje, jest nieopłacalne.

W ustroju sowiecko–peerełowskim nie brano pod uwagę kosztów i wydawało nam się, że jak się drukuje Prusa w stu tysiącach nakładu — to bardzo dobrze. Dzisiaj wszystko przeliczamy na pieniądze i okazuje się, że kultura na ogół się nie opłaca. Uparcie trzymam się spostrzeżenia, ponurego, że w Polsce dokonuje się marginalizacja kultury poprzez zrównanie rozmaitych rapów, hip–hopów i innych dzikich podskoków z kulturą wysoką. Zmienia się ona w ogarek, podczas gdy świeczką stały się dziś owe straszne krzyki.

Mówić o Polsce dlatego dzisiaj trudno, że gdyby nie wizyta papieska, bylibyśmy z galerii teatru światowego prawie niedostrzegalni. Rosjanie nad naszymi głowami pertraktują z Ameryką i z Zachodem. Gdyby ktoś chciał wymyślić dla Polski coś możliwie najgłupszego, byłoby to zamiast wejścia do Unii Europejskiej — zbliżenie do Wschodu, czyli do Łukaszenki. Łukaszenka zresztą bardzo się rozwściekił po tym, jak dostał odprawę od Putina, i stąd, jak uważają komentatorzy, wynikło zaproszenie Papieża na Białoruś. Ma ono charakter polityczno—instrumentalny, trudno sobie bowiem wyobrazić Łukaszenkę w roli pochodni wiary. Chce raczej udowodnić światu, że jest suwerennym politykiem.

Jak się oglądało Papieża podczas jego polskiej pielgrzymki, widziało się człowieka, w którym duch jest silny, ale ciało silne nie jest. Dał z siebie więcej, niż to wydawało się możliwe. Papieżowi naprawdę było ciepło na sercu, że się spotkał z rodakami, i naprawdę było mu żal odjeżdżać. To nie były czcze słowa. W całej prasie — niemieckiej, francuskiej, amerykańskiej — widziałem esencje jego przemówień i tego, co ludzie odczuwali. Występków było mało i pijanych się nie widziało, a jak na taki wielki zbieg ludzi — dwa i pół miliona — bardzo niewiele zdarzyło się na Błoniach fatalnych wypadków. I tak sobie myślałem — gdyby choć osiemdziesiąt procent tych ludzi, co się zeszli na Mszę papieską, zachowywało się zgodnie z ewangelicznymi słowami Papieża, gdyby na co dzień byli tacy zacni jak na Błoniach, życie nasze wyglądałoby inaczej.

Nie można jednak oczekiwać, by Papież dał nam wytyczne rozwoju ekonomii, gospodarki i tak dalej. On nie jest od tej, o! Tymczasem ludzie usiłują jedno słowo istotnego potępienia liberalizmu — obyczajowego raczej, jak sądzę — uznać za jego odrzucenie całkowite. No i po co były te krzyki „idź stąd” pod Pałacem Biskupim do prezydenta Kwaśniewskiego? Jaki on tam jest, taki jest — ale był przecież gościem Papieża.

Szczyśliwie ominęła nas powódź, która spustoszyła Austrię, Czechy i Niemcy. Oglądałem ją z wielką uwagą. Jak mówią specjaliści, odbudowa i rozwój byłej NRD zostały cofnięte o dziesięć, a może dwanaście lat. Trzeba będzie zainwestować ponad miliard euro w odbudowę infrastruktury na zalanych terenach, a losy ludzi, którzy stracili niemal wszystko, stoją pod znakiem zapytania. Wielkie firmy ubezpieczeniowe oświadczyły, że owszem, na przyszłość chętnie wszystkich ubezpieczą, tylko nie na terenach zagrożonych powodzią. Na tym polega kapitalizm — rachuba jest bezwzględna. Paradoksalnie powódź pomogła Schröderowi, który był już trochę przegrany w stosunku do Stoibera. Obaj mówili, że nie należy powodzi używać jako argumentu politycznego i obaj jej do tego używali.

Brakuje nam autorytetów, poważnych polityków i globalnego oglądu spraw publicznych. Czytam wiele różnych pism, i polskich, i zagranicznych, i uważam, że powinien powstać jakiś organ — może wydawany *summis auspiciis* na przykład ONZ–etu? — który by globalną

sytuację naświetlał w duchu konferencji johannesburskiej, bez etnocentrycznego skrzywienia. Najwięcej oglądu globalnego reprezentują Amerykanie w swoich poważniejszych pismach, ale też z naciskiem na sprawy wewnętrzne. A wśród tych spraw królują wciąż rozmaite skandale. Jakkolwiek fakt, że znajomi i nieznajomi kradną, nie usprawiedliwiłby mnie, gdybym sam dopuścił się kradzieży, jednak kiedy widzę, że w innych krajach politycy postępują równie nieetycznie jak nasi, trochę się uspokajam. Widać nie zeszliśmy na moralno–etyczne dno, tylko żyjemy w jakiejś dziwnej epoce, w której wszyscy skłonni są popełniać rozmaite świństwa.

Będąc w czasie wizyty Papieża na stacji benzynowej, zająłem stoisko z gazetami. Czytałem, że wszystkie pisma erotyczne i pornograficzne mają być na ten czas pochowane; patrzę, a tu jest ich mnóstwo, i to polskich. Mamy jakby kilka Polsk: jest Polska, która przyszła na spotkanie z Papieżem, i jest Polska, która morduje, gwałci, kradnie i robi inne straszne rzeczy. Jestem gorącym zwolennikiem kary śmierci dla tych drabów, którzy zgwałcili i zamordowali nieletnią dziewczynkę, a jej towarzysza pobili niemal na śmierć. To są prawdziwe kwiaty zła, straszne owoce wolności.

2002

## Lekcja historii

Teraz, kiedy prawdziwa nawała pokojowa opanowała świat, kiedy coraz więcej jest przeciwników ataku na Irak i w protestach uczestniczą milionowe rzesze, warto odwrócić czas jak na scenie obrotowej i spojrzeć na to, co się działo w 1939 roku, kiedy Niemcy napadły na Polskę.

Atak ten poprzedzony był zrazu powolnymi, a potem przyspieszonymi krokami Hitlera, mającymi na celu unieważnienie klauzul traktatu wersalskiego, które silnie ograniczały zbrojenia Niemiec. W wiele lat po wojnie przeczytałem, że jeszcze przed ponowną militaryzacją Nadrenii, którą w Wersalu ustanowiono strefą zdemilitaryzowaną, doszło do tajnego porozumienia niemiecko—sowieckiego i na jego mocy Niemcom umożliwiono eksperymentowanie z bronią, także pancerną, na poligonach wewnątrz Rosji. Niemcy wykorzystali zresztą sposobność, by nanieść na mapy sztabowe rozmaite szczegóły, których znajomość pomogła im podczas kampanii sowieckiej.

Rzeczpospolita w ciągu miesiąca dostała się pod panowanie dwóch napastników, ale sojusznicy nasi, to znaczy Anglia i Francja, byli zobowiązani paktem do wejścia w akcję przeciwko Niemcom. I rzeczywiście to zrobili, aczkolwiek z pewnym pomiarkowaniem, zamiast bowiem prawdziwej walki doszło najpierw do tak zwanej *drôle deguerre*, czyli dziwacznej wojny, podczas której Francuzi siedzieli cicho za Linia Maginota. Alianci szykowali się jednak do kampanii, która doprowadziła do ogromnych zmian w dyslokacji sił na terenie Europy i nie tylko Europy. Działania anglo–amerykańskie, mimo początkowych klęsk, sprawiły, że siły niemieckie rozproszyły się na licznych teatrach wojennych, nawet w Afryce.

Gdyby do tego nie doszło, gdyby na przykład w Anglii powstał był wtedy taki ruch, jaki teraz hasłem *no war* usiłuje obalić rząd Blaira, i zadziałał skutecznie, a Ameryka nie zdecydowała włączyć się do wojny, wówczas siły, jakimi Niemcy dysponowali na Wschodzie,

zostałyby odpowiednio zwiększone. Siły zaś sowieckie poniosłyby poważną stratę — nie byłoby umowy *lend-lease*, dostaw żywności amerykańskiej czy ogromnej masy środków łączności niezwykle ważnych dla Armii Czerwonej. Rosjanie przegraliby walkę o Stalingrad, a Niemcy odciąłoby ich od zasobów ropy. Zapewne, zgodnie z planami Hitlera, po zajęciu Moskwy nastąpiłoby zatrzymanie sił niemieckich gdzieś na linii Uralu.

Dalsza gdybologia jest utrudniona; nie wiemy, czy wobec przewagi Niemiec państwa zachodnie pozostałyby bierne. Być może, widząc tak olbrzymią supremację i eurokontynentalizację niemiecką, Stany Zjednoczone w końcu by wkroczyły, a w 1945 czy 1946 roku pierwsze bomby atomowe spadłyby na Niemcy, a nie na Japonię. To już czysta hipoteza, na którą nie nastaję. Jedno jest dla mnie jasne: my, Polacy, pozostalibyśmy dłużej pod okupacją niemiecką i oznaczałoby to dla nas biologiczną wręcz katastrofę. Rozbicie Sowietów byłoby naszym mniejszym zmartwieniem, ale panowanie niemieckie trwające nie wiadomo jak długo stałoby się koszmarem.

Na szczęście w latach czterdziestych wielotysięczne manifestacje nie próbowały powstrzymać Anglii przed wkroczeniem do wojny przeciwko Niemcom. Dziś ruch pokojowy stał się istotnym czynnikiem na scenie politycznej, nabrał samoczynnego napędu i lawinowo się potęguje. Przybiera czasem postać szaloną — siedemset pięćdziesiąt australijskich niewiast kładzie się na golasa, by utworzyć ze swych ciał słowa *no war*. Skutki są jednak poważne: na przykład Austria zamyka swój obszar powietrzny przed Amerykanami i wzbrania się przed przepuszczeniem jakichkolwiek transportów wojskowych. O ile Francja w osobie Chiraca, który nas chamsko rugał za nasze proamerykańskie stanowisko, nie zdecydowała się jednak całkiem wykluczyć ewentualności podłączenia się do walki przeciwko Irakowi, o ile stałaby za tym rezolucja Narodów Zjednoczonych, o tyle Schröder odżegnuje się od wojny w sposób kategoryczny. Amerykanie rozważają możliwość przeniesienia baz wojskowych z Niemiec do Polski i Rumunii. A wszystko to zapoczątkowała skromna zrazu opozycja wobec uderzenia na Irak.

„Spiegel” w pięciu odcinkach drukował relację autora nazwiskiem Connolly (był on, zdaje się, doradcą prezydenta USA) opisującą manewry i wybiegi Saddama i jego niesłychaną przewrotność, która miała utrudnić i udaremnić pracę inspektorów ONZ. Zwolennicy ataku na Irak tłumaczą, że trudno liczyć, by inspektorzy znaleźli cokolwiek w kraju tak wielkim, zresztą Saddam może czasowo wstrzymać zbrojenia, a kiedy inspektorzy wyjadą, zaczną dalej działać. Charakterystyczne jednak, że ruch stojący za pokojem właściwie nie próbuje pytać, w jakiej mierze intencją Saddama jest uzyskanie broni nuklearnej.

We wszystkich państwach, które nie są rządzone w sposób dyktatorski czy półdyktatorski, najważniejsze są dzisiaj badania opinii publicznej. Wedle nich redaguje się treści przekazywane w telewizji, prasie, radiu czy Internecie. Jakikolwiek ruch Stanów Zjednoczonych przeciw Irakowi jest z góry wyklęty i przeklęty, i nawet gdyby okazało się, że jednak inspektorzy znaleźli, mówiąc umownie, dymiący pistolet, niczego to nie zmieni: ruch za pokojem ma już własną dynamikę i coraz trudniej go powstrzymać.

Jest to sytuacja bardzo utrudniająca życie Bushowi i jego administracji. Nie potrafię powiedzieć, jak z niej wybrnąć, wiem tylko, że w latach czterdziestych ubiegłego stulecia sytuacja była zupełnie odmienna: rządy rządziły, opozycja w demokracjach parlamentarnych, owszem, istniała, ale to nie znaczyło, że głos Chamberlaina przeciwko głosowi Churchilla był decydu-



jący, społeczeństwa nikt nie pytał o zdanie, a ruch pokojowy nie był czynnikiem sprawczym w wielkiej skali. Warto tę lekcję historii przypomnieć. Mówi się przecież, że *historia magistra uitae...*

2003

## **W potopie słów**

### **Rozkosze postmodernizmu**

Zaczynam w środku albo od końca lub gdzie indziej, bo na tym nowoczesność polega. Zresztą może już i na to ktoś wpadł, że należy wziąć Tycjana, zmieszać z Velazquezem, dokropić Boschem i ewentualnie pociętego Vermeera kawałki podlepić, i już jest postmodernistyczny hiperkonceptualizm.

Stare nocniki, nawleczone na dłuugi słup telegraficzny, z postumentem jako szafą grającą, której korba wetknięta być musi w zadek sowy. Bardzo nowoczesne. Pokrajana na plastry opona samochodowa, różami i różańcami ozdobiona. Śmiała, ale może już nie warto się aż tak wysilać, bo czyż nie jest prawdopodobne, że ktoś już to dawno temu wykoncypował? Nie przypuszczam, ażeby drugi facet, nazwiskiem Mel lub podobnie, w pobliżu Ziemi Ognistej *Wizję lokalną* był napisał po hiszpańsku, a całkiem od Lema niezależnie. Tak daleko myślą sięgać nie śmiem. Z drugiej strony jednak widzę, że nadzwyczaj ciężko jest na taką myśl albo na taki zestaw pojęć lub słów tylko, albo kolorów czy paciorków się zdobyć, który nie jest dzisiaj mimowiednym powtórzeniem sekwencji tożsamej, gdzieś na świecie już przez kogoś artystycznie ułożonej. W ogóle jest tak, że wszystko ciekawe, ładne, zabawne, spójne, logicznie sensowne, kolorystycznie smaczne, narracyjnie fascynujące, fabularnie oryginalne zostało napisane i wydane bardzo dawno temu gdzieś, więc teraz nie ma innej rady, gdy parcie weny twórczej rozszalało się nasili, jak tylko bredzić nieciekawie, nudzić, obrzydzać, dekonstruować, antylogicznie mamrotać, błotnisto malować, mendzić, defabularyzować i potworne paramoty na piedestały wznosić. Zosia B. powiedziała raz o pewnej książce: „To arcydzieło, ale przeczytać się nie da”. Świetne! Jakże trafna uwaga, jak aktualna! Otoczyłem się oto górami drukowanego papieru, z postkomunistycznej pazerności, bo zakazane były, wszystko, naukowe, hard porno, albumy, „IH Tribune”, „Die Welt”, „Le Monde”, „New Scientist”, „Science et Vie”, „Priroda”, „Znamia”, „Nowyj Mir”, „Ogoniok”, „Argumenty i Fakty”, „Economist”, chyba zwariowałem na tym punkcie, bo nie przeczytane zwały wyrzucać przychodzi, a ja, który uprzednio te skrawki wiedzy, jakie MPiK oferował, do ostatka wysysałem, teraz w nadmiarach tonę. Krajowej prasy można właściwie nie czytać, o telewizji krajowej głuche jeno, odległe odgłosy mnie przez osoby trzecie dochodzą, ponieważ i na satelitarną TV zapadłem. Wszystko to prawie jak u McLuhana: *Medium is the Message!* Przekaz jest przekazem. Albo pokazują retro nie barwione, albo barwione, koronacje i wojny, pierwsza i druga światówka ulubionym są tematem. Albo seriale filmowe: salonowy, dynastyczny (mnie bardzo mdli już przy czołówce zwanej forszpanem — nie mogę). Albo człeczyna, który gdy go poddusić lub nożem ucisnąć krtań bądź do kasy pancерnej wstawić i zamknąć, pęcznieje cały na zielono (*Incredible Hulk*), dwa i pół lub trzy metry wzrostu, stal

jak stare szmaty drze, łagodnie rycząc, przez rozwalane sobą mury i ściany na bosaka przechodzi, przy czym uprzednio mu w zbliżeniu koszulę flanelową, porządną, pęczniejące mięśnie na strzępy drą. Żal koszuli i nie wiem, skąd zaraz następną bierze. Albo tenże sztukmistrz udaje i potrafi kajdanki przerobić na chustkę do nosa. A ponadto wieczorem wszyscy strzelają do wszystkich, trup krwawy gęsto pada, poprzecinane to reklamami, reklamy po prostu cudne, jakieś palmy, południe, czarowne dziewice całują się z cudnymi młodzieńcami i zaraz pakują do szeroko rozsmiechniętej jamy (ustnej) makaron, zupę z ptysiami, coca—cole, pastę do zębów, pomidora, marcepany, lodówkę, aparat do golenia samokiwający się elektrycznie oraz prawdziwe ręczniki papierowe. Po czym znów trupy padają, bo gangsterzy strzelają albo modne teraz żeńskie morderczynie bez litości i bez majątek. Tylko książek ani niczego drukowanego jakoś nie reklamują. Natomiast biura podróży i banki, banki, karty kredytowe oraz pożyczki — owszem. Dużo tego i nowoczesność koleże wywołuje, ale trupów moc. Osobno serial z panem doktorem, żaden lekarz nie ma tej słodczy lekarskiej, co ten aktor. Happy end zginął, nie wiem jak dawno temu, piękne dziewczyny, kobiety z rakiem (*casus inoperabilis, in op* w skrócie) giną pomału, lekarz im towarzyszy, muzyka, grób w kwieciu, przy takim doktorze i skonać miło, łóżka, operacje, płyn z wiszącej butelki, czyli kroplówka, instrumenty i znów trup. Jakoś z trupem sprzężenie zwrotne wciąż silnie działa. I SF. *Star Trek* człekokształtny i rysowany: wszyscy w bluzkach kolorowych, których nigdy prac nie uza (jakoż i nie piorą), nikt do wychodka nie musi (jakoż i nie chodzą), guziki naciskają i strasne różne potwory ogniorygne ich atakują, ale nic nie będzie, reżyser nie pozwoli, żyć musi i stałych dochodów potrzebuje, i to mnie uspokaja, gdyż Knight Rider, cały w ondulacjach przepiękniś, bez broni gangsterów załatwia, auto, z którym on rozmowy wie, pędy w tę i we w tę. Ot i czterdzieści programów, a ponadto są „Wiadomości” (ARD, ZDF, Sat 3, ORF itd.) i w nich to samo plus auta mknące, plus karambolaże harmoniowe (dwanaście lub szesnaście aut wgniecionych), plus szczątki samolotów, powodzenie, powodzie, tajfuny, wszyscy po szyję, i znów trupy, bo IRA, bo Baskowie, ETA, bo bomby, i Izrael, i Arabowie, i prezydent Bush, i Jelcyń, i Ruscy nadmiarem wolności przy braku żywności zafrasowani.

A tu nagle widzę, że zapomniałem pszenicznego ziarna wróblom na tarasie moim nasypać, więc zaraz to odrobę czym prędzej i znów do tych różności zasiadam. Derri—da. Kupiłem jego *Gramatologię* po niemiecku i ni w ząb, a grube to. Wprowadzenie w Derridę. Nie dałem rady. Destrukcyjność destrukcyjna i postmodernizm poststrukturalistyczny. Prędzej zęby wyłamię sobie. Za cholere nic nie pojme, a wszyscy w „Encounter” i „NYT Book Review” mamrocą! „Destruk, de Man, Paul”. I pramodernizm. I super. I Susan Sonntag. Więc znów, ale nic, choć i z rozbiegu, i pędem nawet. Łatwiej mi byłoby na szklaną górę wleźć, aż mi członek Akademii, bardzo mądry starszy pan, wyjaśnił na ucho: D. wariat! Ot, po prostu. *Lorgorrhea* i zaraził wszystkich, z Amerykanami na czele. Aha! Seksizm, *he or she, she or he*, ta Bóg, ta Jezus, najwyżej ten Matka Boska. Niech ci będzie. Pastorzy w niedzielę w newsach okropnie nudzą. Na szczęście po angielsku: nic nie rozumiem. Bez ilustracji. I czasem, ale to rzadko, ładny kawałek jakiegoś muzeum, Egiptu, kultura w austriackim często wydaniu, bo im wypada, bo muszą. W sumie bardzo męczące. Niby ja nie jestem ani ponaglany, ani zmuszany, i dobrowolność panuje, ale z drugiej strony stosi „New Scientist”, „Scientific American”, „Priody”, to już opadam z sił i siadam, i ekran się rozpala, i trupy w świeżym

stanie, bo znów bój albo (teraz, gdy piszę) olimpiada, i myślę, Panie, toż tym mknącym ślizgawkowym łyżwiarzom dyski powyskakują z kręgosłupów, bo tak we dwoje złożeni mkną tak długo i tak im lub innym piekielnie wprost zależy, ażeby piłka wpadła do bramki albo na raketę tenisową, co bardzo rozsądne zresztą, bo za całe życie zapisane skrybie przed pogrzebem (martwych nie nagradzają) Nobel, naści, a za tę raketę lub za celny kopniak — i trzy, cztery razy tyle. Łatwiej dokopać się milionerstwa, niż dopisać: pisać w ogóle nie warto. Teraz zwłaszcza świadomość napisanego i po bibliotekach zalegającego potopu książkowo-papierowego musi do zwyczajnej przytomności przywołać. Jediną etycznie słuszną rzeczą, czynem, dobrym uczynkiem pisarza jest powściągnąć wenę, zahamować, czyli przestać cokolwiek pisać. Ani się zbędnie wymądrzać, ani broń Boże fabularyzować zawile, kunsztownie. Narrację ciąć na plasterki i z nich wyższy, nowoczesny bełkot skleić. Nie i nie. Niech Bóg broni, a najpierw publiczność, chociaż ta sama obroni się, bzdury wyłącznie czytając. Nie wolno nikomu zabraniać ani o doktorach i pielęgniarzach, ani o Ogrodach (szlag jej nie trafi) Miłości, ani o kuchni paleowietnamskiej (noga w sosie bernaise, mniejsza o to, czyja), ani o miliardach, o gwałtach, o wszystkim, łącznie z cudnie przybraną i kwieciami oplecioną dupą Maryni. To tak. Zasłonić, ale dać do zrozumienia. Krótko, z ilustracjami albo lepiej na kasecie, milcząc. Jęki orgazmów na płycie. Fe, choć CD, to już porno. Nie trzeba nam, najwyżej RTL plus dla panów, męski magazyn w sobotę, ale ja wolę o tej porze spać. DOBRANOC!

1992

## Magik i uwodziciel

Czytam Sienkiewicza. A ponieważ czytam go i czytam od lat gimnazjalnych, wiem, czy też raczej z czasem się dowiedziałem, JAK muszę go czytać, aby się zachwyć.

Broń Boże po kolei, od *Ogniem i mieczem*, od pierwszej strony po ostatnią. Jeżeliby pójść na takie głupstwo, czeka nieuchronna porażka, jak w znanym eseju Gombrowicza (*Sienkiewicz*, dołączonym do pierwszego tomu *Dziennika*). Wszystkie niekonsekwencje, krzywizny, garby, wszystka dekonstrukcjonistyczna słabość postaci wylezie jak szwy w nicowanym fraku i nic już oprócz języka (a to jest i pozostanie pomnik ulany z najwspanialszej polszczyzny, jaką mi się w ogóle w życiu przytrafiło poznać) całości nie podratuje. Wtedy jednym dymem okryją się kolubryny zwrócone w Sienkiewiczowską pierś, które Gombrowicz narychtował, wzięwszy na cel łatwą urodę cnoty, obronę Częstochowy, kukiełkowatą, ku poratowaniu cnót żeńskich zwłaszcza wyteżoną koincydentalność niezliczonych „trafów”, dzięki którym nic i to, że „Bar wzięty”, i że Bohun Helenę w Waładynce dla się na deser zostawił, i nareszcie nawet przez książęcego medyka warzone dekokty, przeznaczone dla Oleńki, w ruch nie poszły, dzięki czemu Bogusław dokładnie wonczas atakami jakowymiś był z nóg zwalony, gdy niczym niedźwiedz miodem z barci żądze sycić zdecydował.

Ja się nie śmieję: doprawdy czyniąc nad Sienkiewiczem (to znaczy nad *Trylogią tout court*, bo reszty nie chcę, poza opowiadaniem) rekolekcje, czynię to sposobem ostrożnym, wkradając się do powieści takim szlakiem, który wybrałem, ażeby mnie zachwycał, co jest zupełnie łatwe. Dostaję się do wnętrza przez *Potop* najczęściej, przez *Pana Wołodyjowskiego* ma się rozumieć nigdy; i sceny w Kiejdanach bywają początkiem moim albo *post raptum pu-*

*ellae* pojedynek pana Michała z Kmicicem; jeżeli tak się tam włamać, to można już ową nadzwyczajną i zgoła nieludzką szlachetność znieść, okazaną Kmicicowi rannemu w betach, kiedy mu imię Wołodyjowski list zapowiedni księcia na Birzach daje.

Potem już łatwiej, z Kiemliczami do Częstochowy, ale niech Bóg broni — przed jej obroną: to byłoby tak, jakby po znamienitym torcie Prinz Eugen (cukiernia na rogu Operngasse w Wiedniu) cukier sobie workami do gardła sypać. Co za dużo, to niezdrowo, a też ostatni rozdział *Imienia róży* Umberta Eco zwie się (spolszczam na poczekaniu, bo polskiej wersji nie znam): „Od nadmiaru cnoty zwyciężają siły piekła”. Tak zatem, klucząc po *Trylogii*, myszkując, sztychami wchodzę i na tereny *Ogniem i mieczem*: można się narozkoszować nieśmiertelnością tego dzieła, oczywiście pochodną jego sztukmistrzostwa, czyli sztuczności, a legiony fachmanów, które kubły inkaustu wylały, ażeby dowodzić, że się z historią nie zgadza, mało wiele zgadza, przeciwwgadza, nie dogadza, przeszkadza, kłamie, wariuje itepe, itede, równie mądrze działały jak ci, co sobie życzyli empirycznie wywiedzionej, dokumentami podbudowanej i tym samym *ab ovo* zrekonstruowanej wojny o piękną Helenę razem z oblężeniem Troi: kto jednak naukowo i historiozoficznie oraz archeognostycznie na głowę nie upadł, ten, mając w pamięci zacne porzekadło Goethego o *Dichtung und Wahrheit*, z góry bezsensowność zabiegów tych zaakceptować był zmuszony. Boże święty! Nawet o liczebność wojsk i czerni tu czy tam się kłócili, za łby wodzili, Świętochowski wsteczności, Szwejkowski baśniowości dowodził i dobrze, że do fechtunków nie doszło, boby trup gęsto inkaustem zalany padał. Tarnowskiemu zaś jedno wyszło na piątkę z wykrzyknikiem (*Ogniem i mieczem*), drugie na dobrze z plusem (*Potop*), a Kraszewski, *invidia maxima* pobudzony, tak wymieszał oceny swe z błotem, aż sam siebie nim opryskał i podlał.

Ludzkie słabości pojmuję, sam jak gdyby człowiekiem jestem, ale procentową zawartość cukru można obliczyć i na etykiecie podać, kiedy diety pilnującemu każą kalorie spożywane liczyć, lecz procenty prawdy w historycznym dziele — skądże znowu: czysty nonsens powstaje. Więc nie dyskrepancje między rzetelną historią obrony Częstochowy a oną supermonachomachią xiędza Kordeckiego zapraszają zmysły, oko i rozum, lecz zwyczajniej to, że można bajkę pisać i można realistyczną rzecz prowadzić za cugle, ale nie można szpikować powieści bajkami ani bajki realiami: dajmy na to wyjawiać, że wprawdzie czarownica rzuciła grzebień, który się w bór obrócił, lecz udokładnić skoro łupież miała, to bór powstał puchem kwiatu obrośły! To musi rozbawić, a przecież nie w tym rzecz, abyśmy się zatrzęśli ze śmiechu, gdy coś na kształt starożytnego oblężenia Stalingradu z oblegania klasztoru powstaje. Miarę znać trzeba, ot co. I dopiero czytelnik sakramencko upity xiążęciem Bogusławem i nadzwyczajną, bo nieopisywalną urodą Oleńki, jako też panamichałowym mistrzostwem w szabli zdoła na koniec nawet te nadmiary cnotliwości zabójczej łykać jak gąsior gałki, z Zagłobą na czele, który im był starszy, im bardziej ciężarem żywota przygnieciony, tym stawał się bitniejszy: jednym słowem, kiedy nas zahipnotyzują, uwierzmy we wszystko. Niepotrzebnie Gombrowicz terminy takie, jak „magik i uwodziciel”, „kucharz gotujący zupę z samych blasków”, zaserwował nam jako poniżające lot sagi Sienkiewiczowskiej, ponieważ stoję przy tym, że uwodzić, magię czynić, magią słów czarować oraz potrawy ducha z samych blasków warzyć to jest sztuka prawdziwa, *ars magna*. Na sam koniec lęgnie się w duszy fatalne podejrzenie, iż do uczynionej przez się w kotle czarownic (tu przypis by się znalazł, podający, czyje czarownice i co też warzą) juchy wrednej i paskudnej domieszał twórca *Trans-*

*Atlantyku* także i zawiść. Ponieważ nikt się na tym polu zbrojnej i opancerzonej, husarskiej polszczyzny mierzyć z panem Henrykiem Sienkiewiczem nie zdoła. Oczywiście krytykować, porównywać, w wywarach źródłowych prac wolno każdemu, kto umie, ile wlezie. Ale z lubościami lektury krętą moją ścieżyną nie ma to nic wspólnego. Zupełny nonsens, powiadam, jakby ktoś grecką mitologię empirycznie na „wywrotowość” (dzięki jej kontrfaktyczności) chciał wyprowadzić.

Jednym słowem, powyżej zdradziłem się z afektem, który zresztą i w najgorszych czasach Wiednia, za stanu wojennego, podtrzymywał mnie, a co więcej, uważałem, że Faulkner, powoławszy się na „ku pokrzepieniu serc” jako na dewizę właściwą, wcale nie upadł ani w głupstwa się nie wplątał, ponieważ *Potop* jest przecie o tym, że można się z nieszczęścia nawet powszechnie zbiorowego wydobyć o własnych siłach, i o to szło (w moim przynajmniej mniemaniu). Może to było placebo, a może driakiew zdrowie wracająca: skutek okazywał się ten sam i analizy chemiczno-leksykograficznej nie próbowałem. Oczywiście, nasilenie mej wiary w rozmaite postaci *Trylogii* było (bo musiało być) rozmaite. Najwięcej może słuszności Prus miał, bo Zagłoba, najpierw do wieprza podobny, potem się uskrzydła i najpierw starego oblatuje tchórz, a potem już nie; pana Podbipiętę zawsze miałem za osobę z herkulesowych podań przeszczepioną, a też Prus, zrównawszy Skrzetuskiego z Panem Jezusem, był zdrowym sensem ożywiony, lecz znów to, co nas czaruje i poraża jako całość, pozostaje dalej o wiele potężniejsze aniżeli elementy budowlane, i w tym tkwi tajemnica. Nikt temu nie dorównał u nas, razem z „Sienkiewiczem w spódnicy”, nikt a nikt: to nie jest naturalne świadectwo, tylko esencja, wytłoczona czy wydestylowana z moich sześćdziesięcioletnich Sienkiewiczowych rekolekcji. To przecież ani Paska język, ani Rzewuskiego, ale po prostu najczystszy, jaki może być, destylat i łaciną delia podszyta. Jeżeli ktoś chce, powiem wulgarniej: gdyby fałszerzowi udało się z wszystko jedno czego wytopić takie złoto, które nie jest właściwie złotem, lecz się odróżnić nie daje od autentycznego kruszcu żadną metodą ni żadnym sposobem, to owo fałszerstwo staje się właśnie czarodziejstwem, na którym polega prawdziwa sztuka. Obecnie tworzy się raczej w towocie, w łajnie, w potworach, w trylobitach (Lebenstein chyba oglądał jednak paleontologiczne atlasy, co by mu *notabene* najmniejszej ujmę nie mogło przynieść), w plamistościach, w bezkształtnościach różnoosiowych; grafiki, zwłaszcza wielobarwne, chaosu, których autorami są programy komputerowe, biją nie tylko na głowę wymęczoną już wyobraźnię ludzką, lecz ja — tutaj powiem to, co mnie już na amen ze wszystkim pograży i wiekuistej hańbie wyda — wolę *Potop* (ale tylko moją ścieżyną lektur wydeptany) od *Odysei z Iliadą*, nie przez ważący i rozważający uroki namysł, ale od czysto behawiorystycznej obserwacji: mianowicie, że chcę wracać do *Trylogii*, a do Homera mniej. Podjazd Kanneberga... ach, podjazd! A Sweno... i tak dalej. W redakcji „Tygodnika Powszechnego” roku Pańskiego 45, a może już 46, panowie Jasienica i Gołubiew umieli porozumiewać się samymi cytatami z *Trylogii*... i to, że one są niezapomniane, żadnymi śmigownicami żadnych krytyków w perzynę rozbite być nie może.

Rzecz dziwna dla mnie była w tym, iż potworności *Trylogii*, jej bitew, jej gwałtów, onego poigrania z dziewicami, którym potem kamień u szyi i w wodę, owe kałuże krwi krzepnącej i stęchły fetor pobojuwisk i zwały trupów — że to wszystko, że taka nawała strasznych śmierci została przez Gombrowicza uznana za rodzaj soku malinowego, za jakieś desery, boż nikt się nie umie tym przerazić i nikt się nie wzdygnie wobec podpiekanych kwaczem gołych ludzi

na belce — jako iż chodzi o dekoracje jakby teatralne. Ja bowiem ten sposób deskrypcji, który i prawdzie oddaje to, co prawdzie się należy, i mimo to nie poraża ani nie zbiera nas na wymioty — uznawałem za skutek mistrzostwa. Niechże kto inny spróbuje, ale tak, by mdłości nie wzbudzać — teraz natomiast nauzeatyczność w modzie, i w tym upatruję więcej pornografii niż (z jednym jedynym wyjątkiem) w całym Sienkiewicz. Powiadają eksperci, że był trochę pedofilem (bo dziewczynkowate są jego niewiasty, z Basią i Anusią na czele, nie trzeba sięgać do *W pustyni i w puszczy*), a też i sadystą: świadectwem, niestety, na pal nawłóczyzny Azji Tuhajbejowicza i ciężarna Ewka Nowowiejska, a jako finał haremy tureckie.

Ale też tej strony naszej historii dawnej unikali wszyscy jak zarazy, i pojmują, chociaż nieco wschodnie, azjatyckie, tatarskie rysy niektórych rodaków, a zwłaszcza rodaczek mogą dać do myślenia, chociaż to nic już z *Trylogią* nie może mieć wspólnego. Też mi dziwne, bo nastał czas, w którym poszły w modę okropieństwa, a przecież będąc przedmurzem, miało się, niestety, moc okazji zakosztowania tatarsko—tureckich zalotów względem białogłów nadwiślańskich czy zawołyńskich raczej. Ale o metodzie konstrukcyjnej *Trylogii* pisałem już przed wielu, wielu laty w *Filozofii przypadku*, więc nie zamierzam ani powtarzać napisanego, ani poszerzać tego, bo babrania się w sprawach nawet i przez odległość historyczną zmiękczonech, lecz koszmarnych, nie cenię, a mówiąc bliżej prawdy, nie cierpię.

Kiedyś, ale to dawno było, zamierzałem napisać o Sienkiewicz jako autorze *Trylogii* książeczkę pt. *Magik i uwodziciel*, terminy wzięwszy z eseju Gombrowicza; nie przyszło jednak na to, bo, prawdę mówiąc, po prostu nie potrafiłem: i nie bardzo wierzę, ażeby wartości ponad-Dumasowskie jakkolwiek tłumacz mógł z *Trylogii* wynieść i przenieść w obszar innego, czy to niemieckiego, czy to angielskiego języka. Dodam, ale nie jako zabezpieczenie, lecz po prostu tak zwyczajnie, że *Quo vadis?* uważam, całkiem jak Francuzi, za okropny kicz, ale dlaczego, to już wolę zamilczeć.

1992

## Rozważania sylwiczne XCII

Otrzymuję stosunkowo sporą ilość wydawanej różnym nakładem młodej naszej poezji i prozy. Mojego stosunku do kształtu nowoczesnej poezji nie ukrywałem nigdy, ale i nie starałem się być jej krytykantem, ponieważ to, co tradycjonalistę we mnie szczególnie razi, a mianowicie zerwanie nieomal definitywne z klasyczną formą wiersza idącego w uprząży rymów i rytmu, bardzo rzadko umiało wderzeć się do mojej wrażliwości i pamięci. Takie wiersze jednak istnieją i niekoniecznie, jak utwory Ewy Lipskiej, powstały w ostatnich latach. W ujęciu trochę metaforycznym wiersz, tak jak go chciałbym zrozumieć, posiada semantyczną zawartość, która jest przeważnie rozmyta aż mgławicowo, i tylko w rzadkich wypadkach staje się wieloznaczność szczelną otuliną, której nie można zlekceważyć. Nie będąc jednak ani trochę znawcą poezji wykraczającej poza romantyczno—klasycystyczną rubież, nie mam równocześnie prawa do występowania w roli autorytetu. Powiem tylko, że, ku mojemu ubolewaniu, bardzo wiele poetyckich tekstów młodych ludzi zdaje mi się składać z części zamiennych i wymiennych, to znaczy, że piętno indywidualności przejawia się jeśli w ogóle,

to raczej mało wyraziście. W moich oczach nie jest to zaletą tej poezji, ale jak powiedziałem, wydawanie osądających ocen nie do mnie należy.

Natomiast trochę inaczej, a może nawet zupełnie inaczej, ma się rzecz z prozą. Nieraz odnoszę wrażenie, że młody prozaik zachowuje się wobec języka tak, jak zawodnik karate wobec przeciwnika. Jest raczej w bilansach oksymoroniczny, ponieważ liryczny i surowy, ostrożnie zamyślony i niedbały, jasny i ciemny. Bardzo często znaczy to, że proza fabularna, czyli posiadająca swój rozwijający się wątek, jest uduchowiona rozszarpywaniem deskrypcyjnym do tego stopnia, że (znając sporą ilość tekstów pisanych przez schizofreników) jestem przekonany, że każdy psychiatra miałby skłonności do przypisywania takim utworom pochodzenia z anormalnego źródła. Są to raczej dość rozpaczliwe i daremne próby nadawania oryginalności, jako autorskiego piętna, narracji w istocie swej banalnej. Bardzo silnie rozwichrzone teksty nie mogą z reguły liczyć na poczytność, ponieważ, czy to na szczęście, czy niestety, większość osób skłonnych do lektury beletrystyki nie przepada za stylistyką akrobacyjno-dziwolągową. Powodowany właściwą mojej naturze litością, pominię całkowicie osobliwy gust rozmiłowanego w antydeskrypcyjnych, niekoniecznie fantastycznych, tekstach zawodowca, jakim jest Henryk Berezka. Jednakowoż argument, czy raczej kryterium dobrej przyswajalności pisanego, może być lekceważony, ponieważ bardzo często młody twórca nie działa w pojedynkę, lecz w grupie, która jednocześnie jest dlań oparciem i wylęgarnią potencjalnych antagonizmów. Jednym słowem, uważam bardzo wiele za nieczytelne na skutek skrytej za tekstami intencji autorskiej, ażeby imaginacyjnym lub formalnym potwornictwem właśnie do lektury przymusić. Sprawa wydaje mi się dość prosta, a nawet trywialna: ten, kto nie ma osobistego zaplecza obfitującego w różnorodność przeżyć i tym samym skazany jest wyłącznie na produktywność własnej, często otorbionej samotnością imaginacji, znajduje się na pozycji, z której bardzo trudno pomyślnie wystartować. Powszechnie znany potwór, jakim był Stalin, odpowiedział na pytanie pisarzy: „co pisać?” — „piszcie prawdę!” Człowiek tak naładowany ciężkim ogromem doświadczenia jak na przykład Kapuściński dysponuje masą surowca podatnego na przetwarzanie, ale trzeba zaraz dodać, że mało kto umie z podobnego ogromu sporządzić godzący w czytelnika destylat. Jednym słowem, jest trochę tak, jak pisał w swoim *Dzienniku* Gombrowicz: pisarstwo, także i tego, kto był świadkiem lub niedoszłą ofiarą ludobójstwa, nie uzyskuje dzięki osobistemu losowi gwarancji osobliwszej kariery. Nie musi jednostka przeżyć ani nazbyt wiele, ani zbyt mało, ażeby dopracować się pisarskiej skuteczności. Język jest jedynie narzędziem, które powinno obrabiać i konstruować to, co nie jest samozwrotne, czyli z języka obróconego w tenże język na ogół mogą się lęgnąć limeryki lub igraszki ludzi usiłujących maskować wewnętrzny brak ważkich treści elokwencyjną akrobacją. Na świecie działa obecnie wiele dziesiątków tysięcy, a kto wie czy nie setek tysięcy aspirantów literatury prozatorskiej, toteż niepoślednią rolę w wykatapultowaniu nielicznych wzwyż może też odgrywać korzystny splot znajomościowych układów, a więc przypadek. Ponieważ jednak wszystkie próby kategorycznej rezygnacji ze skierowanych na pozajęzykowe cele sensów nie przyniosły więcej aniżeli krótki fajerwerkowy rozblask, trzymam się jako czytelnik reguły, że proza powinna wychodzić od jakiegoś początku, zmierzać jakąś drogą i docierać do miejsca, które nie będzie tylko urwiskiem. Przy tym może być zarówno wędrowną pieszą, biegiem, lotem ptaka, ale zawsze idzie w niej o grę, prawie z reguły konfliktową, która może mieć w rozumieniu teorii walor zerowy albo niezerowy, ale toczy się

między ludźmi. Znaczy to, że zawsze jest w jakąś postać mikro– albo makrosocjologii uwikłana, i ten, kto przeciwnika, to znaczy człowieka, zastępuje „Naturą” lub „Kosmosem”, w gruncie rzeczy wykracza poza boisko gier literackich z pełnym ryzykiem właściwym takiemu wykroczeniu.

Oczywiście wszystko powyższe można ująć w kilka słów: ażeby pisać, należy dysponować treścią lub treściami nie przeżutymi i nie przetrawionymi tysiące razy w historii literatury. Z wielokrotnie już ogranych zjawisk także może czasem wyniknąć coś niespodziewanego, ale jest to prawdziwie trafiające się ślepej kurze ziarno.

Ze swojej strony wszystkich młodych ludzi odwiedzających mnie osobiście lub swoimi tekstami staram się zniechęcać do wkroczenia na literacką drogę, która okazuje się graniczką, ale wiem, że chodzi o bardzo intensywnie przeżywany i aktywizujący nałóg, podobnie zresztą jak każda trudna wspinaczka skalna.

2000

### **Rozważania sylwiczne XCIII**

Od czasu do czasu budzę się w środku nocy. Od czasu do czasu przebudzenie takie następuje równocześnie z ustaniem dopływu prądu w całym naszym osiedlu. Zupełnie niedawno, kiedy podczas takiej koincydencji w mroku i braku prądu sięgnąłem po omacku do regału z książkami, przy którym znajduje się moje legowisko, nieumyślnie straciłem sobie na głowę gruby tom w śliskiej okładce. Kiedy wróciła elektryczność, a wraz z nią światło, zorientowałem się, że przypadek obdarzył mnie od lat zapomnianym egzemplarzem niemieckiego magazynu „UHU”. Magazyn ów wychodził w Niemczech w latach dwudziestych, egzemplarz zaś, jaki spadł mi z półki, jest powojennym już drukiem, stanowiącym zbiór najróżniejszych tekstów, wywiadów, fotografii, karykatur i reklam wybranych z edycji tego miesięcznika, które pochodziły z czasu mego dzieciństwa. Lata dwudzieste i początek trzydziestych, oglądane z perspektywy roku 2000, a zatem z dystansu jakichś siedemdziesięciu lat, zrobiły na mnie wrażenie niemalże archeologicznego wykopaliska z pradawnej epoki. Wszystko, co zaszło po ukazaniu się pierwodruków tego magazynu, a więc druga wojna światowa, niemiecka inwazja, rozbiór Polski hitlerowsko–stalinowski, narzucane nam formy ustrojowe, zasadniczo odmienne, lecz okrutnie podobne w ludobójczym trzonie, olbrzymie, fatalne przepychanie Polski przez protektora sowieckiego na Zachód, wypędzenia godne miana wędrówki ludów, krwawe morza, rozwalone w ceglany proch miasta europejskie i nasza stolica, wszystko to razem było, rzecz oczywista, zarówno nieprzeczuwalne, jak niewyobrażalne dla redakcji i wszystkich współpracowników „UHU” (jest to niemiecka nazwa puchacza). Hitler pojawia się już na fotografiach, ale jako istota dość śmieszna, z której wolno się naigrywać w karykaturach. Mnóstwo reklam ukazuje niesamowitą wręcz zmienność i metamorfozę, jaką przebyły dzieje dopiero co minionego stulecia. W niemieckim magazynie wszystko wygląda tak niewinnie, a zarazem tak obco dla współczesnej wrażliwości, że jakby nie do wiary. Całą swoją zawartością zdaje się to „UHU” zapewniać, że nic przeraźliwego, nic okrutnego, nic niewiarygodnego w najbliższych latach zająć nie może. W numerze, który wpadł mi w ręce, znajduje się nawet wywiad z Tomaszem Mannem, i on jeden właściwie w



niezmienionej przez czas wymowie opowiada o swoim sposobie pisania i patrzy ze swojej fotografii. Uderzyło mnie natomiast coś, czego bym się bodaj nie spodziewał: epatowanie, dość nieśmiało jeszcze i całkowicie obce nam już w guście i stylu, nagością. Zmarła niedawno w wieku dziewięćdziesięciu lat Hedy Lamarr jako pierwsza gwiazda filmowa ukazuje się nago, osłaniając skromnie piersi i łono. Zarówno w jej postawie, jak i we wszystkich właściwie zdjęciach zapomnianych już, ale także i zapamiętanych przez nas ludzi, same pozy, samo ukształtowanie odzieży, mój Boże, nawet czupryny, wykroje uszminekowanych warg kobiecych, zdają się wyjawiać tajemnice zaprzeszłego czasu. Wszelka rzekoma naturalność i zwykłość twarzy, wehikułów, domów i placów miejskich ukazuje swoją chwilowość, jak gdyby nieświadomie trwała dla podkreślenia wszystko koszącej przemijalności. Właściwie byłem zaskoczony ogromem odległości powstałej między mną dzisiejszym a tamtym czasem. Oczywiście może się zdawać, że najszybciej i najbardziej nieodwracalnie powstają i gasną produkty technologii, jak auta czy samoloty, ale chyba się już do tego przywykło, to natomiast, że uśmiechy, miny, gesty, pozy ludzi sprzed wszystkich całopaleń, które przeorały Europę i część Azji, również ukażą się nam niemal jako widma, jako zjawy nieodwołalnie dokonanego i zastygłego w bezradnej niewinności czasu, że cały tamten świat tak doskonale rozpadł się w nicość, okazało mi się dziwnym doświadczeniem w środku nocy i światłach, które powróciły. Człowiekowi skonfrontowanemu z czymś tak w gruncie rzeczy bezwinnym, jak owo „UHU”, objawia się niejako namacalnie, czy raczej naocznie, bezwzględny w swoim zapamiętaniu chód dziejów, którego nic nie może powstrzymać. Tamten Hitler z wąsikami schylony w ukłonie, ministrowie Rzeszy, aktorki filmowe, których nazwisk nikt już nie pamięta, zdają się w swoich archaicznych zastygnięciach oznajmiać to, o czym w tamtym czasie nikt nie miał pojęcia, co jako przepowiednia zostałyby uznane za koszmara wariata, śniony nieprzytomnie, a przecież wszystko właśnie z tamtego brzegu temporalnego patrzące w tamten już nie istniejący czas zdaje się mówić, ale dopiero nam dzisiejszym, że w żywotach, peregrynacjach, widowiskach ludzkich nic nie daje się powstrzymać, i naturalnie od razu powraca w myśli dalekowschodnie powiedzenie, że życie to skok białego konia nad przepaścią. Oczywiście banał, ale niebanałne jednak jest doświadczenie nagromadzone w pamięci, gotowej do spojrzenia w utraconą przeszłość. Bezradnie kartkowałem „UHU”, aż uznałem, że najrozsądniej będzie czym prędzej wstawić magazyn na powrót do regału, ponieważ wszystko w nim pozostało zarazem wiernie utrwalone fotografią i drukiem i tak zetłale, zgładzone przez upływ czasu. Pamiętam jeszcze z tamtej epoki detektory, czyli malutkie aparaty kryształkowe „pierwotnego” radia. Ze słuchawkami, ponieważ nie mając własnego źródła zasilania, żywiły się emisją radiostacji. Pamiętam jeden z samochodów, mercedes, w którym kilka lat później jeździł Hitler, ale ten model na reklamie w „UHU” był limuzyną, a Führer poruszał się w aucie otwartym, stojąc i pozdrawiając wiwatujące tłumy niemieckie wyciągniętą ręką. Zanim jeszcze wetknąłem ów magazyn między inne książki, zajrzałem do spisu rzeczy i przekonałem się, że trzymam w ręku wydanie umyślnie sporządzone po wojnie — być może edytorom przyświecała myśl doboru spraw i zjawisk minionej ery, które by poświadczyły jej rzetelną zacność i nawet skromność. Wszystko to razem oczywiście stanowi spotkanie z przeszłością trywialne i być może niewarte nawet wzmianki, ale dopiero naoczne sprawdzenie okrucichów przeszłości, prawie jak jakaś wehikułem czasu umożliwiona wizja lokalna, pozwala odczuć, jak strasznie szybko toczą się niewidzialne maszyny historii i jak my

sami w coraz bardziej rosnącym pędzie poruszamy się, czy też raczej jesteśmy unoszeni w całkowicie niewiadomą i chyba niewyobrażalną przyszłość.

2000

## **Rozważania sylwiczne XCIV**

### **Przed frankfurckimi targami książki**

Nadciągające targi książki we Frankfurcie godzi się poprzedzić krótkim rozważaniem. Trochę wstyd, ale na myśl przychodzi mi najpierw to, co pewna niemiecka dama, która owe targi zwiedziła kilkanaście lat temu, napisała, że przypominają jej klozet dokumentnie zatłoczony masą papieru. W okrucieństwie tej wypowiedzi tkwi, niestety, spora szczypta prawdy. Ja sam byłem dawno temu gościem na owych targach i udało mi się z nich dość szybko uciec. Zmasowana podaż książki, a teraz nie tylko książki rozumianej jako druk zwarty, ale także godny przeniesienia w sferę elektronicznego zapisu, musi być, czy chcemy, czy nie chcemy, spokrewniona z informacyjnym potopem. Wszystkie rodzaje powodzi wynikają z nadmiernej masy wód i nie można w owych zalewach rozróżniać wody lepszej i gorszej. Natomiast literaturę wszelkiego rodzaju, której spiętrzenie wielojęzyczne runie na Frankfurt, oczywiście możemy w poszczególnych wypadkach próbować waloryzować. Pragnąc zapoznać się z tytułami nowych książek, pochodzących z dostępnych mi obszarów językowych, ściągnąłem sobie z Niemiec, ze Stanów Zjednoczonych, z Rosji, oczywiście i z Polski, wykazy bestsellerów letniego okresu, zamiarem było wybranie i sprowadzenie pewnej ilości tych tak pokupnych książek. Po przejrzeniu przysłanych katalogów doznałem niejakiego przygnębienia. W beletrystyce nie napotkałem niczego, co chciałbym przeczytać dla przyjemności lektury, a nie z obowiązku krytyka, którym nie jestem. Uderzył mnie przy tym przedziwny sukces książek pani Rowling, opiewających czarodziejskie umiejętności uzyskane przez malca zwanego Harrym Potterem. Zjawisko to jest dość symptomatyczne dla naszych czasów, zwłaszcza że nie tylko tłumy dzieci usiłowały jak najszybciej zapoznać się z potęgą czarodziejską owego chłopca, ale — jak czytałem — bajki te smakują również czytelnikom dorosłym. Wyglądałoby więc na to, że sukces utworu jest zależny od odległości, jaka dzieli jego fabułę od realnego świata, w którym żyjemy i który jak gdyby coraz mniej nam się podoba. Mówiąc krócej, nazywamy to ucieczką od rzeczywistości, czyli eskapizmem. Eskapizm ów wciska się zresztą nie tylko do książek, ale jest wszechobecny. Amerykańskie koncerty multimedialne produkują coraz więcej treści przeznaczonych dla osób dorosłych, inwestując coraz więcej technicznych środków w coraz brutalniej stereotypowe fabuły. Ostatnim czasem usiłują nam wyjawić, że przybysze z gwiazdnych cywilizacji zajmują się wyłącznie elektronicznie doskonalonymi formami ludobójstwa. Również wyprawy ziemskie nie mogą natrafić we Wszechświecie na nikogo prócz uzbrojonych w laserowe zęby potworów i monstrów, ze zsumowania zaś owych technicznie wyrafinowanych, a treściowo morderczych wysiłków wynika coraz bardziej radykalne zredukowanie kultury masowej do pankosmicznych wojen, osobliwie często kończących się zwykłym mordobiciem. W gruncie rzeczy wygląda na to, że albo należy od ziemskiej rzeczywistości uciekać w magię, jako obszar wyz-

wolonia od codzienności, albo wypada kierować się w stronę „doroślejszą” — seksu przyprawionego często krwią.

Poza beletrystyką czołowe miejsca na listach bestsellerów zajmują książki poświęcone tzw. literaturze rzeczowej (*Sachliteratur*). Jesteśmy zatem rozdarci pomiędzy skrajnościami, których całego obszaru, rzecz oczywista, nie byłem w stanie spenetrować. Być może moja krytyczna opinia wynika z tego, że nie zapoznałem się z reprezentacyjną próbką współczesnej literatury, ale po prostu miałem do czynienia ze zbiorem tytułów, które najbardziej podobają się szerokiej, a więc nie zawsze wymagającej publiczności. Może coś w tym jest, ale muszę tu wnieść trzeźwiącą uwagę, że ostatnio czytana przeze mnie książka, bardzo kompetentnie prezentująca elementy poznania w dziedzinie matematyki, wyszła w nakładzie dwustu egzemplarzy w Krakowie i na pewno nie dostałaby się w moje ręce, gdyby mi jej autor nie przysłał. Zatem znów naprasza się sugestia, że to, co wymaga niejakiego umysłowego wysiłku, a przynajmniej aktywności odbiorczej, sprzedaje się kiepsko, w przeciwieństwie do czarnoksięskich i kryminalnych fidrygałek. Prawdopodobnie wtórnym skutkiem przekroczenia przez ludzkość liczby sześciu miliardów żyjących jest postępujące różnicowanie się czytelniczych gustów w różnych kręgach językowych, co dostrzegam po prostu w tym, że zarówno autorzy, jak i tytuły ze zbioru wszystkich bestsellerów amerykańskich niewiele mi mówią. Jeżeli chodzi o rynek literacki w Europie, panuje na nim ilościowa nadprodukcja oraz jakościowy niedostatek, w dziwny sposób wspomagane przez reklamę. Nie widziałem jeszcze nigdzie, ani na ekranie, ani w gazecie, ogłoszenia zalecającego jakąkolwiek nowość, która właśnie wyskoczyła z głowy Pisarza, jako „drugą z kolei najlepszą na świecie”. Każdy produkt, a więc i książka, jest pierwszorzędny i wszystko jest równie przekonująco zachwalane. W takiej sytuacji o powodzeniu danego tytułu decyduje umiejętna kampania reklamowa, głośne nazwisko lub po prostu przypadek. Wpływów komercjalizacji nie uniknęła nawet literatura popularnonaukowa, której zestawienia zamieszcza w każdym numerze tygodnik angielski „New Scientist”. I tam wszystko jest najlepsze i najdoskonalsze.

W ten sposób potencjalny czytelnik zamienia się w barana, któremu pokazują nie jeden egzemplarz całkowicie rozebranej cudnej niewiasty, ale ich dwie lub trzy dywizje naraz. Wobec takiego nadmiaru eksponowanych wdzięków zapewne wybierze pierwszą z brzegu, a przy okazji nastąpi otepienie jego żądz, które przeniesione w obszar łaknień czytelniczych oznacza po prostu, że skoro wszystko proponowane przez tysiące wydawców jest pierwszorzędne, wybór może być wyłącznie losowy. Nacisk komercjalizacji kształtuje odczucia społeczne w ten sposób, że wszystko, co świeżo wyprodukowane, niejako automatycznie musi być najlepsze. Nie tylko auto, nie tylko lodówka, nie tylko komórkowy telefon lub komputer, ale tak samo powieść wydana w roku dwutysięcznym, samą mocą faktu, że w tym roku została opublikowana, powinna być lepsza od powieści sprzed trzech lat...

Trudno nie dodać, że owo miotanie się pomiędzy niewinnym czarodziejstwem mającym wybawić nas od trosk zagrażających nawet dzieciństwu, aż po ekstremę wciąż od nowa składaną z romansu, potworów, krewnych pozaziemskiej proweniencji, czyli gwiazdowych ciotek i stryjaszków, a także wszystkie komputery, rozlewiska krwi oraz cały zbiór motywacji zawiadujących zbrodnią, a dających się sprowadzić do wspólnego finansowego mianownika (pogoń za kokainą, za brylantami, za skarbami Kara Mustafy i tureckich Indian), że wszystko to

razem wytwarza rozszerzającą się globalizacyjnie cywilizacyjną pandemię nowego tysiąclecia.

Być może wielu spośród tych, którzy będą czytali moje słowa, wydadzą się one przesadnym gderaniem, źle uzasadnionym potępieniem współczesnej twórczości, czyli wyswobodzonej z okowów rytmu i rymu poezji i pozbawionej staroświeckiej szlachetności prozy, lecz trudno byłoby mi opisywać krajobraz współczesnej aktywności pisarskiej na przekór własnym doświadczeniom. Mnie bowiem, jakkolwiek to mało sensowne i bardzo staroświeckie, podobają się utwory Arthura Schnitzlera, Hermana Melville'a, Josepha Conrada, podobają mi się nadal takie książki, jak historia o hochsztaplerze Krullu, który był bohaterem Tomasza Manna, jak wielkie sagi mieszczańskie Francuzów ostatniego stulecia, a nawet, o hańbo, dramaty Szekspira. Jeżeli sięgam po tomik poezji, będzie to raczej humor wisielczy Morgensterna. Ponieważ przyznaję się do mojej wstydlivej słabości, że oczekuję lektur, które mi sprawią wzruszającą przyjemność. Być może wyznaję tylko własne literackie zacofanie, ale, jak się to powiada, *de gustibus non est disputandum*. Dobrze pojmuję niezawinione przez literatów okoliczności, które zmuszają ich do rozpychania się na zatłoczonym rynku książki, i nie zamierzam siebie stawiać za przykład, jako autora, który przed dwunastu laty złamał, jak to się mówi, „pióro”, ponieważ uznał, że już dość, czyli *satis est*. Była to moja osobista decyzja i bynajmniej nie zamierzam jej komukolwiek narzucać. Trudno zresztą wyobrazić sobie, ażeby wszyscy parający się pisarstwem się zmówili i zamknęli w zakonie definitywnego milczenia. Fakt jednak jest oczywisty, że im więcej nowych książek, tym więcej dzieł staje się ofiarami powszechnego zapomnienia. Jest to szkoda, której bodajże nie będą mogły powetować żadne targi książki. *Eo modo dixi etsalvavi animam meam*.

2000

## Rozważania sylwiczne C

Pewien znany uczony sporządził artykuł zbudowany z cytatów autorstwa całego szeregu współczesnych znakomitości, takich jak Derrida, Lacan, Paul de Man i wielu innych. Cytaty te połączył klejem werbalnym, równie mało sensownym jak zawartość owych wyjątków. Następnie wysłał ten pasztet do chlubiącego się wysokim intelektualnym poziomem periodyku, gdzie został opublikowany. Wtedy dopiero ujawnił rozmysł, jaki nim powodował. O tym wypadku, który nie był *notabene* jedyny, pisał Maciej Broński (Wojciech Skalmowski) w jednej z edycji paryskiej „Kultury”. Był to cios zadany rozlewającej się szeroko bełkotliwej gadaninie, zwanej na przykład postmodernizmem.

Sprawie tej można nie tylko przypatrzeć się uważnie, ale ją niemiłosiernie rozszerzyć na bezlik zachowań ludzkich, rozpościerających się także poza obszarem wydziałin dostarczanych przez intelektualne elity świata. Ogólnie biorąc, podobnie jak księżyc bywa otaczany mglistym otokiem, tak też ściśle dyscypliny naukowe okrażane są przez najrozmaitsze rodzaje blagierstwa. Nie byłoby w tym właściwie nic osobliwego, gdyby nie fakt nadzwyczaj uporczywego utrzymywania się na całej powierzchni zachowań ludzkich obszarów bredni, mających swych niepouczalnych i tym samym uporczywych wyznawców. Pozwolę sobie wyliczyć tutaj tylko kilka takich wysypek, trwale świerzbujących ludzi. Mamy więc UFO,

czyli jakoby niezidentyfikowane obiekty latające. Mamy znachorów, cieszących się znaczną estymą mimo minimalnych terapeutycznych efektów, mamy ogromną domenę zjawisk tak zwanej parapsychologii, a więc jasnowidzenie, czytanie myśli, PK (*psychokinesis*), czyli dokonywanie materialnych przekształceń wyłącznie myślą, mamy różdżkarstwo, mamy też mniej szkodliwe, lecz nie mniej nawiedzane przez ochotników domeny, jak na przykład liczbowe dziwactwa, jakoby ekstrahowane z rozmiarów egipskich piramid, i gdybym się w tym miejscu nie zatrzymał, to można by podobną listę bardzo znacznie przedłużyć. Nie całkiem od rzeczy będzie też uwaga, że producenci widowisk dla straszliwie rozmnożonych programów telewizyjnych bardzo chętnie snują swe fabuły niesamowite, operując czarownicami, przybyszami z przyszłości, a także z przeszłości, duchami, widmami, a zwłaszcza potworami i monstrami, które przenieśli z ciemnic starych angielskich zamków w cały Kosmos. Ponieważ nie jestem w stanie przeprowadzić żadnych badań mających wykryć, czy i jaka część telewidzów daje się nawrócić na poważne traktowanie czarów–marów, klątw, mocy tajemnych, zjawisk zza grobu itp., jedynym zjawiskiem, na jakie mogę się w tym wypadku powołać, jest zacny chłopczyna, Harry Potter. Olbrzymia popularność bajających o nim książek przymusiła do niejakiego ześrubowania umysłowo na ogół wysokich kryteriów krytyki literackiej. Moim zdaniem przyczyną, dla jakich wszelkiego rodzaju uroków, magii, czarów, przesady, nawet najprymitywniejsze, jak reguła nieprzechodzenia pod stojącą drabiną, albo zwiastowanie fatalnych przypadłości, jakie stanowiąc przebiegający nam drogę czarny kot, albo wreszcie trzynasty dzień przypadający w piątek — wszystko to razem stanowi żyjącą głęboko w podświadomości prawie każdego człowieka niechęć sprostania, czyli stawienia czoła, pouczeniom i faktom trudnym, na jakich zasadza się nasze istnienie.

Owe uporczywie towarzyszące nam bałamuctwa mają bardzo twardy żywot. Ileż to trudu zadają sobie uczeni, ażeby rozpoznać na przykład wielce zawile arkana komunikacji myślowej, przekładanej nie tylko na języki. Jakże łatwo uznać, że telepatia to jest coś w rodzaju telefonu. Po co wydawać pieniądze i poddawać się poważnym operacjom, jeśli znachor odczytni uroków, mimo tego że pacjentów przez niego wyleczonych da się wyliczyć na placach odciętej ręki. Po co opowiadać o niemożliwości oddziaływania myślą na przedmioty, tak aby na przykład dom zechciał się nam sam wybudować z kupy cegieł. Czyż nie byłoby milej, żeby zrobił to za nas tzw. *poltergeist*? Ogromne rzesze ludzi nadal lgną do przekazów, przepowiedni, terapii, dziesiątki tysięcy razy w pełni sfalsyfikowanych i całkowicie błędnych. Tłumy gotowe są nadal wierzyć w najrozmaitsze dziwactwa i nieprawdopodobieństwa, kuszące swoją zagadkową łatwizną, dawne zaś początki podobnych szamaństw, sięgające Asyrii, Egiptu i Babilonu, przyoblekają się jedynie obecnie w nową szatę słowną, na przykład psychotroniki. Nawet tam, gdzie wznoszą się szczyty myślowego wysiłku ludzkości, w matematyce, w fizyce, w hermeneutyce, jakże miło jest buszować samowolnym nadzwyczajnym bałwanom, którzy bardzo łatwo zdobywają sobie poklask, uszanowanie i wiernych apologetów. Mam wrażenie, że już tacy jesteśmy i właśnie dlatego panuje dziś na świecie taki popyt na owe uczelnie czarnoksiężstwa, w których Harry Potter z dziecinną swobodą uzyskał dyplomy nadnaturalnej mocy, a także przy okazji autorce, która go stworzyła, przyniósł w darze miliony dolarów.

## Rozważania sylwiczne CI

Od pewnego czasu wzburzenie, skrywane dotąd w duszach znawców sztuki, poczęło się ujawniać całymi seriami artykułów publikowanych po różnych czasopismach, które w sumie stanowią odpowiednik salw burtowych ciężkiej artylerii. Przedmiotem ataków, oskarżeń i oburzonych deprecjacji są tak zwane dzieła współczesnych sztuk plastycznych, wystawiane także i w Polsce. Różne rodzaje publicznie eksponowanych wypróżnień, kontakty seksualne z obiektami sakralnymi, puszki zawierające zakonserwowane wydaliny artystów, zwane *merde*, co równa się po polsku gównu, jako też bardziej niewinne, choć pełne plwociny spluwaczki, a wreszcie obiekty budzące zgrozę, obrzydzenie, niechęć, ewentualnie zaś drobne konwulsje zwiedzających, łatwo dostępne galerie pełne tego rodzaju dzieł sztuki poczęły nareszcie dawać w głosach krytyki, brzmiących jak szydercze klątwy, rykoszety. Jest rzeczą zadziwiającą, jak długo publiczność łaknąca wrażeń estetycznych prezentowanych w wielu metropoliach była gotowa milczkiem przechadzać się wśród eksponatów plastyki przypominających skamieniałe prosektoria, jako też kolekcje robaczywych liszajów. Jedynie człowiek bardzo naiwny mógłby mniemać, że oprócz siuszków, włosów przyklejonych spermą do szkła, jako też olbrzymich ilości kału niczego już więcej od nowoczesnej sztuki plastycznej oczekiwać nie sposób. Nic bardziej naiwnego, Drogi Czytelniku. Ostatnio czytałem o nowej wystawie, która gdzieś, zdaje mi się, że w Paryżu, otwarła swe podwoje. Jej umiarkowanie szczerą innowacją cała w tym, że oprócz podłogi, ścian z oknami i sufitu nic w salach obejrzeć nie można, ponieważ są najzupełniej puste. Twórczość taka, jak nam wyłożono, sprowadza się do tego, że łaknący kontaktu ze sztuką przybysz zostaje całkowicie oswobodzony od oglądania tego, co się jakiemuś tam twórcy zachciewa, ponieważ w jasnej pustce wszystkich ścian i sufitów może sobie sam wystawić, co tylko mu się żywnie będzie podobało.

Nie należy jednak sądzić, pograżając się w niewinnej zadumie, że tym sposobem dojechał postmodernizm do ostatecznego kresu. Następcą jego będzie sala wprawdzie pusta, ale udająca, że ma jakiś przestrzenny ciąg dalszy. W istocie wyrwa w podłódze, zręcznie, albowiem artystycznie zamaskowana, sprawi, że każdy łakomczuch estetyki trzydziestego stulecia spadnie z należytej wysokości pomiędzy spirale lub kolce ogromnej maszyny, będącej gigantycznie powiększonym młynkiem do mięsa. Po odpowiednio długim czasie trwania tej rozrywającej ludzkie kadłuby rozrywki wszyscy ci, którzy jeszcze do niej nie wpadną, będą się mogli do syta delektować widokiem istnej tęczy rozkrwawionych trucheł, zabawnie, ponieważ miarowo wyrzucanej i mielonej przez drapieżnie kolczaste walce. Nie mogą również wykluczyć powstania reinkarnacyjnego ludożerstwa, jako superpostmodernizmu. Zresztą w kwestii całkiem zwykłego, niemiłosiernie wciskanego nam modernizmu rozwarły się otchłanie dowolności, do których wrota otwarł dla nas w filozofii imć pan Derrida.

Paradoksem naszych czasów jest to, że kolosalnemu przyborowi przyspieszonej wiedzy, pouczanej wreszcie, jak to sobie bardzo dawno temu marzyłem, przez cierpliwie miliardoletnią technologię ewolucyjną — sprawczynią wszelkiego żywota, jednocześnie towarzyszy obrzydliwy arsenał głupoty i prymitywizmu, pretendujących do wejścia na Olimp sztuki. W dziedzinie słowa poświęconego literaturze prozatorskiej również mamy modernizm, a jednoc-

ześnie zręczną ucieczkę od trudno przyswajalnych nowości, w postaci szeregu tomów angielskiej proweniencji poświęconych uczelniom czarnoksiężstwa, jako też ich młodocianemu wychowankowi.

Zapanowała zgoła nieznana dotąd i niesłychana epoka wolności, w której prawdopodobnie u progu tysiąclecia będzie już można nie tylko uczynić bliźniemu, co mu niemiłe, ale również spożyć go pieczonego lub surowego, przy zachowaniu zupełnej bezkarności, ponieważ wszyscy będą jedli wszystkich jedynie wirtualnie. O tych wspaniałych wirtualnych wirtualnościach można się wiele dowiedzieć z prasy, która również stanie się wirtualna. Ponieważ zaś znane nam jest jeszcze ze starej anatomii i patologii zjawisko tak zwanego wgłobienia, wszelka wirtualna jawa będzie się mogła zagłębiać w wirtualności następnego poziomu, proces ów zaś będzie biec coraz dalej i dalej, zgodnie ze znanymi paradoksami teorii mnogości Cantora, w nieskończoność, a nawet w pozawyliczalną pozaskończoność. Jedynie szczęśliwcy, do jakich i ja należę, nie zdołają dożyć tych przepaścistych czasów super hiper postmodernizacji, która pozostawi za sobą odrzucone w pogardzie wszelkie vernieery, Cranachy i inne głupstwa. Pierwszym znakiem zapowiadającym tego rodzaju *mane tekel upharsin* jest już objawiona nam i powszechnie znana kolosalna dziura skalna, w której stał tysiącpięćsetletni posąg Buddy, zgruchotany środkami wybuchowymi przez hołdujących postmodernizmowi talibów. Historia ma do siebie to, że wciąż posuwa się naprzód i że nie można jej cofnąć. Jeśli chodzi o mnie, z postmodernistycznego pociągu wysiadłem na przystanku Hieronima Boscha i żadna moc mnie z tego miejsca nie poruszy.

2001

### Rozważania sylwiczne CIII

Literacki krytyk niemiecki nazwiskiem Kaiser powiedział w wywiadzie, zamieszczonym w tygodniku „Der Spiegel”, kilka prostych słów, które mnie zastanowiły. Nie jest on tak znany jak Reich–Ranicki, ale to człowiek rozsądny. Powtarzam jego uwagi z pamięci: utrzymuje on, że zachodzi upadek tzw. wysokiej kultury (*Hochkultur*) i że to się dzieje w skali światowej. Wydaje się to orzeczenie zarazem banalne, ale też oczywiście celne. Wylicza się rozmaite czynniki wchodzące w skład procesu tzw. globalizacji, które się przyczyniają wspólnie do spłaszczenia świata umysłowego, obejmującego zarówno twórców, jak odbiorców zjawisk kultury, co sprawia, że poziom wszelkich dzieł, a przede wszystkim literackich i plastycznych, obniża się z upływem czasu.

Wielką i dobrze znaną rolę gra w tych zjawiskach składowa ikoniczna, czyli obrazkowo–wizualna, wzmacniająca umysłową bierność, czyli lenistwo odbiorców, napychanych głównie wzrokowo przez ekrany ich telewizorów. Zagadnienie to można prezentować, używając elementów teorii informacji, ponieważ ilość jej, jaką otrzymujemy z ekranu telewizora, może być w każdym momencie większa i szybciej aplikowana aniżeli przy lekturze dowolnego tekstu. Lecz taka wykładnia teoretyczna na pewno nie jest wystarczająca, najpierw dlatego, że ekran karmi nas obrazkami, ale nie może prawie wcale przekazywać ładunków substancji myślowej, którą żyje dobra literatura, to znaczy taka, która jest z reguły wielowarstwowa semantycznie i dzięki temu nie może się ograniczać do czysto linearnego, niejako

plaskiego przekazu. Otóż obrazki nie potrafią z reguły żywić i pogłębiać ukształtowanego myślowo odbioru. Ponadto ogólne przyśpieszenie — chciałoby się rzec: wszystkiego — w naszej terażniejszości sprawia, że czy to nadawanie, czy odbiór treści dowolnych musi się spieszyć. To zrozumiałe samo przez się: czy nie dlatego tylko znikły z cyrkulacji beletrystycznej rodzinne sagi typu Buddenbrooków albo Thibaultów, że powolny, najeżony dygresjami semantycznymi narracyjny nurt przestał być modny.

Dzisiaj twórca powinien wyrażać się z szybkością karabinu maszynowego. To się chyba zaczęło w obszarach wielkiej akceleracji ekonomiczno–technicznej, to znaczy w USA, i dlatego tam właśnie została uznana proza Tomasza Manna za pompatyczną i przy ciężką (*pompous and ponderous*). Przyśpieszenie aż ekspresowe ruguje jednak z tradycyjnie rozlewnej narracji jej rozmaite brzmienia echowe i obertony. Mówiąc obrazowo, jest trochę tak, jakbyśmy mieli do czynienia z zadaniem polegającym na deskrypcji buszującego pożaru, trawiącego majątności ludzkie i dobra natury, a zatem fenomenu kataklitycznego, wobec którego trudno sobie pozwolić na jakąkolwiek zadumaną, refleksyjnie wielobarwną opisowość. Należy raczej krzyknąć „pali się!” i pozostawić całą resztę domyślności odbiorcy. Jednak zarówno wymienione, jak nie wymienione składowe, wywierające taki nacisk na wielką produkcję kulturową w świecie, wymuszając przyśpieszenie podaży i popytu, jednocześnie zubożają, albowiem zwiężają informacyjną wielowymiarowość i głębię narracji.

Tego rodzaju myśli towarzyszyły mi, kiedy kartkowałem marcowo–kwietniowy egzemplarz krakowskiej „Dekady Literackiej”, poświęcony głównie prezentacji współczesnej literatury francuskiej, z konieczności aplikowanej nam jedynie we fragmentach i wycinkach, wziętych z dziesiątków książek współczesnych autorów. Jestem tak przytłoczony lekturami bieżącej produkcji z obszaru nauk ścisłych, że na sumienne wysmakowanie zawartości owego egzemplarza „Dekady” nie mogłem sobie pozwolić i — jak powtórzę — mogłem go tylko lustrując kartkować. Wrażenia moje były na tyle niewyraźne i splecione, że odda je chyba tylko obrazowe przyrównanie: było ze mną tak jak ze stołownikiem ubogiej kuchni, któremu przypadek umożliwił wetknięcie nosa przez uchylone drzwi jakiejś wielko–światowej, wspaniałej restauracji. Buchnęło zmieszane, skłębione ciepło nadzwyczaj różnorodnie i apetycznie warzonych przysmaków i potraw. Drzwi zatrzasnęły się, zanim zdążyłem spróbować jakiegokolwiek naprawdę, i dlatego tylko wrażeniem znamienitego dosytu mogę się podzielić z czytelnikami. W trudny do wysłowienia sposób bije w zagląającego do kuchni Francuzów poczucie, że autorzy terażniejszości znajdują się tam zwłaszcza dlatego w niełatwej sytuacji, ponieważ przytłacza ich zarazem wszechobecnie i niewidzialnie olbrzymi maszyn artystycznej, literackiej przeszłości, trwającej, aczkolwiek twórcy jej należą już do zmarłych pokoleń. Proszę mi wybaczyć moje Prymitywne wrażenie, że w Polsce panuje takie rozrzedzenie intelektualnej atmosfery, jakbyśmy głębin własnego, dawnego budownictwa kulturowego nie posiadali, jakby ono nie istniało dla młodych, i ta ogólnonarodowa amnezja historycznoliteracka sprawia, że wprawdzie rodzą się nam nowe generacje pisarskie, ale zdają się raczej rozmiaru grzybków aniżeli bijących w niebo chojarów.

Nie tylko treści otrzymujemy mało pożywne i nie wzbogacone przelewem krwi w dawnych wiekach, ale jest nas, pretendujących do pisania pełnym głosem, niewiele w stosunku do prawie czterdziestomilionowej populacji kraju. Ubóstwo po prostu liczebne widać w tym, że nazwiska sprawnych publicystów, literatów, krytyków tak się wciąż powtarzają



w różnych periodykach, iż ledwie otworzymy jakieś nowe pismo, potykamy się o skądinąd już znanych autorów. Jesteśmy intelektualnymi bezdomnymi. Zapewne można wytaczać całe listy argumentów usprawiedliwiających ten stan rzeczy, a przede wszystkim chyba obie straszliwe okupacje, niemiecką i sowiecką, które pożarły nam, ponieważ zlikwidowały, opiniotwórcze elity narodowe. Był to potop, a my jesteśmy wprawdzie ocalałymi, lecz z historycznej konieczności stanowimy garstkę rozbitków. Mógłby ktoś naturalnie replikować, powiadając, że skoro nas mało piszących z niejaką klasą, to za to zrobiło się luźno i przez to powiększyła się dana do popisów przestrzeń, a zatem brak nam owego tłoku historycznej tradycji typowo francuskiej. Może to po części i prawda, ale wrażenie krajowego ubóstwa w zestawieniu z małą transfuzją wykonaną przez „Dekadę Literacką” pozostało.

Na koniec można by zauważyć, że przy skromnej podaży i popyt u nas niewielki, co wiedzą najlepiej wydawcy, mówiąc o płytkości rynku czytelniczego. Wątpię też, ażeby Francuzi tworzący dla intelektualnych smakoszy mogli w naszych czasach globalizacyjnych liczyć na wielkonakładowe odbiory. Trywialne to, a nawet płaskie, ale zostanie po nas nie „żłom żelazny”, jak pisał Borowski, lecz głównie śmiecie.

2001

## Ostatni idiotyzm

Przez dłuższy okres musiałem ograniczyć czas poświęcany lekturze, obecnie zaś — dzięki postępom medycyny — odzyskałem wzrok i zalecono mi, ażeby przedzierał czytanie oglądaniem telewizji. O jej postępującej kretynizacji wspominałem już wielokrotnie, ale ostatnio obejrzałem sprowadzony z miski satelitarnej amerykański film pod tytułem *Ostatni dinozaur*, który zmusza mnie do powrotu do tego tematu. Jakkolwiek już okazjonalnie doświadczałem ekstraktów rozmaitych bałwaństw w serialach, ten dinozaur dał mi pałką w łeb. Historia zasługuje na krótkie streszczenie.

Uczeni w śnieżnobiałych kombinezonach, zgromadzeni w mrugającym wskaźnikami laboratorium, planują wyprawę nurkującym podwodnie pociskiem na Antarktydę. Załozce przewodzi sumiasty starszy pan, który w oczekiwaniu spotkania z dinozaurem daje słowo honoru profesorowi, że żadnej krzywdy bydłociu nie robi. Pod jego komendą jadą: jeden Murzyn, jeden średnio przystojny szatyn oraz jedna ponętna blondynka (żaden film amerykański nie może obyć się bez blondynek). Ich pojazd wynurza się spod lodów na biegunie południowym, gdzie — jak wie każde dziecko — rozpościera się zwrotnikowa puszcza i latają chmarami pterozaurowy. Blondynka fotografuje każdy krzaczek i każdy odcisk stopy potwora gadziego gatunku, który wnet ukazuje się poprzez chaszczce. Kierownik wyprawy, zapomniawszy o przysięgach, strzela do niego, gubi karabin, blondynka wpada do kałuży, czarny również, *Tyrannosaurus Rex* zaś stąpa ku nim na dwóch nogach, ponieważ innych nie ma, w groźnej postawie.

Ponadto na sawannie dziwnie gorącej pojawia się stado prawie nagich australopiteków, to znaczy przedludzi, w długich czarnych perukach i usmarowanych w sposób nieboski jakąś szminką. W tym miejscu zacząłem nabierać przekonania, że cały scenariusz wymyślił jeden z tych australopiteków, inni zaś dopomogli mu w kręceniu tego filmu. Wyprawa ucieka i wraca.

Kierownik, wyzbyty broni palnej, buduje coś w rodzaju rzymskiej balisty, naprzeciw jaskini, z której ponownie ma się wyłonić tyranozaur. Oprócz łączności z bazą amerykańską psuje się wszystko. Pitekanropy atakują wyprawę, ale szef wytwarza kuszę i szyje do zacnych małpoludów pierzastymi strzałami, jakich dostarczył mu myślący reżyser. Małpoludy uciekają, łączność z bazą zostaje nawiązana, balista nie trafia kamieniem w tyranozaura. Blondynka z szatynem odpływają, pomysłowość scenarzysty każe wąsatemu kierownikowi ekspedycji, który kompletnie ją zmarnował, pozostać za karę w dżungli, razem z pewną małpoludką. Nie wierząc własnym, naprawionym oczom, obejrzałem tę potworną brednię i postanowiłem sobie uczynić wszystko, co możliwe, ażeby takie szmirowate zlepki głupoty, razem z blondynkami i szatynami, nie zakłócały mi już topniejących resztek wiary w stare, dobrze znane hasło: „Człowiek, to brzmi dumnie”.

Najdziwniejsze jest to, że pomysłami kilka tysięcy razy mniej kretyńskimi można sypać jak makiem z korca. Tymczasem zostałem już pouczony o tym, że filmowe motywacje jakichkolwiek działań sprowadzają się do przemytu narkotyków, włamań do fortecznie bronionych sejfów, ataków na nieznane a znakomite postaci z politycznej elity nie istniejących państw, jako też zwyczajnych mordów przy użyciu pistoletów z tłumikami, albo dla przyczyny zupełnie niewiarygodnej, albo bez żadnej przyczyny, poza naturalną koniecznością zbiicia filmowej kasy. Jeżeli zaś dodać do tego wszystkiego sposób, w jaki nam te Himalaje bałwaństwa prezentują, to znaczy reklamową sieczkę, każdy może łatwo wskazać, gdzie mu się na mózgu od tych reklam porobiły nagniotki.

Szczególnie majonezy, zupy z prawdziwymi kluskami, budynie, jak relikwie wnoszone przez tańczące staruszki, wielkie stare niedźwiedzie walczące o papier toaletowy oraz pełna uroku młoda niewiasta, która daje nam minami do zrozumienia, że ona zbliża się każdorazowo do orgazmu przy użyciu takiego papieru, dopełniają nareszcie i doskonale czarę szczęścia, jakie zawdzięczamy najnowocześniejszej technologii najidiotyczniejszych przekazów z orbit satelitarnych w nowym stuleciu.

Zresztą wolałbym się zapaść pod ziemię, aniżeli opowiadać znowu cokolwiek o tym, co robią Superman oraz jego kolega Spiderman. Zaczynam domyślać się, że zielone ufoludki naprawdę istnieją i że to one poty będą ogłupiać ludzkość, aż bez oporu da im się ona pożreć bez przypraw.

2002

## Upadek sztuki

Wydaje mi się rzeczą dziwną, że uległa jak gdyby unicestwieniu owa stateczna kolejność, w jakiej maszerowały po sobie epoki paradygmatów we wszystkich sztukach. Dość powszechnie utrzymują znawcy, że żyjemy w okresie dekadencji, zniewalającej do upadku dawniej cenionych wysoko umiejętności i gustów. Coraz głębiej zanurzamy się w nagromadzeniach coraz bardziej cuchnącego śmiecia, którego powszechność jest tak bezwzględna, jak gdyby stałą za nią jakaś moc zmuszająca do szacunku wobec wszystkiego, co nam wyrzeźbia, namalują, opowiedzą albo przywłoką z jakichś obrzydliwych strzępów osoby uchodzące za ludzi sztuki. Dodajmy do tego jeszcze seks, krew, kawałki trupich członków,

ruiny i wyrażenia oznajmujące bezsens. W dziedzinie plastyki nie ma, mówiąc prosto z mostu, takiego świństwa, takiego obrzydlistwa, takiej smrodliwej wymiociny, której by nie umieszczano na wystawach, nie reprodukowano i nie zachwycano się nią, jeśli nie autentycznie, to udając, wprawdzie nieco krytyczny, podziw.

Nie twierdę bynajmniej, jakoby ludzkiej brzydoty, hańby, kalectwa czy tortur nie promowano w ubiegłych wiekach. Z reguły jednak w podtekście owych pokazów kryło się obrażone człowieczeństwo, tak jak w sławnym zespole obrazów Goi poświęconych obnażeniu wojennych okrucieństw. Nigdy jednak tak dobitnie i tak uporczywie jak teraz nie ukazywali nam artyści człowieczej zbrodniczości wyłącznie po to, ażeby wywołać szok. Proszę zważyć, że jakkolwiek epoka wiktoriańska, nader starannie ukrywając ludzką nagość cielesną, wstydliwie chowała przed publicznością kulisy swego rozpasania, to obecnie nie ma już żadnych, ale to żadnych granic, żadnych hamulców, jakie artysta mógłby odczuwać albo przynajmniej brać pod uwagę, wybierając się do publiczności ze swoim dziełem.

Niezwykle trudno wyobrazić sobie radykalną postać zmiany tego frontu, tak dalece bezwstydnego, że wszystkie patologiczne formy organicznego życia upiększa się i demonstruje nam jako godne skoncentrowanego namysłu. Doszło już do takiej licytacji brudów, że każda odmiana turpizmu uzyskuje znawców i piedestał. Szkicując swoje postaci okropnych kalek, Brueghel zdawał się jednak wyrażać bezradne ubolewanie nad tak pohańbioną egzystencją człowieczą. Obecnie już nie piękne nagie niewiasty są w cenie, ale gołe zwiędłe staruszki pokręcone reumatyzmem, które można zobaczyć na łamach odpowiednich, świetnie wydawanych publikacji.

Przy tym wszystkim zastanawia jednak spotęgowany brak oporów, jakichś wysiłków zmierzających do odwrócenia tego wielkiego tylko rozmiarami, nihilistycznego trendu. Oburzyć się, zdradzić się z przeżywanym obrzydzeniem, odmówić prawa do wystawienia na pokazy publiczne wprost nie wypada, jakby to było niemożliwe. Wyznaję po prostu, że nie rozumiem ani takich brzydot, ani dogłębnie jałowych dyskusji z ich demonstratorami i muszę się kryć z przekonaniem, że dalsze postępowanie, a raczej zstępowanie w głąb kanałów, jako poszukiwanie jeszcze nie poznanych i nie uwidoczniionych odchodów, napawa mnie nie tylko obojętnością, lecz każe odwrócić się od takiej sztuki. To już nawet nie jest historia szat nagiego króla. Dla mnie to tylko zgon estetyki i wyprawa donikąd.

Mnie osobiście ze zrozumiałych względów najbliższa jest sztuka wyrażana słowem. Pod koniec dwudziestego wieku również zaczął się przejawiać jej rozpad. Nie uważam, ażeby przypadkiem Musil pozostawił nam *Człowieka bez właściwości* w postaci strzępów i fragmentów. Umęczony w ubiegłym roku lekturą angielskiej wersji *Tęczy grawitacji* Thomasa Pynchona, zakładając własną niedostateczność rozumienia jego oryginalnego tekstu, wziąłem się do lektury jego polskiego przekładu i ugrzęzłem w nim na dobre. Nieskładność, dziwaczność, mieszanina, jako dyrektywa kompozycji, odrzuciły mnie od tej książki, cieszącej się przecież niejaką estymą.

W ostatnim numerze „Spiegła” wytoczył przeciwko Musilowi kolubrynę Marcel Reich-Ranicki i rozdeptał jego najbardziej znane dzieło. Z kolei tego niemieckiego papieża krytyki literackiej dosięgła zapisana w polskich archiwach bezpieczniacka przeszłość. Nie podważa to samej niszczącej recenzji, lecz stwarza wrażenie, że krytyk o niedobrej przeszłości rzucił się na niedobre, bo nie dokończone dzieło literackie. W literaturze żyjemy w potopie

słów i coraz trudniej wyłowić z niego teksty znaczące więcej aniżeli roszczenia autorów do panteonu muz, bardzo przypominającego podtopione kłozety wielkomiejskie.

2002

## Stacja Solaris

Po premierze *Solaris* Stevena Soderbergha, filmu, będącego tak zwanym *remake*, czyli powtórką, jako że pierwszy zekranizował *Solaris* Tarkowski, zdążyłem się już zapoznać ze znaczną liczbą krytyk ogłoszonych w amerykańskiej prasie. Rozrzut ocen i interpretacji jest ogromny. Amerykanie mają dziecinny zwyczaj stawiania ocen jak na świadectwach — A, B, C i tak dalej — więc jedni dają „A”, najwięcej jest „B”, trochę „C”.

Niektóre recenzje, na przykład w „New York Timesie”, głoszą, że jest to *love story*, miłość w Kosmosie. O filmie samym, którego nie widziałem i którego scenariusza nie znam, nie powiedzieć nie mogę, poza tym, co odbija się w recenzjach, jak twarz patrząca w wodę odbija się w jej powierzchni, choć nie bardzo dokładnie. W moim przeświadczeniu i podług mojej wiedzy książka nie jest jednak poświęcona erotycznym problemom ludzi w przestrzeni pozaziemskiej...

Nie potrafię powiedzieć nic rozsądnego na temat jej powstania — jakoś się ze mnie wylała, bez wcześniejszego planu, tak że miałem nawet trudności z zakończeniem. Ponieważ jednak napisałem ją przed czterdziestu z górą laty, nabrałem już dosyć obiektywnego i silnie wychłodzonego do niej stosunku. Potrafię też znaleźć analogie do jej losów w innych, wysokich regionach piśmiennictwa światowego. Myślę na przykład o powieści Melville’a *Moby Dick*, która z pozoru opisuje tylko życie na statku wielorybniczym i fatalnie zakończoną pogoń kapitana Ahaba za białym wielorybem. Krytyka początkowo prawdziwie kartaczowała tę powieść jako bezsensowną i nieudaną, pytając, co kogo obchodzi jakiś wieloryb, którego kapitan chciałby pewnie przerobić na kotlety i beczki pełne tłuszczu. Dopiero po wielkim wysiłku analitycznym krytycy odkryli, że w *Moby Dicku* nie chodzi ani o tłuszcz wielorybi, ani nawet o harpuni, ale o głębiej ukryte warstwy symboliczne, i dzieło Melville’a przeniesione zostało z półki bibliotecznego zatytułowanej „Awantury na oceanie” w zupełnie inne miejsce.

Gdyby *Solaris* miała dotyczyć uczuć miłosnych między mężczyzną i kobietą, wszystko jedno, w Kosmosie czy na Ziemi, nie nosiłaby tytułu takiego, jaki nosi! Zamerykanizowany literaturoznawca węgierski Istvan Csicsery-Ronay zatytułował jej analizę: „Książka jest Obcym”. I w samej rzeczy — podjąłem w *Solaris* próbę przedstawienia problemu spotkania w Kosmosie jakiejś innej istoty czy istności, jakiegoś bytu, który by jednak nie był ludzki ani humanoidalny.

Science fiction zakładała niemal zawsze, że jeżeli nawet Inny, którego spotykamy, prowadzi jakąś grę, to my jej reguły prędzej czy później zrozumiemy; przeważnie zresztą chodziło o reguły walki. Ja natomiast pragnąłem zamurować wszystkie ścieżki rozumowania wiodące do uczłowieczenia Istoty, jaką jest solaryjski ocean, aby się okazało, że kontakt z nią nie daje się zrealizować na sposób międzyludzki, choć równocześnie w jakiś dziwny, inny sposób jednak zachodzi. Metodą, jakiej się w powieści miałem, by to unaocznic, było poka-

zanie szczególnego wyniku zainteresowania, jakie ludzie, od stu lat badający planetę Solaris, wzbudzili w kryjącym jej powierzchni oceanie.

Nie można o nim powiedzieć, że jest oceanem myślącym albo niemyślącym, na pewno jednak jest tworem aktywnym, który ma jakieś intencje, podejmuje jakieś akty wolicjonalne, potrafi robić coś, co nie ma nic wspólnego z całą sferą ludzkich poczynań. Kiedy w końcu zwrócił uwagę na maleńkie mrówki, które miotają się nad jego powierzchnią, uczynił to w sposób radykalny. Przeniknął przez powierzchniowe, obleczone w maniery i konwencje sposoby komunikacji językowej i wtargnął jakoś, po swojemu, do umysłów ludzi ze Stacji Solaris, by w każdym znaleźć to, co najgłębiej schowane; czy było to karygodną przewiną, czy szczególnie tragicznym i stłumionym w pamięci wydarzeniem z przeszłości, czy skrytym a wstydliwym pragnieniem. Czasem nie wiadomo właściwie, co wykrył, wiemy tylko, że za każdym razem potrafił dokonać inkarnacji i uzewnętrznić istotę, z którą wiązała się owa tajemnica. Działanie oceanu doprowadza jednego z naukowców do rozstroju i samobójstwa, pozostali izolują się, i kiedy mój bohater, Kris Kelvin, przylatuje na Stację, trudno mu najpierw pojąć, co się właściwie dzieje. Wszyscy się pochowali, a na korytarzu napotyka jeden z fantomów: potężną Murzynkę w trzcinowej spódniczce, z którą miał coś na pieńku — ale nie wiemy co — ów samobójca, Gibarian.

Sam Kelvin przez lekkomyślność i nieroztropne postępowanie nie zapobiegł kiedyś samobójczej śmierci ukochanej niewiasty imieniem Harey. Pochował ją na Ziemi i pochował ją też niejako w niepamięci — a teraz ona właśnie zjawia mu się mocą solaryjskiego oceanu. Ocean jest po swojemu uparty: istot, które stają się rodzajem wyrzutów sumienia mieszkańców Stacji, nie można się pozbyć, nawet wystrzelone w Kosmos powracają... Kelvin także podejmuje zrazu okrutne próby zabicia Harey, później jednak przyjmuje jej obecność do wiadomości i usiłuje ponownie wejść w rolę, którą na Ziemi musiał raz na zawsze po jej śmierci porzucić — w rolę kochającego mężczyzny.

Soderbergh, jako reżyser i scenarzysta, pozostawił tę oprawę fabularną, wyciął jednak podobno z książki wszystko to, co dotyczy wizji planety Solaris, wizji, która była dla mnie bardzo istotna. Dlaczego istotna? Glob solaryjski nie jest zwyczajną kulą oblaną kisiem: ma jakieś swoje własne istnienie i swoją własną aktywność, chociaż nie-ludzką. Nie buduje ani nie stwarza niczego, co dałoby się na nasz język przełożyć i w przekładzie wytłumaczyć. Dlatego deskrypcja musiała tu zastąpić analizę — z założenia wszak niemożliwą! — wewnętrznego sposobu funkcjonowania jaźni oceanu. Stąd symetriady, asymetriady i mimoidy, dziwne twory i niby-budowle, których ludzie nie są stanie zrozumieć, mogą je tylko opisać z matematyczną dokładnością, i temu właśnie służy cała biblioteka zgromadzona we wnętrzu Stacji, plon stu lat wysiłków, aby to, co jest nieludzkie czy pozaludzkie i co nie podlega ucłowieczeniu językowemu ani żadnemu innemu, jakoś jednak przyszpilić do foliantów ludzkiej wiedzy.

Któryś z recenzentów napisał, że wolałby powtórnie zobaczyć *Solaris* Tarkowskiego. Inni zauważają, że wielkich pieniędzy producent zapewne nie zrobi i przy kasach nie będzie tłoku, ale za to film należy do ambitniejszej linii science fiction, nikt tu bowiem nikogo nie morduje i brak zarówno gwiazdnych wojen, jak i kosmicznych wilkołaków czy Schwarzeneggerów w roli Terminatora. W Ameryce każda produkcja filmowa wchodzi w percepcyjną atmosferę pełną skonkretyzowanych i już zastygłych oczekiwań.

Dlatego zastanowiło mnie, że chociaż moja książka jest stara — blisko pół wieku to dzisiaj bardzo dużo — to jednak znalazł się ktoś, kto chciał zaryzykować, mimo że fabuła wspomnianych oczekiwań nie spełnia. Potem może trochę się przestraszył — ale to już czyste spekulacje.

Książka kończy się na sposób romantyczno—tragiczny, dziewczyna życzy sobie sama zostać unicestwioną, ponieważ nie chce być instrumentem, za pomocą którego ten, kogo ona naprawdę kocha, jest badany przez jakieś nieznanne moce; jej anihilacja dokonuje się bez wiedzy Kelvina, a z pomocą innego z mieszkańców Stacji. Film ma podobno jakiś inny, optymistyczny koniec i w finale ocean rozświetla się radośnie. Jeśli tak jest rzeczywiście, stanowiłoby to ukłon w stronę stereotypów amerykańskiego myślenia dotyczących science fiction. Są to koleiny mocno wyryte i wybetonowane, wyskoczyć z nich się nie da, i historia musi się zakończyć albo happy endem, albo kosmiczną katastrofą. Stąd pewnie delikatny cień rozczarowania u tych krytyków, którzy się spodziewali, że dziewczyna stworzona przez ocean zamieni się w furję, wiedźmę albo strzygę i pochłonie bohatera, że wypełzną z niej robaki albo inne paskudztwo.

*Solaris* zgłoszono na przyszłoroczny berliński festiwal filmowy i u nas zostanie pokazana dopiero po jego zakończeniu. Polscy dystrybutorzy dostali już kopię, sam się jednak nie palę, by ją obejrzeć. Wiadomość, że Soderbergh moją powieść filmuje (choć nikt jeszcze nie wiedział, jaki ten film będzie), spowodowała gwałtowny wzrost zainteresowania ze strony różnorodnych wydawców. Podpisuję teraz umowę za umową: w Niemczech rzucił się na *Solaris* Bertelsmann, zgłosili się Duńczycy, Norwegowie, a nawet Koreańczycy i jakiś arabski dom wydawniczy, bodaj w Syrii. Niektórzy poczynają sobie śmieiej i sięgają także po inne moje tytuły; to jednak uboczny efekt, który z samą powieścią nie ma nic wspólnego.

Mnie zaś jako autorowi chodziło — powtórzę — po prostu o to, by stworzyć wizję spotkania ludzi z czymś, co istnieje, i to na sposób potężny, a równocześnie do żadnych ludzkich pojęć ani wyobrażeń zredukować się nie daje. Dlatego książka nazywa się *Solaris*, a nie *Miłość w próżni kosmicznej*.

2002

## **Pod powierzchnią oceanu**

### **Po amerykańskiej premierze *Solaris***

Wracam jeszcze do *Solaris*; Steven Soderbergh wyraził w „Newsweeku” nadzieję, że Lem nie dostanie zawału, kiedy film zobaczy. Dystrybutorzy polscy mają mi przysłać kopię w postaci kasety, a Soderbergh chce potem przyjechać do Krakowa. Znajduję się na razie w takim stanie fizycznym, że podobna wizyta nie jest możliwa, ale postaram się poprawić.

Abstrahując już od tego, czy dzieło Soderbergha jest wartościowe, czy nie, zostało ono wrzucone w maziowaty ocean, ale nie solaryjski — w ocean krytyki, która nie bardzo wie; czy ma przed sobą kapelusz, czy wazon na kwiaty, czy może nocnik. Przypomina mi to

sytuację sprzed lat, kiedy ukazał się niemiecki przekład *Solaris*, pojawiły się głębinowe egzegezy freudystyczne, które wydawały mi się zupełnie bez sensu. Jak się pisze taki wielowykładalny tekst, trudno o syntonicznych odbiorców.

Uważam jednak, że nie warto zabierać się za utwory pozbawione jakiegoś problemowego przesłania. Wprawdzie *Solaris* jest jednym wielkim zmyśleniem, ale problematyka, która pod powierzchnią fabuły i solaryjskiego oceanu się kryje, zmyślona nie jest. Książka moja — naturalnie pośrednio — stanowi odpowiedź na dość powszechne przekonanie, że albo w Kosmosie istnieją inne, technologicznie wysoko rozwinięte cywilizacje, które z nami nawiążą kontakt, albo nie ma w ogóle nikogo. Trochę tak, jakby na Ziemi dostrzegać tylko ludzi i szympansy, pomijając zaś termitiery, mrowiska, wszelkie inne socjalnie żyjące owady czy choćby inteligentne delfiny. Wyobraziłem sobie twór, który nie jest zespólnią zlewających się w jedno organizmów i który ma swoją własną problematykę. Jak ona wygląda? Nie-ludzko! Są nawet próby wykładni teologicznej, ale to wciąż ludzie jej dokonują, ocean się nie odzywa. I w tym tkwi sedno sprawy.

Uważam się za racjonalistę, dlatego na pytanie: dlaczego coś w mojej książce jest takie, a nie inne, mogę odpowiedzieć: nie bez powodu. Na przykład niezniszczalność fantomów ma swoją rację: chodzi o to, by ich nie redukować do zwyczajnej kopii człowieczeństwa, bo wtedy nie wpisywałyby się w porządek narracji. Nie wiemy, czy ocean działa z premedytacją, złośliwie, czy też po prostu wyszukuje to, co najtrwalsze i najmocniej zafiksowane w podświadomości czy pamięci czterech bohaterów przebywających na stacji. A wiemy, że traumatyczne wspomnienia bywają zarazem trwałe i silnie stłumione.

Jak właściwie wyglądają zjawy dręczące moich bohaterów? Nie potrafię odpowiedzieć nic nad to, co znalazło się w książce, bo nic więcej nie wiem! Sartorius, który jest facetem szalenie oficjalnym i sztywnym, ma u siebie najprawdopodobniej jakieś dziecko. Czy on to dziecko molestował, czy łączą go z nim inne ponure wspomnienia, nie wiadomo, w każdym razie bardzo się wstydy ujawnienia tej istoty. I podobny wstyd przeżywają inni, a Gibarian popełnia nawet z tego powodu samobójstwo; zresztą grubą Murzynkę, której postać wywołała u Gibariana reakcję tak gwałtowną, Amerykanie ze względu na *political correctness* całkowicie w filmie zlikwidowali. Kto zaś dręczy Snauta — pojęcia nie mam! Jest w powieści scena, w której trzyma on za rękę kogoś schowanego w szafie — i tyle.

Główny bohater, Kelvin, który opowiada to wszystko w pierwszej osobie, musiał być natomiast wyposażony we wspomnienie, które nie byłoby ani pedofilne czy na inny sposób zбочeńcze, ani zbrodnicze. Nie mógł być Kubą Rozpruwaczem ani też złodziejem czy oszustem — wówczas cała historia nie trzymałaby się kupy. Dlatego wymyśliłem romans Kelvina z Harey tragicznie zakończony z jego, jak sam sądzi, winy. Stąd osad w jego pamięci i dlatego ocean przywołuje właśnie Harey.

Nie przywołuje jej ze względu na płęć i nie chodzi o pożycie, które Kelvin miałby z nią na stacji Solaris pędzić, tylko o wspomnienie historii, która miała na Ziemi zakończenie *par excellence* tragiczne i o której pamięć szła za Kelvinem. Uważam panowanie seksu w naszej kulturze za zjawisko maniakalne. Tymczasem wielu krytyków w Stanach Zjednoczonych opiniowało *Solaris* w kategoriach właśnie seksu, mnóstwo też mówiono — co mnie szczególnie dotknęło — o gołych pośladkach odtwórcy głównej roli. Sam Soderbergh zapowiadał *So-*

*laris* jako coś pośredniego pomiędzy *Odyseją kosmiczną* Kubricka a *Ostatnim tangiem w Paryżu* Bertolucciego. Tego drugiego filmu nigdy zresztą nie widziałem...

Pojawiły się już inne propozycje filmowe, dotyczące między innymi *Niezwykłego*. Chętnie bym przystał na jego ekranizację, przede wszystkim dlatego, że nie ma tam żadnych amatorów w uniwersum, tylko po prostu statek kosmiczny szukający drugiego statku kosmicznego, który zaginął. Syn ostrzega mnie: najtrudniej będzie z uratowaniem *Niezwykłego* przed kobietami. Ja jednak absolutnie się nie zgadzam na dokooptowanie do załogi statku jakichkolwiek kobiet.

W *Niezwykłym* pojawia się problem, który nazwałem problemem „nekroewolucji” czy „martwej ewolucji” automatów, nawracających ku formom prostym i najbardziej podstawowym i tworzących dzięki temu niemal niezniszczalny niby-organizm. Teraz się dowiaduję, że Michael Crichton napisał bestsellerowy tom pod tytułem *Nanoroboty atakują*. I są tam nanoroboty jak w *Niezwykłym*, tyle że z trzydziestopięcioletnim opóźnieniem. W Ameryce uważano jednak za niemożliwe, by jakiś dziki człowiek spod tatrzańskich skały umiał napisać cokolwiek, co stanęłoby do konkurencji z tamtejszą science fiction.

Rozwiódłem się nad *Solaris* i *Niezwykłym*, choć na ogół wyznaję zasadę, że autor powinien trzymać gębę na kłódkę. Jednak świat rzeczywisty, który nas otacza, jest tak niemiły i niespokojnie niekształtny, i tak daremnie przychodzi przeświecić jego przyszłość, że na jego temat wolę dziś zamilczeć.

2002

## Takie czasy

### Energetyczne dylematy

#### Na marginesie sprawy Temelina

Głośno było ostatnio o elektrowni atomowej w czeskim Temelinie; protestując przeciw jej planowanemu otwarciu, austriaccy przeciwnicy energetyki jądrowej zablokowali czesko-austriackie przejścia graniczne i próbowali zachęcić Niemców, by ci poszli w ich ślady.

O samym Temelinie mam mało do powiedzenia: nie znam ani parametrów technicznych, ani fizycznych tej elektrowni, nie wiem, jaka jest jej projektowana moc ani jakie udoskonolenia i zabezpieczenia w niej wprowadzono. Wiadomo mi natomiast, że obecnie istnieją projekty znacznie bezpieczniejszych reaktorów niż te, które dawniej budowano. O Czarnobylu nie ma co nawet wspominać; zdziwienie fachowców amerykańskich wywołała nie tyle sama czarnobylska katastrofa, ile fakt, że tak późno do niej doszło.

Rozumiem oczywiście trwogę wywołaną przez atom. Niemcy, którzy pod wpływem Zielonych postanowili wsiąść z energetyki jądrowej, próbują teraz zaszczepić tę trwogę Francuzom, którzy się jakoś mniej boją i połowę potrzebnej im energii elektrycznej czerpią z elektrowni atomowych. Czy Francuzi pozwolą się zarazić — tego nie wiemy, ale składowa psy-



chologiczna strachu ma w historii postępu technologicznego stałe miejsce. Początki każdej technologii budziły rozmaite obawy, a nawet grozę. Tutaj groza jest o tyle zasadna, że wiadomo, jakie mogą być skutki awarii. Czytałem zresztą kiedyś, że gdy w Związku Radzieckim uruchomiono pierwszy łańcuchowy samopodtrzymujący się proces rozszczepienia uranu, Laurenty Beria chciał wejść do pomieszczenia, w którym ów proces się dokonywał. Nie wiadomo, po co go powstrzymano, skończył wprawdzie i tak marnie — ale w inny sposób i, niesety, później.

Wracając do sprawy: pojawiają się tutaj dwa problemy i tę bifurkację należy wyraźnie podkreślić. Z jednej strony: stopień zabezpieczenia reaktorów atomowych, w których źródłem energii jest uran 235, zwłaszcza zaś sposób, w jaki są odprowadzane zyski energetyczne. Inżynieria silnie krzyżuje się tutaj z fizyką atomową. Stosuje się rozmaite rozwiązania; istnieją już — nie wiem, w jakiej mierze zrealizowane, w każdym razie kosztowne — projekty reaktorów, w których w razie tak zwanego „rozbiegania się” reakcji, czyli gwałtownego przyspieszenia rozpadu jąder atomowych, następuje samopowstrzymanie. Trudność polega na tym, że właściwie nie ma materiałów — wszystko jedno, czy są to jakieś nadzwyczajne stale czy powłoki tytanowe — które byłyby całkowicie niewrażliwe na bardzo wysokie stężenie radioaktywności. Można eksperymentalnie, nawet laboratoryjnie, testować rozmaite metale czy stopy, ale uzyskać metodą czysto komputerowej symulacji wynik, który będzie w 99 procentach odpowiadał rzeczywistości — nie bardzo się da. Chodzi o rzeczy, których nie potrafimy jeszcze w sposób czysto fizyko–matematyczny obliczyć. Ale stopień bezpieczeństwa reaktorów z pewnością rośnie.

Problem drugi, owiany *quasi*–frankensteińską legendą, to ewentualność tak zwanego *melt down*, czyli zupełnego stopienia podstaw reaktora i zapadnięcia się jego rdzenia. Nigdy się to jednak dotąd nie zdarzyło, a nowe rozwiązania czynią ów „chiński syndrom” coraz mniej prawdopodobnym.

Oczywiście — kiedy nastąpił wybuch w Czarnobylu, w przestrzeń poszły miliony jednostek curie i zaprzeczyć się temu nie da. Niedawno czytałem artykuł przedstawiający znaczną liczbę przerażających upośledzeń, które pojawiły się na skażonym wtedy obszarze. Kiedy radioaktywna chmura ruszyła ku Moskwie, miano ją rzekomo pokropić azotanem srebra, by śmiertcionośny deszcz spadł na Białoruś. Czy to prawda — nie wiadomo, na pewno jednak liczba przypadków nowotworów wywołanych napromieniowaniem w tych właśnie okolicach wzrosła.

Szlak śmierci, rozciągnięty zresztą na stulecia, bo tyle trwa okres rozpadu niektórych radioaktywnych izotopów, był silnie uzależniony od prądów powietrznych. W sytuacji prawdziwej katastrofy — trzeba to powiedzieć wyraźnie — my, ludzie, jesteśmy bezsilni. Można jej prawdopodobieństwo zminimalizować, i to się dzisiaj robi. Im więcej jednak wprowadza się w projekcie zabezpieczeń, tym więcej oczywiście kosztuje jego realizacja, co się z kolei odbija na cenie wyprodukowanej energii elektrycznej. Czynniki kosztowy i czynnik bezpieczeństwa zawsze wchodzą ze sobą w kolizję.

Równocześnie nieprawdą jest, jak to już powiedziałem w jednej z rozmów w *Świecie na krawędzi*, by tańsze były olbrzymie wiatropędnie, których budowę propagują z wielką intensywnością przeciwnicy energetyki atomowej. Chodzi o wielkie, stu metrów wysokości sięgające konstrukcje — Niemcy nazywają je *Spargel*, czyli szparagi — które pochłaniają

setki ton betonu, szpecą krajobraz, a ich śmigła są zabójcze dla wędrownych ptaków. W rezultacie zaś otrzymujemy prąd dwukrotnie droższy aniżeli wytwarzany w zwykłych elektrowniach termicznych napędzanych węglem czy też ropą. Istnieje też zawsze graniczna prędkość wiatru, na jaką owe wiatropędnie są obliczone, i kiedy dochodzi, jak ostatnio w Europie wskutek efektu cieplarnianego, do huraganów o nadzwyczajnej sile — 256 kilometrów na godzinę! — skutki trudno przewidzieć.

Reaktory nuklearne na energię pochodzącą z rozszczepienia wzbogaconego uranu produkują, jak wiadomo, odpady, substancje radioaktywne, które gdzieś trzeba bezpiecznie składować, i to przez wieki. Sprawa składowania odpadów jest trudna. Ubogie kraje zawsze skłonne są je przyjąć dla zarobku, trudno jednak uznać takie wyjście za najlepsze. Rozwiązania definitywne dotąd nie ma, choć poszukuje się go dosyć rozpaczliwie. Moje osobiste przekonanie, zupełnie dotąd utopijne, było zawsze takie: powstaną kiedyś stosunkowo tanie metody wysyłania wielkich ładunków w Kosmos i pojawią się tak zwane śmietniskowce. Kosmos zaś jako potencjalny śmietnik jest tak rozległy, że wszystko przyjmie.

Francuzi przewozili swoje odpady przez Niemcy specjalnymi pociągami „Castor” i Zieloni reagowali na to atakami niemal paranoicznego strachu; w rezultacie każdy taki transport strzeżony był przez ogromne kolumny policji. Trochę w tym szaleństwa, ale ludzie w ogóle są szaleni, sprawa „Castora” nie stanowiła więc przypadku wyjątkowego. Starczyło przecież odejść dwieście metrów od toru kolejowego, by mieć całkowitą pewność, że nic nam nie zagraża. A potencjalne niebezpieczeństwa, jakie się z przewożeniem owych odpadów wiążą, są w ogóle niczym w porównaniu z tym, co dzieje się na północ od półwyspu Kola, gdzie w morzu zalegają cmentarzyska łodzi podwodnych z wielką liczbą posowieckich reaktorów.

Rosjanie życzą sobie teraz dodatkowego poszerzenia pasa wód terytorialnych, jednak nie w celu zabezpieczenia i zneutralizowania tych bomb z czasowym zapalnikiem, tylko po to, by móc dokonywać wierceń, pod szelfem bowiem ma się znajdować ogromna ilość gazu bądź ropy. Dalszy los zarówno tego projektu, jak i radioaktywnych cmentarzysk zależy nie tylko od samych Rosjan, ale przede wszystkim od współpracy innych i od chęci inwestowania. Japończycy zawsze byli do tego chętni, chcą jednak najpierw odzyskać zabrane im przez Sowietów południowe Kuryle. Zaciekłość, z jaką Rosjanie sprzeciwiali się dotąd ich żądaniom, zawsze mnie zresztą zadziwiała.

Niebezpieczeństwa militarnej nuklearyzacji są w tej chwili mniejsze, ponieważ — co brzmi raczej smutnie — pojawiły się w tej dziedzinie nowe perspektywy w postaci bioreaktorów, które mogą wytwarzać trucizny biologiczne, parazytologiczne, bakteryjne i nie wiem jeszcze jakie. Są już instytuty, w których produkuje się syntetyczne chromosomy czy syntetyczne wirusy, co jest oczywiście także bardzo niebezpieczne. Norwegowie ze znacznej odległości wykryli eksplozję „Kurska” na dnie morza, ale stwierdzić, że w jakiejś dużej i dobrze strzeżonej rosyjskiej piwnicy warzy się straszliwe bakteryjne jady — nie sposób.

Tradycyjne elektrownie też wytwarzają wiele radioaktywnych resztek, można tam znaleźć całą tablicę Mendelejewa — w *Świecie na krawędzi* opowiadam o tym szczegółowiej. Mało kto jednak o tym wspomina. Wracamy znów do czynnika psychologicznego: liczba ofiar wypadków samochodowych w Ameryce podczas trwania wojny wietnamskiej była większa od liczby amerykańskich żołnierzy poległych podczas tej wojny, nikt jednak nie walczył z moto-

ryzacją, niemal wszyscy natomiast przeciwni byli wojnie. „Złe dary” technologii znosimy łatwiej, ponieważ równoważone są korzyściami. Zawsze też mamy dość siły, aby znieść cudzą chorobę, na przykład białaczkę.

Są zresztą fenomeny trudno zrozumiałe. W prowadzonych w Niemczech badaniach wykryto niewielki wzrost liczby zachorowań na białaczkę wśród ludności mieszkającej w określonym promieniu wokół dość licznych jeszcze funkcjonujących elektrowni atomowych. Z drugiej jednak strony bardzo sumienne badania radioaktywności na tym terenie nie wykazały nic. A o tym, żeby można było dostać białaczki z samego strachu, dotąd nie słyszano.

Jesteśmy mikroskopijnymi żyjątkami czy mróweczka—mi, które żyją na powierzchni sporej planety. Tymczasem powierzchnia Ziemi, a ściślej — kontynenty, wciąż znajduje się w ruchu i to jest jedna z przyczyn, dla których nie możemy właściwie korzystać z gigantycznych zasobów energii geotermalnej, przyjąwszy nawet, że udałoby się nam wprowadzić jakieś rury na olbrzymią głębokość pod skorupę ziemską i nie uległyby one od razu stopieniu. Oczywiście ruch kontynentów odbywa się powolutku i nie daje się odczuć w ciągu życia jednego pokolenia. Siedzimy teraz z całą prawie Europą na tak zwanej tarczy fennoskandzkiej, która jest szczególnie asejsmiczna, są jednak obszary o wysokim sejsmicznym zagrożeniu, jak na przykład wyspy Japonii.

Energetyka uranowa będzie jednak zmierzała ku końcowi. Nie dla strasznych efektów potencjalnych awarii, tylko z tego powodu, że wyczerpywać się zaczną zasoby uranu. Osobiście widzę w dalszym ciągu nadzieję w tak zwanej „zimnej fuzji”. Nie tak jak chcieli Pons i Fleischman — w szklance wody (była to zresztą próba subiektywnie nieskłamana, choć niedana), ale rzecz wydaje mi się nadal obiecująca.

Mówi się ostatnio o nowych typach pułapek magnetycznych na plazmę; ale ta plazma jest cholernie niespokojna i nie lubi być ściśnięta polem magnetycznym, a jej dotyk powoduje, że wszelkie zapory, jakie jesteśmy w stanie skonstruować, zostają stopione. Druga możliwość to zastosowanie wedle jednych: trytu, wedle drugich: deuteru; cykl jądrowych przemian powoduje powstawanie tzw. muonowych (muon to taka maleńka cząstka) atomów, które się rozpadają, wydzielając więcej energii, niż się w ten proces włożyło. Na razie udało się to zrobić laboratoryjnie, na skalę mikroskopijną, i wszyscy podskakują z radości, że ktoś dostanie Nobla, ale projektów praktycznego wykorzystania tego odkrycia na razie nie ma, to są dalekie wizje. Człowiek to jest jednak istota, która żyje przyszłością; jak się nie ma przyszłości, nie ma się w ogóle niczego. Dlatego sądzę, że na horyzoncie trzeciego tysiąclecia fuzja okaże się możliwa do zrealizowania. Byłoby znakomicie, ponieważ dostarcza ona niezmiernie mało radioaktywności; niektórzy mówią, że prawie wcale.

Wróćmy na koniec do dnia dzisiejszego. Czechy są państwem tak samo suwerennym jak Austria i z punktu widzenia prawa międzynarodowego nie ma żadnej możliwości egzekwowania wobec nich jakichś zewnętrznych zakazów. Blokada przejść granicznych może im sprawić sporą Przykrość, ale do rozebrania elektrowni już zbudowanej raczej ich nie skłoni. Czesi są w prawie uruchomić Temelin,

a Austriacy są w prawie blokować przejścia graniczne. Nie istnieje ponadnarodowa i ponadpaństwowa instancja, która mogłaby temu zapobiec. Jedyna potęga, która się przetacza z

kontynentu na kontynent, ignorując wszelkie granice, to wielki kapitał, który interesuje się jedynie kalkulacją i zyskiem.

2000

## Sprawa krwawego błota

Socjologia wydarzeń ekstraordynaryjnych niewiele, o ile mi wiadomo, zajmowała się taką oto sprawą: kiedy grupę ludności, czy to względnie jednorodną etnicznie lub religijnie, czy też piastującą określone funkcje z tytułu uprawnień odgórnie nadanych, wyjąć spod prawa, spod jego ochrony i opieki, sprzyja to zamachom zarówno na jej mienie, jak i czasami życie. I przydarza się to w najrozmaitszych miejscach i okolicznościach.

Nie myślę tu na przykład o działaniach średniowiecznej inkwizycji przeciwko katarom i albigensom, ponieważ kierowane one były z wysoka, zarówno przez *bracchium Ecclesiae*, jak i *bracchium saeculare*; chodzi mi o działania spontaniczne. Ludzie różnych nacji i zawodów, pochodzący na ogół z mniej wykształconych warstw społecznych (aczkolwiek nie stanowi to reguły), okazują się skłonni do najbardziej skrajnych, nawet morderczych czynów, jeśli tylko czują za sobą choćby bierne przyzwolenie władzy i prawa.

Fatalna ta generalizacja odniesiona być może zarówno do mordu dokonanego polskimi rękami w Jedwabnem na miejscowej ludności żydowskiej, jak i do innych przypadków. Jako pilny czytelnik *Opowieści z jednej i drugiej kieszeni* Karela Čapka, miałem naiwne wyobrażenie o Czechach — że to ludzie bez wyjątku łagodni, kulturalni i dobrzy. Teraz czytam, że kiedy Trzecia Rzesza padała, Czesi dosyć okrutnie obeszlą się z tak zwanymi Niemcami sudeckimi, którzy w Czechach i na Morawach z dawien dawna mieszkali; można chyba nawet użyć słowa „pogromy”.

Pan profesor Tomasz Strzembosz ogłosił przed kilku dniami w „Rzeczpospolitej” artykuł z nagłówkiem „Ludność żydowska, w tym zwłaszcza młodzież, oraz miejska biedota wzięła masowy udział w powitaniu wojska sowieckiego. Z bronią w ręku zaprowadzała nowe porządki”. Obficie w nim cytuje wypowiedzi świadczące o tym, jak okropny dla Polaków był dzień wejścia armii sowieckiej poprzez ścianę wschodnią i jak wielu ludzi, na przykład przedstawicieli polskiej administracji na tych ziemiach, wskutek donosów żydowskich wywieziono na Wschód. I jakkolwiek wstępnie oświadcza, że nic nie może usprawiedliwiać mordów na jakiegokolwiek grupie ludności cywilnej, to domyślną wymową jego artykułu jest przynajmniej częściowe, osłonowe wybielenie tych, którzy za przychylnym, choć biernym przyzwoleniem Niemców mordowali później ludność żydowską.

Można by pomyśleć, że profesor Strzembosz odkrył coś, o czym nie mieliśmy pojęcia. Tak nie jest. Sięgnąłem niedawno znowu po wspomnienia znanego lwowskiego matematyka profesora Hugona Steinhausa, który dokładnie opisał ponure efekty wkroczenia Sowietów do Lwowa i Galicji, czyli tak zwaną pierwszą sowiecką okupację. Świadectwa Steinhausa nie mogą własną pamięcią należycie wesprzeć, ponieważ byłem wtedy we Lwowie szczeniakiem osiemnastoletnim, on zaś oglądał wszystko z lepszej perspektywy uniwersyteckiego profesora, bez złudzeń patrzącego na sowieckie okropności. Steinhaus pisze, z nazwiskami, o koszmarnych i zawstydzających podłością przypadkach. Żydów wcale nie oszczędza, wspo-

mina na przykład takich, co dativus od „Stalin” pisali zamiast „Stalinowi” — „Stalinu”, bo po rosyjsku tak się pisze, a samozwańczego sowieckiego urzędasza, do którego przyszedł po jakiś papierek, nazywa „żydowskim mołojcem”. Przeczytać też jednak można u niego, jak to pod pomnikiem Mickiewicza we Lwowie, tuż po wejściu Sowietów, przedstawiciel narodowej młodzieży wyjaśniał, że mu się nagle odmieniły poglądy. Czy go to uchroniło przed wywózką — nie wiem.

Trzeba okazywać pomiarkowane zmartwienie i po—miarkowane oburzenie, ale nie można wszystkiego przerzucać na żadną ze stron. Artykuł profesora Strzembosza jest, niestety, stronny, Steinhaus natomiast wyraźnie podkreślił segregacyjny klucz, jakim posługiwali się Sowietci. Wielka liczba Żydów została przez władze sowieckie również wywieziona: tak zwani bieżęcy, a także kupcy i inne „elementy obce klasowo”. Paradoksalnie, źle widziani byli dawni komuniści, ponieważ władze sowieckie obawiały się, że skoro ktoś hołdował tak niepopularnym w Polsce poglądom, to i teraz nie będzie skłonny okazywać należytej giętkości i plastyczności plastelinowej w stosunku do tego, co nakazane.

Bardzo wiele elementów i faktów z tamtych czasów nie daje się odtworzyć. Osobiście uważam, jak już zresztą pisałem, że nad skrajnie smutnymi przypadkami, jakie opisał na przykład Strykowski w *Wielkim strachu*, należy spuścić zasłonę nie tyle zapomnienia, ile po prostu miłosierdzia. Nie powinno się pchać z butami do rozważania, kto bardziej, a kto mniej kolaborował.

Trzeba tutaj też dodać paradoks kolejny: wywiezieni przez Sowietów Żydzi, jeśli deportację stalinowską przetrwali, zawdzięczali jej życie, tych bowiem, którzy pozostali we Lwowie i okolicach, po wkroczeniu Niemców zamordowano. Wystarczyło przecież być Żydem, żeby zginąć z ręki Niemców. Wystarczyło też być Niemcem sudeckim, żeby w 1945 roku doświadczyć upokorzeń albo i śmierci z rąk czeskich. W takich przypadkach prawo przestaje obowiązywać, nikt nie staje przed żadnym trybunałem, po prostu bije się, pali, gwałci, rabuje i morduje. Zjawisko to świadczy o tym, jak bardzo ludziom jest potrzebna osłona prawna i autorytet ponadindywidualny.

Trudno też później o wyrównanie krwawych rachunków. Przypadek sprawił, że kiedy ukazał się artykuł profesora Strzembosza, ja akurat — z poczucia obowiązku, nie z ochoty — wziętem się do lektury książki, która leżała u mnie od dawna, ale nie miałem siły jej otworzyć: *Recht, nicht Rache*, czyli *Prawo, nie zemsta*, Szymona Wiesenthala. Po tej lekturze odczuwam zdziwione, lekko podszyte rozczarowaniem wrażenie, że ściganie morderców hitlerowskich, któremu Wiesenthal poświęcił życie, okazało się prawie że bezowocne. Kiedy mordercę odnalazł, to albo Argentyna czy inne państwo południowoamerykańskie go nie wydawało, albo też sądy, także austriackie, wydawały wyrok uniewinniający. Efekty tej pracowitej i ryzykownej działalności były nader skromne.

Ludzie pozbawieni prawnej osłony stają się, niestety, ofiarami wspomnianej na początku prawidłowości, bez względu, czy są to żydowscy uciekinierzy z getta szantażowani przez tak zwanych szmalcowników — w raportach AK podano liczbę 30 tysięcy szmalcowników działających na terenie Małopolski, nie było to więc zjawisko izolowane — czy Niemcy sudeccy wypędzani z domów przez bliskich nawet sąsiadów, czy kosowscy Muzułmanie, na których ruszyli Serbowie. Jest tutaj jakieś mordercze rozzuchwalenie się, uzależnione od tego, czy można, czy nie można. Z ust bliskich mi osób usłyszałem zdanie, którego może w pełni

nie podzielam, ale które rozumiem: że gdyby się okazało, iż wszyscy pisarze science fiction albo wszyscy ludzie, którzy noszą brody, nagle niepojętym sposobem znaleźli się poza prawem, marny byłby ich los.

Kiedy bywałam z żoną, jeszcze za czasów Tity, w Jugosławii, nie orientując się w różnicach pomiędzy serbskim, chorwackim i słoweńskim, nie mieliśmy świadomości, jeżdżąc tu i tam, że przekraczamy granice rozmaitych nacji, które w zmienionych okolicznościach gotowe są rzucić się sobie do gardła. Wszystko wydawało się podobne, a nawet bliskie. Były zresztą przecież liczne małżeństwa mieszane — a potem się nagle okazało, że istnieją jednak jakieś przepastne różnice, które prowadzą do masowych grobów.

Nie śmiałym tego wszystkiego przenosić na stosunek przybyszów z Europy do aborygenów australijskich czy Indian, ale i tam mogło być coś na rzeczy. Zderzenia odmiennych kultur, zwłaszcza w dawniejszych czasach, kończyły się krwawo. To się z wiekiem szczęśliwie zmienia, nadal jednak zdarzają się sytuacje, w których wszyscy wpadają w straszliwe trzęsawisko; stąd tytuł *Sprawa krwawego błota*. Z niezbyt dobrze wyjaśnionych przyczyn znaczna część okropieństw, które zaszły podczas drugiej wojny głównie, choć nie wyłącznie, na polskich i rosyjskich terenach, a także kolaboracja państw neutralnych Europy z Trzecią Rzeszą wychodzi na wierzch dopiero teraz. Kiedy się po latach takie fakty odgrzebie, niełatwo o sprawiedliwy sąd, trudne i ryzykowne jest bowiem wymierzanie sprawiedliwości zjawiskom masowym już zastygłym w historię, ponieważ normy i kryteria się zmieniają. Wybielać jednak przeszłości na pewno nie należy.

2001

## Powrót do atomu

Czytam właśnie, że w Stanach Zjednoczonych nastąpiło oczekiwane przeze mnie odwrócenie trendów w dziedzinie energetyki. Działające od wielu lat zespoły elektrowni jądrowych, które miały już pójść na złom, i to niemalże za bezcen, nagle uzyskały bardzo dobre notowania. Jedną z największych central atomowych w stanie Vermont, pracująca od dwudziestu siedmiu lat, miała być właśnie zamknięta, ale pojawił się inwestor gotów ją przejąć i ponownie uruchomić, w dodatku za godziwą cenę.

Dzieje się to w chwili, gdy amerykańska energetyka jądrowa znajdowała się już jakby w odwrocie, zwłaszcza że z Europy dochodziły dzikie pokrzykiwania Zielonych. Od czasu gdy w roku 1979 nastąpiła awaria — niezbyt zresztą groźna i szybko opanowana — w amerykańskiej elektrowni Three Miles Island w Pensylwanii, a zwłaszcza po katastrofie Czarnobyla, której piętnastolecie właśnie obchodzimy, ogólne przestraszenie energią nuklearną spowolniło prace Projektowe w tej dziedzinie, choć fachowcy zasadnie uważają, że nie doczekaliśmy się dotąd sensownej alternatywy, a nowe rozwiązania technologiczne pozwalają zminimalizować ryzyko i niepomierne zwiększają bezawaryjność reaktorów. Kiedy kilka dni temu przez Polskę przejeżdżał pociąg z paliwem dla czeskiego reaktora w Temelinie, donoszono o tym w takim tonie, jakby chodziło o pociąg zarażony dżumą — tymczasem cała operacja była nieszkodliwa, a obawy irracjonalne.

Co więc spowodowało ten ostatni zwrot? Po pierwsze, gwałtowny wzrost ceny gazu. Po drugie, coraz wyraźniejsze energetyczne niedobory. Przed dwoma laty nabywcy płacili sto dolarów za jeden megawat mocy, teraz płaci się zań blisko osiem razy więcej. W 1990 roku gaz był głównym paliwem dla nowo planowanych wielkich zespołów energetycznych. Elektrownie atomowe dostarczają obecnie w Stanach Zjednoczonych około dwudziestu procent energii — to nie jest mało. Dotychczas sądzono, że ich właściciele nie będą odnawiać licencji, rezygnując z nich na rzecz konwencjonalnych elektrowni opartych na paliwie gazowym — teraz jednak się to zmieniło. Pieniądz decyduje o wszystkim i jest w pewnym sensie także ponad obawami o bezpieczeństwo.

Wskreszenie przemysłu atomowego dało pretekst do debaty nad polityką energetyczną nowej administracji Busha. Administracja ta mówi, że nuklearne siły powinny być jednym z fundamentów narodowej energetyki.

Krytycy z tak zwanej Union of Concerned Scientists — nie wiem, jak to przetłumaczyć, „zatroskani” nie brzmi szczęśliwie, a „zainteresowani” to trochę za mało — wyrażają obawę, że daleko posunięty wiek amerykańskich jednostek atomowych i trudność rekrutacji zręcznych operatorów stanowią najsłabsze ogniwo bezpieczeństwa ich funkcjonowania. Rozwiązaniem ma być automatyzacja, ale skądinąd wiadomo, że nieawaryjne technologie nie istnieją. Jednak od czasu awarii na Three Miles Island nie zdarzył się w Stanach Zjednoczonych żaden poważny wypadek. Nowe, korzystne warunki opodatkowania i pomoc regulacyjna uczynią stare urządzenia pewniejszymi, ułatwią też produkcję nowych.

Wszystko to nie jest bez znaczenia dla Europy, która w tej dziedzinie przeżyła w minionych dziesięcioleciach same klęski. Najpierw był austriacki Zwentendorf. *De mortuis nil nisi bene*, ale nieboszczyk kanclerz Bruno Kreisky zachował się trochę jak osioł: kiedy tamtejsza elektrownia stała już gotowa, niemal pod klucz, zorganizował referendum, w którym pięćdziesiąt i sześć dziesiątych procent głosujących powiedziało „nie”; w rezultacie zmarnowano miliardy. Dziś najbardziej przez Zielonych zaatakowane kraje to Szwecja i Niemcy; we Francji, gdzie elektrownie atomowe stanowią bardzo istotną część źródeł energii, nikt jakoś nie umiera ze strachu. Natomiast kiedy przez Niemcy przejeżdża pociąg z odpadami z francuskich elektrowni, niewyżyta wojennie młodzież niemiecka znajduje wielką rozkosz w przykuwaniu się do torów, podwieszaniu pod wiaduktami i innych spektakularnych czynnościach, które — nawiasem mówiąc — bardzo lubi z kolei telewizja. Napisałem tu już, i zdanie moje podtrzymuję, że czynność taka jest nonsensowna: jeśliby bowiem nawet przyjąć, że pociąg taki zaszkodzić może otoczeniu, to zatrzymywanie go w jednym miejscu szkodliwość tę niewątpliwie potęguje.

Osobiście sądzę, że i dla Polski nie ma innego wyjścia, jak wznowić budowę w Żarnowcu, choć z drugiej strony nie bardzo wierzę w jej powodzenie. Od lat przecież mówi się o autostradach — i żadne nie powstają, więc z elektrowniami atomowymi byłoby pewnie jeszcze gorzej.

Nawrót do energetyki jądrowej zwiększy też niewątpliwie zainteresowanie jej stroną teoretyczną. Będzie się w dalszym ciągu doskonaliło technologie produkcji i systemy zabezpieczeń. Rząd Busha chce zasadniczo zmienić ustawę ograniczającą odpowiedzialność producentów w przypadku awarii nuklearnych; sprawy dotyczące atomowych źródeł mocy są w

Ameryce pod władzą praw federalnych, nie stanowych. Przypomina się też delikatnie, że powrót do energetyki jądrowej i jej rozbudowa zmniejszy wyrzucanie spalin w atmosferę (w książce *Świat na krawędzi* pisałem, jak straszne ilości rozmaitych toksycznych i szkodliwych substancji wydalają konwencjonalne elektrownie ciepłe). To zaś oznacza udanie się w stronę regulacji podjętych na konferencji w Kioto w sprawie zmian klimatu i tak zwanego efektu cieplarnianego; regulacji, które Ameryka jak dotąd raczej kontestowała. Swoją drogą, znane powiedzenie Stanisława Lema, że im bardziej klimat się ociepla, tym jest zimniej, niestety się sprawdza. Za oknem widzimy niesłychane ocieplenie: okres wegetacji opóźnił się w tym roku niemal o miesiąc, grozi za to fala powodzi. Pozostaje oczywiście nie rozwiązany, niosący rozmaite niebezpieczeństwa i stanowiący przyczynę nieustannej kontestacji problem składowania zużytych materiałów nuklidowych. Rosja putinowska, która ma olbrzymie obszary praktycznie nie zaludnione, a przy tym bardzo potrzebuje pieniędzy, okazuje gotowość przyjęcia znacznej ilości radioaktywnych odpadów. W Ameryce padła propozycja, by w tym roku administracja Busha opracowała odpowiedzialny politycznie plan, zawierający rozwiązania bardziej długoterminowe. Ostatnio mówi się o górach Nevady; wszyscy są za i tylko w Nevadzie nikt się nie cieszy... Pisałem już, że najlepszym śmietnikiem atomowym byłby Kosmos: niestety, wyrzucenie w Kosmos jednego kilograma czegokolwiek kosztuje na razie zbyt wiele.

Mówiło się od lat, że będziemy kiedyś mieli czystą energię z fuzji termojądrowej, jak w gwiazdach. Może to nie jest marzenie ściętej głowy, może nawet w pierwszej połowie tego stulecia dojdzie do pokonania technicznych trudności, wtedy problem resztek przestanie być tak istotny. Widziałem już u nas pierwsze ogłoszenia reklamowe zachęcające właścicieli domów, by wbudowali sobie w dach wielopłytkowe urządzenie pochłaniające energię słoneczną. Domu zimą się w ten sposób nie ogrzeje, ale ciepłą wodę w lecie zapewnić już można. Działanie tego urządzenia zależne jest jednak od stopnia zachmurzenia i tak dalej. Ostatnio też czytałem artykuł pełen zdziwienia, że my na Ziemi żyjemy na cieniutkiej skorupie, pod którą znajduje się płynna lava. Nie możemy jednak ze zmagazynowanej tam energii korzystać, kiedy się bowiem zrobi w Ziemi dziurę głębszą niż osiem–dwanaście kilometrów, wszystko, co się w nią wsadzi, ulegnie zaraz stopieniu. Pędzimy więc przez Kosmos, siedząc na okrągłej beczce prochu, a równocześnie szukać musimy drewnienek, żeby skrzesać nieco ognia i trochę się rozgrzać.

Nikt, zdaje się, nie dokonał globalnego salda i nie próbował dokładnie określić, w jakim procencie opór przeciw energii atomowej wywołany jest lękliwością społeczeństwa podsycaną przez media, w jakim zaś wynika z rzeczywistych potencjalnych zagrożeń. Dotyczy to także innych dziedzin. Słyszymy ostatnio wiele o tak zwanym „elektro–magnetycznym smogu”. Jedni twierdzą, że nie ma nic bardziej niezdrowego i że nadzwyczaj niebezpieczne jest częste sięganie po telefon komórkowy, a już nie daj Bóg Postawić dom pod liniami wysokiego napięcia. Wedle innych negatywny wpływ tak zwanych komórek na nasze zdrowie jest żaden, a osoby bardzo ostrożne mogą po prostu używać kabelka z wtyczką do ucha. Ostatnio we Włoszech rozpoczęła się awantura wokół nadajnika Radia Watykańskiego, które nie mając dalszych stacji przesyłowych, wali z większą mocą, aniżeli przewiduje to prawo



włoskie, bardzo zresztą w tym punkcie restrykcyjne; kierownictwo stacji zgodziło się już zmniejszyć liczbę godzin emisji.

Ogólny wniosek jest taki: ludzi na Ziemi będzie coraz więcej, tłok rośnie, zapotrzebowanie na energię także. Bez względu na to, jaką postać energii użytkujemy, czy są to węglowodory płynne, czy gazowe, czy też nuklidy, zawsze pojawią się problemy. Od podobnych zmartwień wolni są jedynie siedzący na wielbłądach Beduini: nie mają prądu, mają za to jeden garb przed sobą, drugi za sobą i więcej im nie potrzeba.

2001

## Globalna globalizacja

Tak zwana globalizacja oznacza wiele bardzo różnych procesów. Pisze się już sporo o jej efektach ekonomicznych, informacyjnych, socjologicznych, przy czym te ostatnie mają w naszych czasach postać takiego przyboru, że można mówić o wędrówkach ludów. Szczególnie Europa Zachodnia — obszar państw światowej czołówki zamożności — jest magnesem przyciągającym tłumy usiłujących uciec z Trzeciego Świata, czyli z wielkich obszarów biedy, której symbolicznym wskaźnikiem jest fakt, że co dwanaście sekund umiera na świecie z głodu dziecko. Są jednak takie rezultaty globalizacji, o których uprzednio nikt nie pomyślał, chociaż miały one swoje nieliczne antecedencje.

W ubiegłym stuleciu w Australii niesłychanie rozmnożyły się króliki i żeby zlikwidować ich plagę — sprowadzono pewien gatunek wirusa, który stał się przyczyną zagłady ogromnej większości małych zwierzątek. Potem jednak, jak to zwykle bywa w przyrodzie, doszło do mutacji i pojawiły się króliki odporne na ich epizootię. Proces globalizacji powoduje niekontrolowane przemieszczanie się najrozmaitszych gatunków roślin i zwierząt z terenów, na których zadomowiły się z dawien dawna, do zupełnie nowych okolic, gdzie stają się groźnym, niespodziewanym szkodnikiem.

I tak na przykład jadowity brunatny wąż drzewny z Australii i z Indonezji przedostał się na Guam i dalej rozprzestrzenił się przez Pacyfik, często używając jako środka lokomocji samolotów, ponieważ wpełza do owych schowków podwozi, do których startujący samolot wciąga koła. Małe drapieżne zwierzątko, znane pod nazwą własną Rikki Tikki Tawi z opowiadania Kiplinga, sprowadzono do Zachód nich Indii, ażeby zlikwidowało rozmnażające się tam szczury, ale, niestety, ofiarami jego stały się również liczne miejscowe gatunki ptaków, jaszczurek i płazów. Pewien gatunek mrówek, w który obfituje Azja, w pośredni sposób niszczy lasy deszczowe na Wyspach Bożego Narodzenia, ponieważ likwiduje kraby lądowe mające wielką i ważną rolę do spełnienia w miejscowym systemie ekologicznym. W przeciągu ostatnich osiemnastu miesięcy mrówki zabiły trzy miliony krabów.

Globalizacja skutkuje wędrówkami roślin i zwierząt, wskutek czego uchodzą one z krajów, w których stanowią normalną część flory i fauny, i dostając się tam, gdzie nigdy ich nie było — okazują się nowymi odmianami niszczącej zarazy. Są to chwasty, a także pasożyty pojawiające się w nowych siedzibach, ponieważ jacyś ludzie umyślnie je przywożą albo ponieważ same wkradają się do okrętów, kontenerów, a nawet samolotów. Kilkanaście lat temu,

jak sobie przypominam, widziałem fotografię olbrzymiego jak męska dłoń pająka, przywiezionego nieumyślnie do polskiej dojrzewalni bananów.

Światowy Związek Zachowania Przyrody w Szwajcarii twierdzi, że ekspansja obcych gatunków może rychło urosnąć do jednego z większych zagrożeń równowagi w przyrodzie, uszkadzając tak zwane żywieniowe łańcuchy. Naukowcy stojący na czele tej organizacji utrzymują, że należy walczyć z inwazjami obcych nie z jakiegoś Marsa, ale z naszej własnej planety. Wyliczają przy tym, że straty ekonomiczne wywoływane przez nieproszonych przybyszów wynoszą rocznie kilkaset miliardów dolarów. Jest to nowe zjawisko, które nie ogranicza się do światowej ekologii, lecz jest ściśle związane ze zdrowiem publicznym i globalnym handlem.

Trudno jest znaleźć skuteczne metody zablokowania takich inwazji, ponieważ nieświadomym rozmiarów zjawiska wydają się mało istotne, czego skutek jest taki, że za dzisiejsze hekatombie będą płaciły rachunki przyszłe pokolenia. Przez całe wieki lokalne gatunki rozwijały się odizolowane od siebie oceanami i górskimi łańcuchami, lecz nowoczesna eksplozja masowej turystyki i handlu na równi z osłabionymi kontrolami celnymi i brakiem odpowiedniej kwarantanny doprowadziły do gwałtownego rozprzestrzeniania się obcych gatunków. W samych tylko Stanach Zjednoczonych pojawiło się około dwudziestu procent nowych gatunków, dawniej tam nie znanych, a dzisiaj wysoce szkodliwych. Organizmy te nie tylko wkraczają na nowe obszary, ale często opanowują nowe terytoria, ponieważ są większe lub bardziej agresywne niż gatunki miejscowe, a żadne rodzaje drapieżców nie kontrolują ich liczby. Dodajmy nareszcie, że przyszczyca, która wybuchła w Wielkiej Brytanii, jest klasycznym przykładem obcej inwazji, ponieważ spowodował ją wirus pochodzenia azjatyckiego, wobec którego miejscowe trzody były bezbronne.

2001

## **W cieniu Wielkiego Brata**

Wrócić chcę dziś do sprawy Wielkiego Brata, choć nie widziałem dotąd ani minuty tego programu; zastanawiałem się jednak nad sposobem, w jaki on powstaje. Nie dzieje się przecież tak, że przypadkowa porcja przechodniów obojga płci zostaje zgarnięta z ulicy i wsadzona do zamkniętego domu.

To nie łapanka: do Wielkiego Brata zgłasza się wręcz nadmiar chętnych, spośród których dokonywana jest pierwsza selekcja.

Jakie kryteria podczas niej się stosuje — nie wiem, zapewne nie bierze się niemych, głuchych i krzywych. Pewna pani, uczestniczka programu, która na pierwszej stronie „Wysokich Obcasów” została ze czterdzieści razy sfotografowana, swoją wielkobratową pucołowatością tak mnie zirytowała, że gazeta trafiła do kosza. Z tego, co wcześniej zdążyłem przeczytać, wynika, że ta pani nie ma nic do powiedzenia. Może więc chodzi tutaj o wyłowienie absolutnej przeciętności? To by nie było takie okropne. Następnym etapem mają być jednak tak zwane Amazonki, gdzie przedstawiciele płci obojga ruszają w zaloty i tylko ze względu na przyzwoitość nie będzie się pokazywać dorozumiewanego erotycznego finału.

Pomysł ten wydaje mi się bardzo nieobyčajny i stanowi mieszaninę ekshibicjonizmu ze stręczycielstwem.

Druga selekcja w Wielkim Bracie jest już anonimowa, realizowana przez milionową widownię, a wkład osobisty tych, którzy w niej udział biorą, ogranicza się do dwóch złotych z groszami opłaty za połączenie telefoniczne. Widzowie rugują więc kolejne osoby, a ten, kto zostaje jako ostatni, otrzymuje premię, znaczną, choć stanowiącą jedynie ułamek tego, co zarobiła Telewizja. Jest to rodzaj telewizji interaktywnej: jako widz mogę zrobić coś z tymi, co się kręcą na ekranie.

Osobny problem stanowi to, co dzieje się po zakończeniu kolejnej serii Wielkiego Brata. Przestępcy, którzy dopuścili się najstraszniejszych nawet mordów i gwałtów, siedząc już w kryminalach, z niezrozumiałych powodów otrzymują nieraz listownie wiele propozycji, nawet i małżeńskich. Dostrzegałem w tym zawsze oznakę straszliwej skłonności przeciętnych umysłów ludzkich do aberracji. Widziałem rozmowy z osobami, które z Wielkiego Brata zostały przed samą końcówką usunięte. Osoby te, choć nie zarobiły pół miliona, zdradzały zachwyty wywołany, że rozpoznawano je i radośnie witano na ulicy czy w sklepie. Natomiast na pytanie, co potrafią i czego po zakończeniu całej tej przygody się spodziewają, padała zawsze odpowiedź: czekam na propozycje. Czy chodzi o reklamowanie piwa, czy też bielizny — nie wiem, nie każdy się do reklamowania bielizny nadaje. Charakterystyczne jednak, że innych odpowiedzi nie było: nikt nie pochwalił się choćby znajomością prestidigitatorskich sztuczek. To jest, moim zdaniem, pewnego rodzaju anomalia anonimowego społeczeństwa masowego: wielki pęd jednostek, by wydobyć się z anonimowości choćby na krótko. Większość wybrańców ulega zresztą bardzo szybko zapomnieniu i roztapia się m powrót w ludzkiej masie.

Pan Sobolewski napisał słusznie w „Wyborczej”, że dla niego mniej oburzająca jest zwyczajna nagość, rozumiana nawet pornograficznie, aniżeli tego rodzaju pokazy, zwłaszcza że wielkobratowe widowiska pokazywane są w czasie tak zwanej wysokiej oglądalności. Dla mnie też są one czymś po prostu niegodziwym. Myślę, że nieżyjący Witold Gombrowicz byłby nie mniej niż ja dotknięty, ponieważ chodzi tu o ingerencję w bardzo intymną sferę międzyludzkich stosunków. Wielki Brat stanowi oczywiście tylko wycinek tego, co się dzieje w kulturze masowej: olbrzymie nakłady rozmaitych Harry Potterów, inwazja wszelakiego rodzaju tandety. Wliczam w to także pomysł „Polityki” — że Pilch zacznie pisać powieść, a czytelnicy będą ją kontynuować. Kiedy chodziłem do niższych klas gimnazjum, na wąskiej kartce papieru pisało się jedno zdanie, potem się je zakrywało, zaginając papier, i ktoś inny pisał zdanie następne; to jednak zabawa odpowiednia raczej dla dzieci.

Powszechność uznania, jaką Wielki Brat cieszy się u widzów, nie jest argumentem na rzecz tego rodzaju widowisk. W krajach takich jak Francja czy Niemcy spotykają się one z częściową aprobatą, ale i ze znaczną niechęcią. U nas dostrzegam raczej niedobór głosów krytycznych. Gdy niewielka grupka polskich reżyserów zaprotestowała przeciw programom w rodzaju Wielkiego Brata czy Amazonek, podniosły się głosy oskarżające ich, że usiłują ratować, mówiąc brutalnie, własne posady czy może dochody. Zarzut ten wydaje mi się nonsensem. Z tego, co słyszałem, programy te są przede wszystkim nudne i niesmaczne. Wynosi się za ich pomocą absolutną bylejakość do poziomu elit wzorotwórczych. Społeczeństwo, które nie uległo jeszcze zupełnemu zglajchszaltowaniu i niwelizacji (termin Witkacego), powinno

to odrzucić. Telewizja pełni w tym przypadku bardzo negatywną rolę społeczną, podczas kiedy mogłaby działać wiele dobrego.

Nie jestem zgorszona ciotką na kanapie; ja się wcale nie gorszę, mnie się tylko wydaje bardzo nie w porządku, że ktoś w taki sposób maltretuje i marnuje bezcenny czas ludzkiego życia. I właśnie ze względu na to, że tak silna jest tendencja masowego udawania się w ślad za Wielkim Bratem, że pojawiają się jego bracia mniejsi, należy się głośno przeciwstawić owczo—baraniemu pędowi. Nie trzeba tego utożsamiać ze stosowaniem cenzury. Jeżeli ktoś podczas przyjęcia zacznie obiema garściami zgarniać z półmisków potrawy i kanapki, a następnie pakować je sobie do kieszeni, żadne sankcje karne mu nie grożą, usłyszy najwyżej, że jest źle wychowanym chamem. Takich rzeczy się bowiem nie robi, podobnie jak nie powinno się chodzić nie umyтым i w brudnej koszuli.

Wstydę się, że społeczeństwo chce oglądać Wielkiego Brata. Nie tylko chce, ale wręcz łaknie, chociaż wiadomo, że nie ma tam żadnej akcji fabularnej. Rozszerza się proces nicestwienia wysokiej kultury i sztuki we wszystkich sztukach. To rodzaj zarazy, pandemii, która się pomalutku rozszerza. Przyjemnie zadziwia mnie wiadomość, że podobno żaden Wielki Brat nie zagościł w Ameryce: ani w Kanadzie, ani w Stanach Zjednoczonych. Martwi natomiast, że raczej milczą osoby, które alergicznie zwykle reagują na niewłaściwe ich zdaniem użycie symboli religijnych. Reagują trochę jak pies Pawiowa na kawałek chleba; to, co leży poza domeną stabuizowanych symboli, pozostawia ich całkowicie obojętnymi.

Mam naturalnie świadomość, że ani moje słowa, ani słowa pięciu tysięcy innych ludzi, którzy myślą tak jak ja, niczego w panującym trendzie nie zmieniają. Uważam jednak, że jedna z ostatnich instytucji w Polsce, jakie zachowały autorytet, czyli Kościół, powinna się jakoś do tych problemów ustosunkować. Nie powinniśmy się dalej poruszać w kierunku, który wskazuje Wielki Brat. Ubolewam, że społeczeństwo tak radośnie go spożywa. Najbardziej zaś zadowoleni są oczywiście producenci i nadawcy...

2001

## **Rozważania sylwiczne CV**

Przeczytałem dzisiaj, że do kolejnej tury Wielkiego Brata zgłosiło się 120 tysięcy kandydatów obojga płci. Zarazem w ostatnim numerze „Przekroju” pojawiła się korespondencja pomiędzy rodakiem mieszkającym w kraju i jego znajomym, który wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Z wymiany pytań i odpowiedzi wynikało, że polska klasa polityczna składa się w sporej mierze z osób ekstrawaganckich, źle wychowanych, niewykształconych, a nawet poruszających się na grani oddzielającej hipokrytyczne odmiany dewocji od zwyczajnej paranoi. Kroplę nadziei przebudzić może w duszy czytelnika myśl, że owa karuzela ponurej deprecjacji naszych elit, jako też rozpedzonych arywistów, wdarła się na społeczne szczyty Polski jedynie w fantazji „przekrojowego” autora. Tę ostatnią nadzieję tłumi jednak fakt nazywania w tekście po imieniu i nazwisku najzupełniej realnym każdego reprezentanta chocholego delirium.

Właściwie nie wiadomo, co należy czynić w tym dziwnym społeczeństwie, które jest równocześnie poddane olbrzymim ciśnieniom ikonosfery, szatkowane i spawane interne-

towymi czatami i wygłupami, które znajduje się Podobno na skraju zapaści budżetowej, na niezłym dorobku i przy tym wszystkim tak niesłychanie jest niepodobne do polskiego społeczeństwa, jakie pamiętam z młodości że właściwie zdaje się nie do wiary w tak krótkich dziesięcioleciach tak niezwykle przemieniona tożsamość wciąż jakoś sarmacka. Różne uczone osoby przedstawiają nam w sążnistych na ogół artykułach diagnozy psychosocjologiczne obecnego stanu rzeczy, czytelnik zaś zaznajamiający się z owym wielogłosem odnosi chwilkami dziwne wrażenie, że śni koszmar, przerywany krótkimi wcięciami z dawna znanej jawy. Inaczej mówiąc, ja przynajmniej odnajduję Polskę raczej w snach wskrzeszających migawki z moich lat gimnazjalnych. Właściwie budzę się często z uczuciem powrotu do takiego kraju, który jest skołowanym karuzelowo wesołym miasteczkiem, podrzucanym drobnymi trzęsieniami ziemi. Niby wszystko jest takie jak w zwyczajnym państwie: są władze, miasta, drogi, rzeki, korowody aut, listy milionerów, różni urzędnicy, bankierzy, złodzieje, policja, ale jakoś to się źle rymuje z wyobrażeniami o zwykłości pospólnego życia. Jakieś huragany, także polityczne, powodzie, bieda, jakieś peryferie kultury, gazety przynoszące nie wiarygodne wieści, jakieś wykonane po naszymu widowiska albo filmy, które trudno wyeksportować, młodociana literatura źle, ponieważ niskonakładowo, obecna, jakieś kradzieże narodowych cenności, policja goniąca tygrysa, a trafiająca weterynarza, krótkie i rzeczowe informacje o bezsensie zwracania się do władz bezpieczeństwa o pomoc, jednym słowem, jeżeli w ogóle można być na tyle bezczelnym, by mówić o zawartości jednego słowa, żyjemy w bigosie, który okrutnie przypomina mi ostatnią zwrotkę znanego wiersza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego:

Skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie!  
(skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie)  
Chcieliście Polski, no to ją macie!  
(skumbrie w tomacie, pstrąg)

Owa miszkulancja z zakalcowatymi miejscami jest dość trudno strawna, zwłaszcza że aplikowana w dużych dawkach, w chwili zaś, kiedy to piszę, widzę nagle w gazecie sążniste listy przedwyborcze bezliku partii, które mają nazwy, ale właściwie zamiast programów mają tylko hasła, i dopiero niezdolny do jakiegokolwiek scałkowania owego wielkiego ruchu przygotowań do sejmowych wyborów, dostrzegam w ich kalejdoskopowej karkołomności bardzo głęboko pochowane w pamięci zarysy niepouczalnej, gdyż tak upartej, swarliwości tej znieuchomiałej historycznie, która już tylokrotnie obracała wodowanie naszego korabia państwowego w jego gulgocące zanurzenie się w topiel, aż do dna. Zresztą można powiedzieć, że wszystko to są jedynie moje starcze gderania, wyzbyte jakiegokolwiek należycie wychłodzonego obiektywizmu. Myśl taka potrafi zapewne uspokoić na pewien czas, lecz najwyraźniej czuję, że się na spokojnego widza szykowanego nam panoptikum politycznego po prostu nie nadaję. Po wszystkich przejściach zeszłego wieku odzyskaliśmy podobno wolność, ale niewinność utraciliśmy ze szczętem. *Sic transit gloria mundi.*

## Żarłoczność demokracji

W sobotnim dodatku do „Rzeczpospolitej” zamieścił Ryszard Legutko dobrze przemyślany artykuł o zachodzącym, zwłaszcza w demokracjach, wywodliwym z ich porządku ustrojowego, powszechnym spłaszczaniu takich odmienności kulturowych, które dawniej stanowiły o różnorodnej hierarchizacji społeczeństw. Upraszczając rzecz, można powiedzieć, że demokracja, w swoich pierwocinach mająca zapewnić ludowładztwo zapośredniczone powszechnymi wyborami władz oraz gwarantująca równość swobód obywatelskich, zaczęła z wolna dawać przerzuty w sfery działalności ludzkiej dotychczas samowładnym siłom niepodległe.

Wielkie różnice zachodzące pomiędzy tym, co dzieje się obecnie, a tym, co wydarzyło się przed półwieczem, można sprowadzić do następującej dystynkcji podczas drugiej wojny światowej: medialne środki przekazu, zwane pospolicie czwartą władzą, zasadniczo ogłaszały informacje otrzymywane od ekspertów, zwłaszcza militarnych. Nie było wtedy mowy o tym, ażeby opinie wypowiedane w mediach mogły na przykład wpływać na strategię i taktykę prowadzenia wojny przez aliantów tylko z tej racji, że alianci byli demokratami. Nie było na przykład tak, żeby w mediach pojawiały się żądania ustalające, dajmy na to, czas oraz miejsca inwazji na Europę Zachodnią przez połączone siły anglo-amerykańskie. Tajność planowanych przez sztaby działań wojennych była jednym z gwarantów możliwego sukcesu, toteż naruszenie owej tajności przez media źle by się dla autorów każdego przecieku, militarnego czy politycznego, zakończyło. Nie było mowy o tym, ażeby lotnicze siły, metody i cele ataków na hitlerowskie Niemcy określane były przez gazetowych strategów.

Wydaje mi się, że jeśliby obecnie trwająca nie tylko w USA cicha walka toczona pomiędzy łaknącymi informacji mediami a chroniącym tajemnicę działań zespołem sztabów anglo-amerykańskich rozpoczęła się już w czasie drugiej wojny światowej, to inwazja na Europę okazałaby się prawdopodobnie klęską lub co najmniej katastrofą aliantów. Chcę powiedzieć, że zachodzi sprzeczność interesów pomiędzy informacyjnym głodem mediów a dysponentami działań militarnych. Widoczne to jest zarówno na całym obszarze afgańskiego teatru wojennego, jak też w USA i w Europie Zachodniej. Ponieważ konstytucja USA gwarantuje wolność słowa, administracja prezydenta Busha, ażeby zachować tajemnicę operacji oraz ograniczyć publikację groźb terrorystycznych, zmuszona jest zwracać się do wielkich środków przekazu z prośbami o umiar przy publikowaniu głosów z wrogich źródeł, na przykład buńczucznych deklaracji bin Ladena. Śmiertelne ryzyko, podejmowane z całą jego świadomością przez poszczególnych reporterów wkradających się na obszary opanowane przez talibów, wskazuje, jak bardzo zmieniła się obecnie sytuacja względem wszystkiego, co zachodziło przed pięćdziesięciu laty.

Profesor Legutko pisał w „Rzeczpospolitej” o spospolitowaniu społeczeństw, które okazuje się równaniem w dół, co niezmiernie utrudnia wyłanianie się wzorotwórczych elit, ponieważ współczesna demokracja ma tendencję do zawłaszczania obszarów życia, jakie były dawniej dla niej niepodległe. Podczas kiedy Stany Zjednoczone wraz z Anglią i pod egidą ONZ montują silnie heterogeniczne alianse, mające na celu swego rodzaju skomprimowanie dyspo-

zycyjnych ośrodków terroryzmu w Afganistanie przez obalenie talibów jako ich protektorów, w mediach, poczynając od CNN, a kończąc na bulwarowych gazetach i tabloidach, trafiamy na istne potoki trudno albo źle sprawdzalnych informacji, które nie bardzo nawet da się zdemontować lepiej poinformowanym czynnikom. Komercyjalna żarłoczność mediów doprowadziła do tego, że koszmarny ludobójczy atak suicydalny terrorystów w Nowym Jorku považył się pewien koneser mianować „dziełem sztuki” a la happening. Ten krok spotkał się jeszcze z dość powszechnym oburzeniem, natomiast rzeczą zupełnie normalną są demonstracje, domagające się natychmiastowego zaprzestania działań, z bombardowaniem na czele, ponieważ straty ponosi także Bogu ducha winna ludność Afganistanu. W głosach, zwłaszcza pozaamerykańskich, a niekoniecznie arabskich, wyczuwa się skrytą, cichą i dość niecną satysfakcję z tego, że pierwsze mocarstwa naszej planety tak straszliwie i, zdawałoby się, tak łatwo mogą zostać ugodzone.

Jestem przekonany, że gdyby jakiś żurnalista brytyjski ongiś próbował ogłosić w prasie miejsce i termin inwazji, to odpowiadałby za zdradę interesów swego walczącego państwa przed sądem. Już bardzo wiele pisało się w swoim czasie o szanownych profesorach uniwersytetów, którzy siadali na ziemi przed bazami amerykańskimi w Niemczech Zachodnich, pełniąc funkcję tak zwanych przez bolszewików „pożytecznych idiotów”. Następny rzut tych osób użala się obecnie nad losem nieszczęsnych mieszkańców Afganistanu i domaga się w demonstracjach ulicznych nagiego wstrzymania działań militarnych, przynajmniej do czasu, kiedy się owych biedaków i uciekinierów otoczy należytą opieką. Te wybuchy opiekuńczej czułości kontrastują dziwnie w mojej pamięci z latami drugiej wojny światowej, kiedy to więźniowie obozów takich jak Oświęcim modlili się o bomby alianckie, niestety, daremnie. Wydaje mi się, że najwięcej mamy demokracji tam, gdzie najmniej jej potrzeba. Ograniczniki działań szkodliwych społecznie nie mogą być wyłącznie narzucane przez państwową przemoc. Muszą być uwewnętrznione i na ich uwewnętrznieniu polega państwo obywatelskie. Profesor Legutko zamknął swój artykuł uwagą, że to, co pragnie być w naszych czasach elitarne, zmierza właściwie do wieży z kości słoniowej, którą ja nazwałbym raczej katakumbami. Wszelako utandetnienie masowej kultury, ucieczka promowanych przez nią piór czy filmów przed realnymi niebezpieczeństwami drapieżnie nuklearyzującego się świata wskazuje, że nadmiernie rozpełzająca się i rozplaszczona demokracja obraca się w swoje przeciwieństwo. W książce wydanej przed czterdziestu laty pisałem, że społeczeństwo musi mieć enklawy ekspertów, co oznacza, że nie każdy obywatel może się w dowolny sposób wypowiadać na tematy obce jego doświadczeniu. Nie można urządzać referendum w kwestii, czy laparotomię należy przeprowadzać metodą Trendenleburga, czy może inaczej. Nie można ufać Partiom Zielonych, jeżeli zatrzymują pociągi z odpadami radioaktywnymi po prostu dlatego, że nie wiedzą, co sami czynią: albo taki pociąg radioaktywnością nie razi i wówczas nie ma go co zatrzymywać, albo też razi i wtedy rzeczą jedynie rozsądną jest umożliwić mu najszybszy przejazd nie uszkodzoną trasą.

Mamy do czynienia z ochlokratyczną bezmyślnością zbiorowych działań. Nie znaczy to wcale, że działania podjęte przez Amerykanów przeciwko terrorystom są doskonale celne, sprawne i niezawodne. Przez długie tygodnie, od 11 września, oglądałem niedzielne dyskusje prasowego klubu telewizji niemieckiej i nie dowiedziałem się z nich oczywiście niczego, po-

nieważ dziennikarze rzadko tylko należą do elit decydentów i obserwatorów najlepiej poinformowanych. Niewątpliwie człowiekowi wychowanemu tak, by różnice wartości dowolnych kulturowych produktów były dlań oczywistością, jawi się jako bolesna sytuacja, w której Hamlet jest mniej więcej tyle samo wart jako produkt, co Harry Potter. Jednakowoż marginalizacja wytworów kultury elitarnej jest zjawiskiem, które można ostatecznie przeboleć. Gorzej, kiedy w tym naszym antyelitarnie rozpląszczonym świecie społecznym globalizacja ukazuje coraz wyraźniej swoją ciemną stronę — ludzkich mas rozpędzanych prądem przemian, nad jakimi coraz trudniej zapanować, w niewiadomą przyszłość.

Wielkie spłaszczenie nowożytnych społeczeństw, ich tendencja do równania w dół, jako spospolitowania niweczącego dawniejsze hierarchie w kulturze, ujawnia silną tendencję do rozrastających się wielopaństwowo przerzutów. Stojąc w supermarkecie przed istną ulicą telewizorów, mimo woli stałem się świadkiem fragmentów Wielkiego Brata krajowej produkcji. Jakaś dziewczyna myła coś pod zlewem, zaczęła jakiś mężczyzna wykonywał różne ruchy rękami. Była to sytuacja, w której czułem się jak przybysz z Marsa nagle ciśnięty w odmet zupełnie obcej kultury.

Powody, dla jakich najbanalniejsze czynności najzwyczajniejszych osób mogą się stać frapujące dla milionowych rzesz widzów, są dla mnie zupełnie niepojęte. Jednakowoż w obliczu postępującego zglajchszaltowania gustów odbiorczych jestem zupełnie bezradny. Diagnoza profesora Legutki niewątpliwie jest trafna, trudno jednak wykryć i nazwać wielość przyczyn sprawiających, że niwelizacja społeczna bezustannie promuje to, co bardziej prymitywne, to, co bardziej trywialne, co po prostu byle jakie, zamiast świata problemów i spraw urokliwych, ponieważ trudniejszych do aktywnego przeżywania. Duży wkład nowożytnych technologii przekazów informacyjnych, z telewizją i Internetem na czele, nie ulega wątpliwości, nie wiem jednak, czy jest racją dostateczną.

Obecnie USA wyraziły życzenie, ażeby niewielka część niemieckiej Bundeswehry wzięła pomocniczy udział, nie—bojowy, w toczącej się walce z talibami. Aczkolwiek już wcześniej kanclerz niemiecki wielokrotnie powtarzał, że zgodnie z brzmieniem piątego paragrafu NATO wszystkie państwa członkowskie, a więc i Niemcy, są zobowiązane do sojuszniczego współdziałania z Ameryką, rzecz nie skończyła się na tym, ponieważ zgody musi udzielić jeszcze niemiecki parlament. Niektóre odłamy partyjne Bundestagu sprzeciwiają się niemieckiemu poparciu Amerykanów, ponieważ na razie źle się Amerykanom w Afganistanie powodzi— Jeśliby polityczne postępowanie tego rodzaju okazało się możliwe w chwili, kiedy Niemcy napadły Polskę we wrześniu 1939, to być może Anglia nie wypowiedziałaby Niemcom wojny pomimo zobowiązującego ją do tego traktatu z Polską i nie wiedzieć jak by się wówczas w takiej sytuacji wypadki potoczyły dalej. Wygląda na to, że reguła *pada sunt servanda* powoli przestaje obowiązywać. Zakres praw, jakimi można dysponować w państwie demokratycznym, a w szczególności posłuch wobec międzynarodowych zobowiązań, ulega erozji. Zmierzamy — wydaje mi się — ku światu, w którym wszystko jest możliwe, w którym można toczyć wojnę bez wypowiedzenia wojny, można dotrzymywać albo nie dotrzymywać układów, w którym każdy może robić, co mu się żywnie spodoba, z pożytkiem albo szkodą dla postronnych. To, co gorsze, wygrywa, natomiast to, co lepsze, przegrywa.



Trudno jest aprobować antytalibową akcję USA w Afganistanie inaczej, aniżeli pojmując ją jako krok podjęty z konieczności, ponieważ ludobójczo sprawny terrorystyczny atak wymagał riposty. Bez wątpienia humorystyczne byłoby, jako odpowiedź na ów atak, amerykańskie *dé-marche* połączone z wysłaniem do Afganistanu policyjnej ekipy wyposażonej w nakaz aresztowania bin Ladena. Sądzę, że zarówno rychłe obalenie rządu talibów, jak i ustalenie w Afganistanie nowego rządu problemu zaczajonych w naszym świecie terrorystycznych organizacji nie rozwiąże. Do tej pory pisało się i mówiło wiele o kiepskich stronach globalizacji, lecz dopiero teraz wyszczerzyła ona kły terroryzmu, tym zuchwałej i żarłoczniej wymierzone w zdobycz, im większymi swobodami rodem z ustroju demokratycznego mogą się chlubić państwa, będące przez to właśnie wylęgarniami własnych wrogów.

Nie jestem pewien, czy udało mi się już dotknąć głównych czynników sprawczych owej marności naszego czasu, w której byle jaka pospolitość staje się żyzną glebą dla wzrostu plugawej agresji. Podobnie jak elektryczne potencjały burzowe usiłujemy piorunochronami unieszkodliwiać przez ich uziemienie, podobnie też burze terrorystyczne usiłuje się zasadniczo sprowadzić do niewielu źródłowych przyczyn, a mianowicie głodowego ubóstwa Trzeciego Świata oraz bliskowschodniego konfliktu Izraela i Palestyny. Obawiam się, że dokładniejsze badania wykazałyby obecność znacznie liczniejszego dorzecza przyczyn, pośród których wciąż jeszcze milczkiem rozrastają się demony nuklearyzacji i bioterroryzmu. Niestety, wiele moich futurognostycznych wizji ziściło się, lecz przybrały one straszliwie czarną barwę, albowiem ludzki rozum stwarza nowe instrumenty, które obracają się właśnie przeciwko niemu i tym samym zagrażają naszej cywilizacji.

2007

## **Pułapka profesjonalizmu**

Ostatnimi czasy wydawało mi się, że pismo „Przegląd”, lewicujące, na pewno nie klerykalne, nie jest zanadto odległe moim przekonaniom. Zmieniłem jednak zdanie, przeczytawszy w tym piśmie artykuł pana Piotra Gadzinowskiego zatytułowany *Piekło moralistów*. Autor pisze, że gdyby oceniać prokuratora Kaucza pod względem profesjonalizmu, czyli wywiązywania się z obowiązków, to może być stawiany za wzór, nawet jeżeli oskarżał w latach osiemdziesiątych panią Labudę czy Władysława Frasyniuka. Trochę jak kat, który wykonuje tylko zleczone mu zadanie odcięcia głowy i nie powinien być pociągany do odpowiedzialności z tytułu zmiany ustroju.

Jak widać, profesjonalizm jest w cenie. Idąc szczeblami tego rodzaju rozumowania, dochodzimy do przekonania, że jeżeli w Trzeciej Rzeszy obowiązywały ustawy zwane potem norymberskimi, to wszyscy ci, którzy je skrupulatnie realizowali, powinni zostać uznani za wybitnych profesjonalistów. Należałoby zatem doprowadzić do szybkiego zmartwychwstania wszystkich dżentelmenów powieszonych po wojnie z wyroku międzynarodowego trybunału i ewentualnie udzielić im nawet wyższych szarż. Jeżeli za główne kryterium oceny brać funkcjonalne sprawności, to nikt nie był bardziej profesjonalny od panów, którzy wytwarzali cyklon i ustawiali zwrotnice, by pociągami posłać miliony Żydów do komór gazowych. Eichmann na przykład był znakomitym profesjonalistą, generał von dem Bach-Zelewski

także, ponieważ nie tylko rozdeptał powstanie warszawskie, ale zrujnował miasto i zabił ponad ćwierć miliona warszawiaków — kolosalne osiągnięcie.

Wcale nie żartuję; to jest tenor cytowanego artykułu, choć jego autor nie wychodzi oczywiście poza stwierdzenie, że profesjonalizm stanowi wartość *per se* i nie podlega w zmienionych warunkach ustrojowych zastrzeżeniom czy oskarżeniom moralnym. Z innych tekstów znajdujących się w tymże „Przeglądzie” wynika pośrednio, że także stanowisko pani minister Piwnik, która dość obojętnie przeszła do porządku nad przeszłością prokuratora Kaucza, jest zasadne. Moralność byłaby w tym ujęciu omamem, chwilową złudą, czymś w rodzaju snu, z którego się budzimy, by zobaczyć, że liczy się tylko sprawność działań. To nie jest argumentacja przekonywująca, raczej sofistyczne kręctwo. Zmienię na chwilę temat, ale tylko pozornie. Kultura nie jest pojęciem, które obejmuje wyłącznie książki, przedstawienia teatralne, śpiewy i tańce. Kultura w moim rozumieniu stanowi nieodjemny atrybut człowieczeństwa, który powstał jako protokultura mniej więcej 30 do 40 tysięcy lat temu, kiedy zaczęto po raz pierwszy chować zmarłych i kłaść do ich grobów przedmioty, które mogłyby im się przydać w innym świecie. Potrzeba moralności zakotwiczonej w wierzeniach typu religijnego jest u *Homo sapiens*, jak S’C teraz usiłuje — podkreślam: usiłuje — wyjaśnić, uwarunkowana nawet i genetycznie. Pierwociny protokultury można znaleźć także na niższych szczeblach, na przykład u szympanów, występuje tu jednak istotna różnica. Nieskulturalizowany grupowo orangutan czy szympan może sobie żyć, natomiast dziecko wzrastające poza wspólnotą ludzką nie nauczy się mówić i jego potencjały zostaną zmarnowane. Poza kulturą człowiek istnieć nie może.

Kultury mogą być raczej represyjne albo raczej permissive. Zachód zmierza najwyraźniej do permisywności coraz bardziej nieograniczonej. Jeszcze sto lat temu było w ogóle nie do pomyślenia, by legalizować związki homo—seksualne czy dopuszczać eutanazję, jak to się dziś czyni w niektórych krajach. Niektóre ze zmian wiążą się z postępami rozpoznania struktury organizmu ludzkiego. Wiadomo też, że kultury się nie dziedziczy. Natomiast relatywizowanie ludzkiego zachowania w taki sposób, aby zwierzchnie normy i nakazy były dane przez istniejące władze i tylko w ramach konkretnego ustrojowego porządku miały zasadne prawo istnienia, a poza tym ustrojem rozpadały się w nicość — otwiera szeroko wrota rozmaitym niebezpieczeństwom.

Skoro liczy się tylko profesjonalizm działania — czemu nie ugotować z Zosi i Małgosi zupy? Jeżeli będzie smaczna, oznacza to, że kucharz wyborny i nie ma najmniejszego powodu, dla którego należałoby czynić mu wyrzuty. Jak ktoś dobrze gazował, rznął, mordował albo porywał samoloty, bo mu tak kazał zwierzchnik, którym mógł być przecież i religijny autorytet, jak ów jednooki mułła — powinno się go zgodnie z takim rozumowaniem usprawiedliwić. Atak na Amerykę z 11 września był wszak znakomicie wykonany. Jeśli się odłączy i wyprowadzi poza wszelkie nawiasy postulat oceny moralnej, uznać trzeba, że arabscy samobójcy działali sprawnie i profesjonalnie — lepiej nie można!

Nie miałem właściwie zamiaru ironizować, bo nie są to sprawy, z których można się pośmiać. Nie trzeba być koniecznym wyznawcą jakiejś konkretnej konfesji, ażeby uważać, że pewne wzorce zachowania mają w naszej kulturze charakter, jak to się mówi w fizyce, niezmienniczy, że ich ocena nie może podlegać fluktuacjom w zależności od ustroju. Istnieją oczywiście zawody, w których moralność schodzi w takiej ocenie na daleki plan. Mogę się

zgodzić, że dentysta w Niemczech hitlerowskich — nie myślę o tych, którzy trupom zdzierali złote korony ze szczęk — podobnie jak w Sowietach, był zawodem moralnie obojętnym. Natomiast prokurator... od razu przychodzi mi na myśl Wyszyński, oczywiście nie nasz, ale sowiecki. Albo Rudenko, który w Norymberdze usiłował oskarżyć Niemców o mord na polskich oficerach w Katyniu. Sprawni dopomagacze i popychacze straszliwej kolubryny sowieckiej zasługują na jeszcze mniejsze uszanowanie moralne aniżeli ci, którzy robili to prymitywnie i w sposób drewniany.

Jeżeli w jakimś państwie kodeks karny przewiduje karę śmierci, to czy kat, który wyrok śmierci wykonuje, z punktu widzenia obserwatorów zewnętrznych popełnia czyn niemoralny? Tego nie wiem. Nie ulega natomiast dla mnie wątpliwości, że prokurator, który z wielkim zaangażowaniem oskarżał panią Labudę czy Frasyńniuka, ponieważ otrzymał z góry nakaz, że ma być surowy — to całkiem inny przypadek. Słyszę: on był wykształconym prawnikiem, nic innego nie umiał, musiał więc oskarżać. Może i musiał — ale w takim razie nie musi być w wolnej Polsce zastępcą prokuratora generalnego. A jeżeli okazuje się, że nikogo innego na to miejsce nie ma, niech ono pozostanie raczej puste. Bardzo dobrze z profesjonalizmu, ale niedostatecznie z zachowania — tak to odbieram bez jakiegokolwiek apelowania do sankcji metafizycznych czy transcendentalnych.

Należy właściwie rozumieć „grubą kreskę” Mazowieckiego. Nie znaczy ona, że wszystko się zapomniało; niczego nie wolno zapomnieć i nie wszystko można odpuścić. Znaczący tylko, że zaczynamy jeszcze raz od nowa. A traktowanie moralności jako służebnicy ustroju jest niebezpieczne, zwłaszcza że historia składa się z licznych zapętleń i wykonuje często koziołki, podczas których ludzie wystawiani są na rozmaite próby.

Kiedy za okupacji, pracując w niemieckim warsztacie, rozmyślnie kiepsko naprawiałem samochody, był to czyn patriotyczny. Dziś takie działanie doczekałoby się innej oceny. Istnieje oczywiście zależność oceny naszych działań od warunków, w jakich egzystujemy czy wegetujemy. Za sprawą gąszczu uwarunkowań, których nie da się rozciąć siekierą, niełatwo zwykle stwierdzić: oto wszystko, co jasne i prawe, znalazło się po jednej stronie, a wszystko, co ciemne i ponure — po drugiej. Nie jest jednak tak, by każdy mógł postępować według własnego widzimisię, powołując się na rozkazy z góry, a jedynym kryterium oceny jego działań pozostawał profesjonalizm.

2001

## **Rozważania sylwiczne CVIII**

Żyjemy na początku trzeciego tysiąclecia, tak ponurym, że skłania mnie to do kilku refleksji, przytłaczających wiarę w możliwość wykształcenia w człowieku cnót zgodnych z elementarnym kanonem moralności. Nie wydaje mi się, żebym się mylił, obserwując narastającą w ostatnich latach dewaluację życia ludzkiego. Kiedy się pewien Czech straceńczo spalił w politycznym proteście, mieliśmy ów akt tragiczny za raczej wyjątkowy. Obecnie, jeśli sędzić podług faktów, nie ma właściwie nic tańszego niż ludzkie życie. Samobójcze zamachy ochotników pragnących wysadzać się w powietrze tak, ażeby współzabić możliwie wielu innych ludzi, omawiają media jako zajścia właściwie tak spospolitowane, że

bez komentarzy podaje się tylko liczby ofiar. Mniej więcej z takim samym przyzwyczajeniem, a nawet obojętnością, z jaką nauka prawi o ilości ginących z każdym dniem żywych gatunków, wypieranych przez rozpuchłą cywilizację naszą ze swych nisz ekologicznych.

Na tym tle, przynajmniej dla mnie, szyderczo raczej brzmią porównania koszarów ludobójczych z tak zwaną aborcją, a nawet z antykoncepcją. Jest zupełnie pewne, iż zapłodnione jajeczka ludzkie, czyli zygoty, po to ażeby ruszyć embrionalną drogą rozwojową, muszą osiedlić się na wewnętrznej powierzchni kobiecej macicy, a jednocześnie wiemy, że czterdzieści procent zygot opuszcza organizm kobiety nie wskutek jakiegokolwiek ingerencji, lecz w toku typowych i normalnych skutków kopulacji.

Tak zatem samobójstwo jako broń masowego rażenia staje się czymś niemal normalnym, zwłaszcza pod osłoną wyselekcjonowanych nakazów religijnych. To, co się dzieje, co zdawałoby się, że powinno wołać o pomstę do nieba, staje się banałem naszej codzienności. Mam chwilami wrażenie, że wysokie kultury wyhodowane na glebie monoteizmów podlegają równocześnie zupełnej zapaści i — niejako oksymoronicznie — zupełnemu oderwaniu od naszej rzeczywistości. Słychać jeszcze pojedyncze biadania nad upadkiem wysokiej kultury, nad miażdżonymi prawami ludzkimi, ale są to w gruncie rzeczy głosy całkowicie bezsilne i wyzbyte w realnym świecie konsekwencji, zdawałoby się, koniecznych.

Niejednokrotnie bywałem w późniejszej fazie mojego pisarstwa oskarżany o czarnowidztwo, nigdy jednak nie sądziłem, że będą mi się na usta cisnąć słowa: ludzkość jest olbrzymim stadem bezustannie rozmnażających się łysych małąp, zaopatrzonych w brzytwy wynalezione przez ich bystrzejszych krewnych. Już nie z jednego zapieczętowanego gąsiora wybucha demon, ale jeśli trzymać się metafory z bajki Szeherazady, naczynia zawierające śmierć są już w niesamowitych ilościach rozmieszczone na ogromnych obszarach kuli ziemskiej. Ponieważ o tych wszystkich zgrozach, trzymanyh jeszcze na uwięzi, codziennie czytamy w gazetach, słyszymy w radiu, mówią o tym w telewizji, jak narkoza ogarnia nas obojętność. Tymczasem dobrze wiadomo, że raz wykrytych, wynalezionych, zabójczych mocy nie jesteśmy już w stanie ani trwale opanować, ani niejako unicestwić, ponieważ odkryć nie można zakrywać.

Żyjemy w kraju, w którym otuliną jest dla nas wszystkich chrześcijaństwo. Czytałem niedawno ostrożnie prowadzony dyskurs duchownych i ateistów, który mnie zaskoczył. Nie dlatego, że jedni wyznawali wiarę, inni zaś okazali się jej pozbawieni. Zdumiało mnie to, że dla wszystkich dyskutujących zdawała się istnieć tylko jedna jedyna konfesja, jedno wyznanie, albo też brak owej jedyności. Tymczasem działo się to, kiedy już mordercze uroszczenia rodem z obcego nam monoteizmu stawały się ciałem.

Kiedy wraz z redaktorem Tomaszem Fiałkowskim książkę naszą zatytułowaliśmy *Świat na krawędzi*, nie miałem pojęcia, jak ohydny i zabójczy znaczeniowy ładunek zostanie wtłoczony w ów tytuł i jak może stać się zapowiedzią godną zrównania z *mane, tekel, upharsin*. Co nie znaczy jednak, że zapowiedziałem w ten sposób, nawet niechcący, koniec świata, ponieważ agonia może trwać jeszcze długie wieki. Powiedziałem to jednak, mając na uwadze pytanie Norwida: „czy można śpiącego zbudzić grzecznie?”

2001

**Psychologia tłumu**

Dawno temu, bo jeszcze w roku 1895, uczony francuski Gustave Le Bon opublikował książkę pod tytułem *Psychologia tłumu*. Przedstawił w niej, bodajże po raz pierwszy, niezmiennie powtarzający się w historii fenomen swoistego roztopiania się poszczególnych indywidualności w ludzkiej masie. Ukazał na przykładach, zaczerpniętych zwłaszcza z rewolucji francuskiej, w jaki sposób powstają stadne zrywy zbiorowości ludzkiej, w jak niezwyklej mierze górują w nich emocje nad rozumem, jak bardzo nieuchronnie przekształca się dowolna prawie jednostka, bez względu na jej wykształcenie i pochodzenie, w atom zbiorowego ruchu, który może zarówno niszczyć, jak dążyć ku jakimś ideałom.

Le Bon przekonująco udowodnił jednak, na podstawie bogatego materiału faktograficznego, że uruchomione masy w zasadzie działają destrukcyjnie, niszcząco i gwałtownie. Typowe dla poszczególnych osobowości hamulce moralne roztopiają się niejako w burzy namiętności, która zdaje się całkowicie zwalniać człowieka z tłumu od osobistej odpowiedzialności za czyny, ponieważ staje się on tylko anonimowym elementem.

Psycholog francuski zajął się też ukazaniem okoliczności, w jakich powstają, zdobywają szacunek, prestiż oraz sławę przywódcy mas. Podkreślał i ukazywał, że taki lider niejako sam sobie nadaje autorytet, zwracając się do potencjalnych zwolenników w sposób prosty i kategoryczny, apelując do ich oczekiwań i grając przede wszystkim na negatywnych emocjach słuchaczy. Przywódca taki nie argumentuje za pomocą rozumowania logicznego, nie ukazuje konkretnych dowodów przeciwko tym, których piętnuje, lecz głosi swoje orzeczenia oszczercze, brutalne, oczerniające, oświadcza, iż posiada konkretne dane, ujawniające przestępcze czynności przeciwników, ponadto zaś rzuca liczne hasła oraz obietnice, zapewniając, jak wspaniale nagrodzeni będą ci, którzy za nim pójdą.

Le Bon rozróżniał dwie kategorie przywódców mas. Po jednej stronie dostrzegał apostołów, natchnionych religijnie idealistów, wybitnych mówców; po drugiej natomiast postaci mniejszego kalibru, które posługują się retoryką arogancji, nieustannie wysiłonych powtórzeń, pomówień, oszczerstw, dzięki czemu mobilizują i kierują w pożądaną przez siebie stronę gniew albo zawiść tłuszczy. Przywódcy tego drugiego rodzaju są historycznie bardziej ułomni, niejako tymczasowi, ponieważ wielokrotnie zdarzało się w dziejach, że potrafili równie szybko zdobyć prestiż i zaufanie, jak potem je utracić, aby zniknąć z politycznej sceny.

Praca Le Bona była jedną z pierwszych prób ukazania roli, którą w pewnych okolicznościach odgrywają masy dochodzące do władzy. Władzę tłumu nazywamy i dzisiaj ochłokracją. Może ona w sposób paradoksalny, lecz prawdziwy zmierzać ku krótko triumfującej wzniosłości, moralnie ponadprzeciętnej, jak i wyżywać się w morderczych szalach. W taki sposób masy ludzkie poruszają się w skrajni Pomędzy anarchią i zniewoleniem. Francuski psycholog twierdził, że łagodnych, dobrze im życzących władców masy lekceważą, mając ich za słabych. Natomiast łatwo padają łupem tyranów, którym długo pozostają wierne i wnoszą pomniki chwały.

Kiedy streszczam, bardzo lakonicznie zresztą, pracę Le Bona, którą nabyłem w niemieckim tłumaczeniu, nie mogę pominąć wstępu, napisanego przez profesora Walthera Moedego. Uczony ów dłuższe wywody na temat dezaktualizacji *Psychologii tłumu* zamknął akapitem, w którym zapewnił, że pesymistyczne mniemanie Le Bona o słabości i zmienności

drzemiącej w masach zostało ostatecznie obalone. Przekreśliła je nowa epoka w historii Niemiec, stanowiąca najpotężniejszy dowód, iż istnieć może masowy ruch powołujący naród pełen najwyższych wartości, na którego czele staje odpowiedzialny za swoją historyczną misję Führer, uosabiający niezmiennie moce rasy, krwi i ojczystej ziemi. Nie sądzę, ażeby była przypadkowa data, jaką autor tej przedmowy umieścił pod swoim tekstem, a mianowicie lato trzydziestego ósmego roku w Berlinie.

Zachwyty nad promienną przyszłością, ku jakiej Führer prowadzi Niemcy, stanowią prawdziwy wzorec czarnego humoru, ponieważ przedmówca książkę o gotowej się ujawnić nikczemności mas ludzkich skrytykował na przedprożu katastrofy, w jaką Trzecia Rzesza Hitlera obróciła Europę i część Eurazji.

Nie wiem, czy warto dodawać, że książka Le Bona pozostała aktualna i że ukazany w niej przywódca prymitywizm, który umie rozpalić czczymi słowami ludzkie nadzieje, nadal może odegrać niepoślednią rolę, sprowadzając całe narody na manowce.

2002

## Wobec żywiołów

Ostatnią moją książkę zatytułowałem *Okamgnienie*. Tytuł *Ryzykowne koncepty*, pod jakim pojawiła się w języku niemieckim, świadczy o niezrozumieniu idei, która przyświecała polskiej edycji, ponieważ szło mi przede wszystkim o zadziwiającą krótkotrwałość ziemskiej cywilizacji. Jeśli liczyć ją od epoki kamiennej, a zatem uznać jej trwanie za ponadtysiącwiokowe, całe owe dzieje, które nam się wydają otchłanią, są na zegarze czasu geologicznego właśnie ułamkiem sekundy.

Mówię to w kontekście ogromnej powodzi, która nawiedziła Czechy, Austrię oraz Niemcy. Pragnąłbym spojrzeć jednak na ów przybór wód z perspektywy geologicznej. Część odpowiedzialności za ocieplenie ziemskiego klimatu i spowodowane nim zawirowania atmosferyczne ponosi człowiek, którego technologia wyrzuca swoje odchody w postaci gazów cieplarnianych w atmosferę. Jednak patrząc z milioletniej perspektywy na ziemskie sprawy, musimy uznać, że katastrofy żywiołowe nawiedzały Ziemię wielokrotnie od jej powstania. Tylko przypadkowy zbieg okoliczności sprawił, że w skali żywota ludzkiego i ludzkiego gatunku historia Ziemi wydaje się prawie stateczna i nieruchoma. Tymczasem planetę naszą nawiedzały, oprócz znanych nam dobrze epok lodowcowych, udary kosmicznych meteorów, jako też okresy gwałtownie spotęgowanych wulkanizmów i sejsmizmów, my zaś nie zdajemy sobie na ogół sprawy z burzliwej przeszłości naszej planetarnej ojczyzny.

Jeżeli jednak wziąć pod uwagę tylko ostatni etap ziemskich dziejów, zwany holocenem, dostrzeżemy czynniki, które skutecznie łagodziły ataki żywiołów. Siedemdziesiąt procent powierzchni planety zalewają oceany, których parowanie nasila się przy wzmożonym ogrzewaniu, czy to powietrznym, czy wulkanicznym, ruchy mas powietrza nad nimi zaś, w ostatnich stuleciach dosyć stabilne, ulegają teraz silnym zaburzeniom. Lasy, pokrywające zielonym kożuchem kontynenty, zawsze chłonęły duże ilości wód opadowych, lecz nasza cywilizacja je wytrzebiła. Zarazem przyrosty społeczeństw ludzkich poczęły w swej masie przypominać szarańczę. Rzecz w tym, że owady te, wyroiwszy się miliardowo, pustoszą zielone

obszary i od swego nadmiaru giną. Ludzie zaś, którzy dawniej wycofywali się z obszarów zalewowych, obecnie czynić tego nie mogą.

Chociaż więc godzi się współczuć naszym czeskim i niemieckim sąsiadom, należy zarazem sobie uświadomić, że nie tylko działaniem technicznym, ale i samym rozrodem człowiek rzucił wyzwanie Przyrodzie, czyli wspomógł rozpętanie żywiołów. Wszystkie większe miasta, zwłaszcza w Europie, rozbudowały się wokół rzek. Brak wolnych terenów zalewowych skłonił do wielkich regulacji i budowy zbiorników retencyjnych. Lecz oto rekordowy stan wód na Łabie drezdeńskiej z 1884 roku, wynoszący osiem metrów czterdzieści cztery centymetry, został przekroczony o ponad metr.

Ujawniło się zjawisko, niechętnie przyjmowane do wiadomości, że razem z naszymi tamami, energią atomową, satelitami, najcięższym sprzętem naziemnym możemy się stać igraszką żywiołów, jakim nie potrafimy sprostać. Zarówno klęski, które trapią w ostatnich latach Amerykę północną, jak powódzie europejskie i azjatyckie stanowią skutki gwałtownych i nagłych zmian w wielkich obszarach ruchu atmosfery, którym nie umiemy się przeciwstawić. Każdorazowy wzrost poziomów wód kolejnej powodzi, wydający się skutkiem zbiegu przypadków, w istocie świadczy o tym, że całej biosferze, a zwłaszcza atmosferze zadajemy ciosy, które potęgują uszkodzenia jej dawniejszej homeostazy.

W chwili kiedy piszę te słowa, w Niemczech i w Austrii pięć milionów ludzi zmaga się z przyborem wód, wznosząc wały z ręcznie przynoszonych worków z piaskiem. Doraźność rozpaczliwego wysiłku milionów, pozbawianych całości mienia wraz z domami, zawisa tym bardziej w niepewności, że uczeni i synoptycy zmuszeni są otwarcie przyznać, iż wszystkie miary prognostyczne, jakimi się posługiwali, uległy już unieważnieniu przez nowy etap klęsk. Przewidywanie zmian pogody, zwłaszcza nagłych i globalnych, stało się coraz trudniejsze i przekracza możliwości meteorologicznych komputerowych symulacji.

Trend wzmożonego rozwichrzenia i spotęgowanych zawirowań atmosferycznych jest taki, że coraz trudniej liczyć na powrót minionych spokojnych czasów. Niestety, wszystko wskazuje na to, że wpływ samych technologicznych wyziewów na klimat jest dosyć skromny. Amerykanie mają więc dużo racji, nie chcąc zgodzić się na drastyczne ograniczenia emisji gazów, powodujących jakoby efekt cieplarniany.

2002

## Niedobre wieści

Nie wiem dlaczego, ale jestem z reguły zwiastunem raczej niedobrych wieści.

I tym razem będzie podobnie: zrobiły bowiem na mnie wrażenie dwa artykuły, które przeczytałem w listopadowo—grudniowym numerze „Foreign Affairs”.

Pierwszy dotyczy sposobu, w jaki szerzy się zaraza wirusowa AIDS, i prognoz stawianych w tej kwestii przez instytucję poważną — mianowicie Światową Organizację Zdrowia. Wedle tych prognoz, w pierwszej ćwiartce nowego stulecia szczególnie dotkliwie uderzone być mają kraje Azji, do których zaliczono tutaj i Rosję. Osobno potraktowano kraje najbardziej populacyjnie zagęszczone, przede wszystkim Indie i Chiny.

Sytuacja w Chinach jest niedobra, liczą one jednak ponad miliard trzysta milionów mieszkańców, więc jeśli nawet śmiertelność związana z AIDS wzrosła czterokrotnie, a proces pandemii rozszerzał się w tempie wykładniczym, to w skali liczb absolutnych będzie to ułamek procentu. Spowolni wzrost ludności Chin, ale go nie zredukuje. W przypadku Chin istnieje natomiast problem poboczny: około stu milionów Chińczyków płci męskiej nie ma żadnej szansy na uzyskanie potomstwa *legitime nati*, a nierównowaga ta wynika ze strasznego chińskiego obyczaju trzebieńia dzieci płci żeńskiej.

W Indiach sytuacja także nie wygląda różowo, ale najgorzej jest w Rosji, która ma nie tylko ujemną dzietność, ale i gwałtownie wzrastającą śmiertelność — dopuszcza się możliwość redukcji przeciętnej długości życia mężczyzn do pięćdziesięciu lat. Według przewidywań na rok 2025, Rosja liczyć będzie wtedy niecałe 140 milionów mieszkańców: ludnościowo po prostu się zapada.

Drugą część tego artykułu poświęcono nie tyle nieszczęściom związanym ze strasznym stanem zdrowotnym Chin, Indii i Rosji, ile ich reperkusjom dla światowej gospodarki i ekonomii. Reperkusje mają być znaczne, we wszystkich tych krajach bowiem, a najbardziej w Rosji, uderzona zostaje przez wirusa HIV siła robocza, przede wszystkim mężczyźni w wieku, w którym się pracuje najwydajniej. Do tej pory Rosjanie słabo radzą sobie z niebezpieczeństwem AIDS. Na przeciwdziałanie wydają rocznie około sześciu milionów dolarów; w Ameryce suma ta sięga siedmiu miliardów, dlatego w Stanach Zjednoczonych, a także w Europie Zachodniej pandemia jest skutecznie hamowana.

Kiedy w początku lat osiemdziesiątych byłem tak zwanym *visiting fellow* w zachodniobermlińskim Institute for Advanced Studies, poznałem tam doktora Michaela Kocha, Niemca z urodzenia, mieszkającego w Szwecji. Zawdzięczałem mu najświeższe materiały na temat pandemii AIDS i prognozy jej rozwoju, którym mało kto wtedy dawał wiarę, bo dopuszczały możliwość kilkudziesięciu milionów zgonów w roku 2000. Byłem czarnowidzem, na podstawie bowiem otrzymanych ówczesnie danych powziąłem przekonanie, że w przypadku wirusa HIV nie ma mowy o wytworzeniu szczepionki takiej jak antygrypową, ze względu na jego specyficzną labilność w krwi jednego człowieka „seropozytywnego” może być do stu rozmaitych odmian tego samego wirusa. Trudno wyobrazić sobie szczepionkę, która zdołałaby wykazać taką nadążność i taką elastyczność, aby zahamować każdą z tych odmian. HIV w nadzwyczajnie piekielny sposób potrafi nawet upodabniać się do naturalnych członów łańcucha kwasów dezoksyrybonukleinowych.

Ileż to już razy słyszałem okrzyki optymistów, że zaraz znajdzie się lek, który radykalnie przetrnie epidemię. Skończyło się jak do tej pory — a mija dwadzieścia lat — na tak zwanych koktajlach: trzeba zażywać bardzo wiele leków naraz. Każdy z nich, jak to zwykle z lekami bywa, ma jakieś negatywne uboczne działanie, ale najgorszy jest koszt. Na jednego człowieka wynosi on w skali rocznej 16 tysięcy dolarów, co wyklucza stosowanie tej terapii w krajach ubogich, na przykład afrykańskich, gdzie ludzie utrzymują się z dochodów rzędu dwóch do pięciu dolarów dziennie. Istnieją mieszanki leków słabiej działające, które nie tyle powstrzymują, ile spowalniają rozwój wirusa — ale i one kosztują około sześciuset dolarów rocznie; poniżej tej kwoty nie sposób już zejść.

Jeśli zaś chodzi o sposoby zarażenia, to droga seksualna nie jest dziś wcale główna: na pierwszym miejscu znajduje się masowe branie narkotyków i wspólne igły. Potem dopiero idą



kontakty homo— i heteroseksualne, no i ogólnie niska stopa higieny, także szpitalnej, w krajach ubogich—O dokładne i wiarygodne statystyki trudno z dwóch powodów: w krajach, które były, albo nadal są, jak Chiny, pod reżimem komunistycznym, władze skłonne były wszelkie informacje związane z szerzeniem się AIDS zatajać i zamiatać pod dywan, jako szkodzące ich wizerunkowi, natomiast w krajach takich jak Indie (które zresztą już dogoniły populacyjnie Chiny) panuje po prostu daleko posunięty chaos i straszliwe rozwarstwienie społeczne. W Rosji ciężkie wieko totalitaryzmu i sowiecki pseudopurytanizm sprawiały, że rozchodzenie się fali zarażeń było mniejsze; sytuacja znacznie się pogorszyła w czasach, kiedy Rosjanie w mikroskopijnym chociaż stopniu zakosztowali wolności, także i narkotycznej.

Wnioski są takie, że właściwie nie wiadomo, co będzie, ale na pewno nic dobrego. Gospodarczo—ekonomiczne, ale i polityczne skutki pandemii w pierwszej ćwiartce naszego nowego stulecia są właściwie nie do ogarnięcia. Można nawet obawiać się jakichś miejscowych zapaści; nie ma wprawdzie wyraźnej krytycznej linii prognozy, powyżej którego następuje załamanie, ale rosnąca ciągle liczba chorych zaczyna przytłaczać wątle w krajach Trzeciego Świata służby zdrowia i pośrednio wpływa na ogólny stan ekonomiki.

Pandemia AIDS jest to rodzaj globalnego nieszczęścia, ponurej składowej globalizacji. Reakcje zaś społeczne, zwłaszcza w masowych mediach, o tyle się zmieniły, że wszyscy się przyzwyczaili. Troszeczkę tak, jak — strach powiedzieć — z zamachami terrorystycznymi w Izraelu. Kiedy pierwsi terroryści—samobójcy wysadzali się w powietrze w autobusie razem z tłumem pasażerów, wywoływało to powszechny szok. Dziś podobne doniesienia wszyscy traktują jako rzecz niemal naturalną. Co gorsza, nie wierzę, by nastał już koniec wszelkich możliwych klęsk w zakresie zdrowotnym i by HIV był ostatnim takim groźnym wirusem. Nie jest to sprawa, która może nie zakłócać umysłów patrzących w dal historii ludzkiej, tylko dlatego że osobiście nie znajdujemy się w bezpośrednim kręgu rażenia.

Drugi z artykułów, które ostatnio przeczytałem, dotyczył zespołu uczonych szukających przejścia od ery kopalnych źródeł energii, takich jak nafta, ropa czy węgiel, do ery następnej. Dość szydliwie potraktowano tam rozdmuchane optymistyczne nadzieje Niemców, ale i Szwedów, którzy już sądzili, że będzie można wyłączyć wszystkie elektrownie atomowe, bo problem rozwiążą wiatropędnie, energia słoneczna i tak zwana biomasa. Mniej więcej wtedy, kiedy czytałem ten artykuł, media pokazywały, niby memento, zdjęcia przewróconej kilkudziesięciopiętrowej wiatropędni—kolosa w północnych Niemczech. Gigantyczny słup, wsparty na płycie żelbetonowej liczącej kilkanaście metrów średnicy, zwalony został jednym potężnym uderzeniem huraganu. Liczyć na zaspokojenie zapotrzebowania na energię środkami paliatywnymi i doraźnymi nie bardzo można. A na przeszkodzie stoją, jak zwykle, przede wszystkim koszty.

Wracając zaś do AIDS, to generalny trend cywilizacyjny wydaje się taki: zubożenie na jednostkową śmierć ludzką, bo jest nas bardzo wiele, spadek wrażliwości społecznej na tragiczne zjawiska w skali światowej i odwrócenie się plecami do tych krajów, w których raźliwość i śmiertelność klęsk jest największa. Mnie to dosyć zasmuca, bo jestem z tych wariatów, którzy patrzą poza granice osobistego żywota. A nowy wiek, który tak się ładnie zaczął — wolną Polską i tak dalej — nie wydaje się przynosić poprawy.

## Kulą w płot

### Trafione prognozy

1. Chyba już czas na zbilansowanie tego, czego zdołałem dokonać — nie w obszarze fikcji niby–naukowej, lecz głównie w zakresie prognostyczno–poznawczym. Celność przepowiedni nie dostarcza zresztą przepustki na Parnas. I w estetycznie kiepskim opakowaniu może się kryć twarda pestka przyszłej innowacji, która świat odmieni. A zatem powiem tylko kilka słów o tym, co mi się udało przepowiedzieć.

2. Zachowywałem się jak samotny wędrowiec, który stojąc na skraju nieznanego kontynentu, stara się rozpoznać przyszłe trakty komunikacyjne, możliwość udrożnienia pustyń i bezdroży, a więc już projektuje główne kierunki dla strategii zawłaszczania ogromnego bezludzia aż po horyzont. W moim przypadku był to horyzont pojęciowy. Myśl rzucona w przyszłość jest jak wzrok zwrócony w dal: może dostrzec zamglone, niezrozumiałe kształty, nie wiadomo, czy skał i gór, czy tylko niskich obłoków. Ta raczej kulawa Metafora wyjawia, że łatwiej jest rozpoznać niewyraźne kontury jakichś wielkich całości, aniżeli ostro rozróżnić szczegóły urzeźbienia odległego terenu. Klęski futurologii raty się stąd, że usiłowała dostarczyć dokładnych scenariuszy *temporis futuri*, niejako detalicznym sposobem: twierdziła, że w polityce zająć może to i to, że odkrycie dziś niewiadomego nastąpi pojutrze. Właściwie tylko odruchowo czując, że przepowiedzieć wielkich czy małych zwarć politycznych się nie da, nie tykałem realnej polityki (w końcu; i dlatego, ponieważ pisałem, chcąc w sprzyjających okolicznościach wymknąć się bacności cenzorów realnego socjalizmu). Herman Kahn, tak jak dzisiaj Huntington czy Fukuyama, to są niejako funkcyjni szperacze, próbujący wysondować przyszłość tak, jakby musieli wyrysować ją na czarnej powierzchni globusa, jaki znajdował się — czarna, gładka kula — w gabinecie geograficznym mojego lwowskiego gimnazjum. Wszelako im bardziej uszczegółowiona prognoza, tym łatwiej podatna na bezapelacyjną falsyfikację. Któż czyta dziś grube tomy Kahna? A przecież ustalił on „wszystko” na dwieście lat naprzód, choć zapaści Sowietów nie wziął pod uwagę.

3. Każdy producent prognoz jest samozwańcem, a jeśli czytany i cytowany na katedrach, okazuje się zawodowcem także wówczas, gdy się całkowicie myli. Ja natomiast byłem tylko amatorem, turystą przyszłego czasu, przepowiadałem zajęty bajaniem, nie budowałem wieży Babel, najwyżej posadowiłem swoje wymyślane doraźnie biwaki na gruncie podstawowych nauk, w rodzaju astrofizyki. A ponieważ często obierałem formę i treść groteski, niejako mimowolnie broniłem moich prowizorek przed samoosmieszeniem. Nie kreśliłem „będziejów”, lecz tylko rozmaite modele prezentowałem tego, co możliwe (podług mojego uznania), chociaż wyglądać to mogło zabawnie lub utopijnie.

4. Roboty politologów, ekspertów od zaprowadzania pokoju (głównie na papierze), traktowałem jak horoskopy astrologów: wymijałem je. Zagłębiałem się natomiast, podług pow-

stających możliwości, w wynikach nauk ścisłych, co zresztą stało się nawykiem i zmorą też obecnie. Nie ekstrapolowałem: zawsze powtarzałem, że mleko nie jest żadną „ekstrapolacją” krowiego przeżuwania trawy, chociaż bez trawy nie byłoby i mleka. Zresztą nie wiem sam, skąd brały mi się rozmaite pomysły i domysły. Wyliczę tu dość przypadkowo te, którymi uzyskiwałem pierwszeństwo, dumnie zwane prekursorstwem.

5. Rozumiałem, że wskutek impetu, jakiego nabrała, w drugiej zwłaszcza połowie XX wieku, nauka, my, jako ostatnie relikty nieucywilizowanej Natury, zostaniemy poddani technoinwazji. Czyli powstanie biotechnologia. Dlatego zakończyłem moją *Summę technologiae* stwierdzeniem, że nasze języki stwarzają FILOZOFIE, natomiast biologiczny język genów stwarza FILOZOFÓW, a zatem warto go się nauczyć, choć tak trudny. Jakoż zaczęliśmy się uczyć tego języka, zrazu jako inżynierii genowej, która wtargnęła w świat roślin uprawnych i zwierząt, aby wreszcie dotrzeć do sfery reprodukcji pozaseksualnej, nazwanej klonowaniem. W USA już orzeczono, że sposób reprodukcji, prowadzący do powstania także ludzi, jest sprawą ustaloną raz na zawsze w konstytucji, mianowicie oddaną ludziom w rozporządzenie prywatne, więc polityce wstęp jest na ów teren zabroniony. Ponieważ kiedy o klonacji pisałem, nie było jej ani śladu, hulałem bezkarnie (dotyczy to zwłaszcza *XXI podróży Ijona Tichego*). Myślę, że *homo artefactus* również powstanie, niezależnie od tego, czy się to mogło podobać, czy nie. Pisarstwo nie polega na wybieraniu — głowy i ze świata wyłącznie spraw zacnych i pocziwych. Tak więc biotechniczny zwrot uznałem za pewny i tematykę tę rozorałem, jak mogłem.

6. Zdarzało się, że publikowałem pod hasłem licencji poetyckiej pomysły, jakich sam nie wzięłbym na serio. W *XVIII podróży Ijona Tichego* zrobiłem zuchwale szalony' zamach na Wszechświat. Mój bohater, uczony, niejaki Raz—głaz (spolszczony Einstein), orzekł, że Kosmos jest jedynie fluktuacją nicości, taką, jakiej dopuszczają się wirtualne cząstki czy mezony, ale ponieważ jest on bardzo wielki, to i bardzo wielka musi być fluktuacja, co go zrodziła. Mineło kilka dziesiątków lat i oto już u kosmologów można wyczytać, że skoro materia i energia Kosmosu dodane do siebie dają ZERO, to tym samym Kosmos mógłby się w każdej chwili zapaść w niebyt, z jakiego wychynał. A zatem Kosmos istnieje na KREDYT i może nie ma (topologicznie mówiąc) żadnej krawędzi: BIG BANG to byłoby jedynie przejściowe wyobrażenie. Wszechświat byłby zatem jednym potwornym ZADŁUŻENIEM, nielegalną pożyczką bez pokrycia. Zresztą obecnie bój kosmologicznych hipotez wciąż toczy się, i jak to naprawdę z kosmogonią było, być może empirycznymi metodami nie sprawdzimy i nie dowiemy się nigdy. Chyba że uda się osiąść technologię kosmoprodukcji: jeżeli inny mój bohater (profesor Dońda) napisze zamierzone dzieło pt. *Inquiry into the Technology of Cosmoproduction*. W tej opowieści wskutek superkoncentracji informacji powstaje „kosmosiątko”. Kroci to na już zupełny absurd, ale Hawking wprowadził do fizyki kwantowymi drzwiami termin *baby uninerses*, dziecięcych wszechświatów. Znaczy to — by rzecz najogólniej — że przestwór możliwych do wymyślenia rozmaitych konstruktor jest dla wszystkich głów ludzkich ograniczony (a mimo to istnieje matematyczna teoria mnogości, z jej nieskończonościami i pozaskończonościami, trochę, niestety, robaczywa paradoksami) — więc się niezależnie od siebie powtarzamy.

7. Zmieniło się także sporo w teorii ewolucji. Po pierwsze, opowiedziane w mojej powieści *Niezwyknięty* zjawisko martwej ewolucji automatów, w której maleństwa pokonują ród megarobotów, znalazło już przyczółek w rzeczywistości jako tak zwany chip Darwina, ziarenko nekroewolucji, o jakim czytałem w jednym z ostatnich numerów „New Scientist”. Także rehabilitacji doczekała się teleportacja, którą brałem na logiczne męki w pierwszym rozdziale moich *Dialogów*, napisanych w latach 1953–1954, a wydanych za odwilży w pięćdziesiątym szóstym. Nadziwić się nie mogłem, że w kraju nikt na ten temat nawet nie pisał: dopiero obecnie, niezależnie ode mnie, piszą o paradoksach a t o m o w e j r e k r e a c j i w Anglii i w Niemczech. Mój *Golem XIV* nazwał ewolucję naturalną „błądzącym błędem”, jako że gdyby nie pojawiały się niedokładności w replikacjach dziedzicznych, toby na Ziemi nic, oprócz jakichś ameb, nie żyło, a tak z błędów urosły żaby (ostatnio powszechnie giną), drzewa, żyrafy, słonie, małpy i wreszcie my sami. Ewolucję nazywa się dzisiaj (to powiadają czołowi ewolucjoniści amerykańscy, jak Stephen Jay Gould czy Brian Goodwin) „tańcem genów”, który wcale nie jest procesem coraz bardziej postępowym. O tym znów napisałem kiedyś esej pt. *Biologia i wartości*, lecz i o nim krajowy pies 2 kulawą nogą się nie odezwał.

8. Za to o tym, że moja fantomatyka, opisana dokładnie przed trzydziestu sześciu laty w *Summa technologiae*, jest teraz znana jako wirtualna rzeczywistość, niektórzy krajowcy już się dowiedzieli, natomiast za granicą mowa o tym tylko tam, gdzie *Summa* została przełożona (zaetykietowany na skromnym etacie science fiction, nie mogłem liczyć na wydanie tej książki w USA, gdyż nie była to żadna SF, więc ewentualna percepcja tego tytułu ograniczyła się do niektórych krajów Europy). Dziwne mi zresztą, że ta książka do dzisiejszego dnia żyje, tj. mówi do czytelnika o tym, co jest i co może będzie. Niepotrzebnie chyba wykpił ją Leszek Kołakowski w „Twórczości” w 1964 roku.

9. O informacji używanej jako broń też pisałem, w relacji *Drugiego odmrożenca w Edukacji Cyfrania*. Toczyła się tam „wojna na informację, bez broni palnej czy nuklearnej, tylko bombardowano się informatycznie («kłamarnicami»”).

10. Również zabłysła pod nazwą „inteligencji rozproszonej” — w mrowiskach i w termitierach mianowicie — insektopodobna „nekrosfera”, zwana pospolicie „czarną chmurą” w *Niezwykniętym*.

11. Dwa są obecnie kierunki głównego uderzenia w naukach ścisłych: w biologii jest to atak na „recombinant DNA”, na spirale nukleotydów, czyli „wypowiedzi” tego chemicznego języka molekularnego, szturm na jego moc sprawczą, która i nas odtwarza w kolejnych generacjach, ostatnio zaś rozpoczęła się era „transgenowych skoków”, która ma prędzej czy później dotrzeć do terapeutycznej, rekompozycyjnej, wreszcie neokompozycyjnej autoewolucji człowieka. O jej możliwych użyciach i nadużyciach, o miłym złego początku i fatalnym końcu pisałem, kiedy cała owa dziedzina była wyłączną fluktuacją mojej wyobraźni, w *XXI podróży Ijona Tichego*. Nie przypuszczając ani przez chwilę, że genowy, wspaniały świat otworzy swoje podwoje za mego życia jeszcze i ukaże autentyczne otchłanie, w które można

wprowadzać odmieniane podług naszego zachcenia życie, pisałem złośliwie, swobodnie, kpiąco, a więc tak, jak bym się chyba dziś, w epoce pierwszych spełnień, nie odważył.

12. Drugie uderzenie hipotezotwórcze zostało przez fizyków i kosmologów skierowane we Wszechświat. Ostatnie lata obrodziły wzajem zwalczającymi się hipotezami (których, poza modelarskimi symulacjami komputerowymi, sprawdzać nie można inaczej jak przez interpretacje i reinterpretacje rzeczywistości mega- i mikroświata); wyłania się z tej szamotaniny obraz kwantowego Kosmosu, który wychynął z Niebytu, o czym, ale tylko na prawach drwiącego z zakusów rozumu, dawno temu pisałem.

13. Ta największa z możliwych rzecz, jaką jest Kosmos, poczęła nam ostatnio w domnianiach astrofizyków zagrażać zderzeniem z meteorem, asteroidą lub kometa, w apokaliptycznej katastrofie, której stalibyśmy się razem z całą cywilizacją ofiarami, a nie tylko bezpiecznymi gapiami, jak w kinie i telewizji. Przyglądać się całopaleniom, tonięciom, huraganowym kataklizmom, które zdarzają się 1 pochłaniają innych, publiczność widać lubi, skoro największe wytwórnie filmowe nie szczędzą milionów na tak rozpasane widowiska. Ale ja nie przestaję się brzydzić potwornościami, które z takim zafascynowaniem pochłaniają widzowie, napelniając przy okazji właściwe kasy. Nie gustuję w podobnych igrzyskach, toteż trudno byłoby u mnie ulubionych przez science fiction „strasznych końców świata poszukiwać. Nie mam może złudzeń, ale też brak mi pociągu do panoramy druzgocących wszystko kataklizmów zalewających lądy grzywami ognia i kilometrowymi falami przybojów wulkanicznych, chociaż wiem, że Ziemię — miliony lat przed pojawieniem się człowieka — bombardowały udary (wyniszczające do 90 procent organizmów żywych) idące ze ślepego, rozblyskującego supernowymi gwiazdami pobliza kosmicznego. Ten temat, tę strefę zagłady pomijałem i tym samym przemileczałem chociaż część materialnych napaści, na jakie naprawdę ludzkość jest zawsze wystawiona. Zresztą katastrofiści, wzajem licytujący się rozmiarami zniszczeń i grozy, obficie pozajmowali poczesne miejsca w fantastyce naukowej i mniej naukowej XX wieku.

14. Zasadniczo beletrystyka ogranicza swoje pole widzenia do jednostek lub względnie niewielkich grup ludzi w ich konfrontacji lub zgodzie z losem zadany wielką chwilą historyczną, natomiast wielkie odłamy dziejów, społeczne ruchy i walki bywają przede wszystkim tłem. Ja, który poznałem naprzemienność i kruchość kolejno po sobie następujących społecznych formacji (od ubogiej Polski przedwojennej, poprzez fazy okupacji sowieckiej, niemieckiej i znowu sowieckiej, po PRL i jej wyjście spod sowieckiego protektoratu), drażnienie osobniczej psychologii zlekceważyłem i starałem się koncentrować raczej na tym, co jako *technologicus genius temporis* urabia, czy też zawłaszcza ludzkie losy. Wiem, że wskutek tej (zresztą bezświadomie powziętej) decyzji odstrychnąłem się na tyle daleko od humanistycznej jednorodności literatury, że mi powstały hybrydyczne krzyżówki owocujące płodami nie mającymi wyłącznego obywatelstwa w beletrystyce, ponieważ malowane dzieje wydałem na męki okrutne nieustannego postępu. Pisywałem również zakalce, których wybuchowe nadzienie może eksplodować w przyszłości: jak mina z czasowym zapalnikiem. Zresztą mogę tylko powiedzieć: *Feci, quod potui, faciant meliora potentes.*

## Następne dwieście lat

Ciekawą, aczkolwiek, o ile wiem, nie uprawianą dziedziną byłyby komparatystyka intencjonalnie fantastycznych utworów (SF) z tekstami pretendującymi do przewidywania przyszłości. Dość często zmienia się do tego stopnia bieg dziejów, że fantazje krzepną w rzeczywistość, i odwrotnie: to, co miało opisać przyszłą rzeczywistość, obraca się w fantazję. *The Next 200 Years* Hermana Kahna, książka wydana w 1976 roku, urodzona zaś z pomocą położników pracujących w Hudson Institute, którą przeglądałem ostatnio, jest jednym z okazów drażącego przyszłość pisarstwa, które, celując w nadchodzące wieki, utonęło w niefabularnym rodzaju fantasy fiction. Szczęśliwie nie mogłem w czasach PRL-u zapoznać się z tą pozycją, ponieważ sama liczebność ekspertów, którzy wspomagali autora, odebrałyby mi śmiałość wzięcia się do *Summy technologiae*, przy zupełnej nieobecności wybitnego grona doradców. Na tekst *The Next 200 Years* składają się liczne chybienia, jako prognozy, które się nie sprawdziły. Książka ta jednak oddychała i promieniowała prometejskim optymizmem, który zapewnił jej światową popularność i pokupność. Odbiera się ją teraz jak rodzaj dziwnego, przydługiego snu, w którym istnieje Związek Sowiecki, doganiający globalnym dochodem USA, wybornie ma się w niej Niemiecka Republika Demokratyczna, również pretendująca u Kahna do grona państw wcale potężnych; odkrywane są w tej książce liczne dokonania w najróżniejszych sferach życia, jak na przykład pewność skutecznego zastępowania wyczerpujących się kopalin nowymi materiałami, ale nie to jest głównym uchybem starej szkoły futurologicznej. O sieciach łączności, o plagiowaniu procesów życiowych, o klonowaniu, o nanotechnologii, o genomice, czyli inwazji inżynieryjnej w ustroje ludzi, NIE MA TAM ANI JEDNEGO SŁOWA. Nawiasem mówiąc, ja, który mam słabość do anegdot, dodam, że autor nazwanego tomu sporządził solidną projekcję przewidywań dla Francji, ale ponieważ Francuzi nie okazali się skorzy do jej nabycia, środek ciężkości swych zainteresowań przeniósł na Japonię. Wolno przypuszczać, że ilość trafień byłaby w obu przypadkach podobnie znikoma.

Nauka wypływająca ze znajomości całego szeregu tytułów napisanych przed ćwierćwieczem brzmiałaby mniej więcej tak, że prace ludzkości powszechnie trwałe, korzystne, a krótko mówiąc, wyborne dla ogółu, należy opiewać, natomiast wszystko, co mogłoby stać się zgrzytem w operowej harmonii przyszłego czasu, koniecznie należy omijać, albo przynajmniej wspominać półgębkiem gdzieś na uboczach tekstu, a zarazem proponować majaczące w przyszłości skuteczne odtrutki. Żywot pałających prometeuszowym blaskiem prognoz musi być krótki, ale dla autorów z reguły będzie dobrze opłacalny. Zresztą pozostaje faktem, dającym się odcedzić z dziejów cywilizacji, że właściwa jest oczekiwaniom ludzkim wręcz huśtawkowa skrajność. Dawniej ci, którzy delektowali się i raczyli swoich współczesnych porcjami grozy, używali innego słownictwa, ponieważ poruszali się w innej sferze tematycznej aniżeli eksperci straszący nas dzisiaj. Ostatnio na przykład modne się stało mnożenie domniemań przedstawiających koniec ziemskiego świata. Przerzut owego najbardziej nowoczesnego katastrofizmu już opanował amerykańską telewizję. O wizjach katastroficznych można rzec generalnie, że podobnie jak uczesanie i odzież, szczególnie damska, podlegają

modom. Jedni przewidywacze uważają, że światowy ocean zapadnie się pod ziemię, przez co wygubi nas susza. Inni, że gasnące słońce obróci się w czerwonego olbrzyma, który zagotuje wszystkie oceany, życie zaś spopieli. Ze względu na ocieplenie klimatu katastrofiści wczorajsi, mianowicie mniemający skromnie, że zamarzniemy w nadchodzącej epoce lodowcowej, zostali już z pierwszego szeregu głosicieli zagłady wyparci. Najnowszym ewenementem stały się zapowiedzi (nie chcę rzec, obietnice) zagłady porcjowanej, mianowicie wywołanej trafieniami meteorów, które zrobią z nami to, co osławiony bolid jurajski zrobił z dinozaurami. Wszystkie tego rodzaju śmiertcionośne, a nie tylko genocydalne okropieństwa nie są nam dostarczane jedynie gołosłownie, ponieważ wybuchy, zlodowacenia, kolizje planetarne, jednym słowem, wszechmożliwe obrazy kataklizmów niosących nam zagładę, można świetnie unaoczniać dzięki animacji komputerowej. Mord dotyczący pojedynczych osób jest już widać bodźcem zbyt słabym. Po obejrzeniu kilku tego rodzaju widowisk, które w antraktach są wspierane prezentacją uczonych, zapewniających widownię, że chodzi o realne, poważne możliwości, a nie bajanie, człowiek mimo woli zaczyna się dziwić, dlaczego nic jeszcze z niebios nie spadło ani w jego pobliżu, ani na jego głowę. Producenci takich znakomicie imitujących rzeczywiste odmiany katastrof najwyraźniej się rozmnażają. Co prawda znacznie bardziej prawdopodobne jest zderzenie pojazdów, trzęsienie ziemi, powódź, klęska głodu, czy wreszcie wojny, ale widocznie już takeśmy się otrzaskali z tradycyjnymi jeźdźcami Apokalipsy, że nowe potworności są u szczytu zapotrzebowania.

Tymi sposobami obraca się gwarantowane naukową powagą prognozy w baśnie, a równolegle wczorajsze bajania o utopijnym posmaku stają się naszą codziennością. Z wysoka patroluję tej futurologicznej karuzeli trzeźwiącym spostrzeżeniem, że przeważnie (choć nie zawsze) omijają nas zarówno technogenne raje, jak piekielne ciosy Natury. Z powiedzianego wniosek płynie taki, że należy być prekursorem ubezpieczającym się pomiarkowaniem i nie zanadto dobrze przewidującym przyszłość, ponieważ za dalekowzroczność płaci się za poznaniem, a za doraźne pokrzepianie serc znikomą trwałością prognoz.

2000

## Czy jesteśmy sami?

Wywołał mnie poniekąd do tablicy, choć w trybie żartu, Michał Komar w przedostatnim „Tygodniku”, pytając, dlaczego nie wierzę w istnienie trój nożnych zielonych ludzików. Do stałem też kilka zapytań listownych w tej sprawie. Tymczasem pewne moje osobiste intuicje, sformułowane, zanim jeszcze napisałem *Okamgnienie*, okazują się teraz nowym paradygmatem w dziedzinie dotyczącej częstotliwości pojawiania się życia w Kosmosie, a w szczególności losów życia na Ziemi.

Znalazłem w nowym numerze „American Scientist” omówienie dwóch książek, których tezy bliskie są moim. Peter D. Ward i Don Brownlee, autorzy pierwszej z nich, zatytułowanej *Why Complex Life is Uncommon in the Universe*, stwierdzają: niesamowicie długa jest lista warunków, które muszą zostać spełnione, ażeby na jakiejś planecie nie tylko powstało, ale i rozkwitło życie. Najpierw jest to sprawa usytuowania samej planety w ekosferze — my w niej

właśnie siedzimy, a już Mars znajduje się na samej granicy. Następnie — pisałem o tym — przydatna bywa w sąsiedztwie wielka planeta, coś w rodzaju odkurzacza, jak Jupiter, czyli Jowisz, który przechwytuje znaczną liczbę krążących w przestrzeni kosmicznej życiobójczych odłamów materii albo zmienia im szlaki, dzięki czemu nie trafiają w Ziemię. Bardzo ważne oczywiście jest umiejscowienie w stosownym punkcie spiralnej galaktyki, aby katastrofy kosmiczne w rodzaju wybuchu supernowych, ekstremalnie silna i twarda radiacja oraz gorąco nie przyniosły skutków fatalnych. Wszystkie te warunki musiały być nie tylko spełnione wstępnie, ale też trwać należycie długo, abyśmy uzyskali najzupełniej skądinąd fałszywe i wynikłe z krótkiej żywotności naszej cywilizacji wrażenie, że tak jak jest, będzie zawsze.

W Systemie Słonecznym jest wiele planet, ale tylko jedną, Ziemię, zamieszkują istoty żywe. Kiedy Ziemia powstawała z okręgu protoplanetarnego, Słońce dawało znacznie mniej energii radiacyjnej niż teraz; dopiero się rozgrzewało. Ale atmosfera ówczesna, życiu wprawdzie nie sprzyjająca, bo beztlenowa, nie była wcale zła jako pułapka ciepła; przypominało to w pewnym sensie dzisiejszy efekt szklarniowy czy też cieplarniany. Potem przyszła epoka, dość długotrwała, mniej więcej około pół miliarda lat, bardzo gwałtownego bombardowania nas szczątkami wspomnianego pierścienia protoplanetarnego. Na Ziemi ślady tego straszliwego bombardowania zostały zatarte dzięki procesom biologiczno–geologicznym, natomiast utrwaloną „fotografię” pierwotnego stanu powierzchni także i naszej planety możemy oglądać na Księżycu.

Jest kilka zagadek, których nie umiemy rozwiązać, wszelkie życie możliwe jest dzięki dwóm rodzajom związków organicznych: nukleotydów (to są pochodne kwasów nukleinowych), które, w liczbie czterech, zawiadują syntezami aminokwasów, czyli po prostu tworzą białka, oraz białkom właśnie. I tutaj pojawia się klasyczny problem jaja i kury: potrzebne były zarówno nukleotydy, jak i proteiny. Kiedy mamy wóz, potrzebne są i konie. Stara hipoteza Svante Arrheniusa, według której zarodniki życia przyniesione zostały z Kosmosu, niczego nam nie wyjaśnia, przypomina natomiast trochę metodę restauracyjną: to załatwi kolega. Skoro bowiem zakładamy, że w Kosmosie zasadniczo panuje jednorodność materialna, proces powstania tych zarodników tak czy inaczej musiałby być podobny. Popularna ostatnio koncepcja Gai jako jednego wielkiego organizmu wygląda mi na dosyć romantyczną idealizację.

Idźmy jednak dalej. Wiemy, że najpierw powstały trzy wielkie domeny taksonomiczne: bakterie, *Eucaryota* i *Archea*. Wiemy, że komórka eukariotyczna — zamknięta błoną, z jądrem — budowana była przez mniej więcej miliard lat. Skok od organizmów jednokomórkowych do wielokomórkowych wymaga wielu kolejnych stopni rozwojowych, niesłychanie trudnych, a właściwie niemożliwych do odtworzenia. Już Gibbs zauważył, że wsteczne odtwarzanie procesów stochastycznych i probabilistycznych, po których śladu nie zostało, stanowi domenę otwartą na wszelkie spekulacje. Można wysuwać rozmaite koncepcje i nie ma sposobu ani ich weryfikacji, ani częściowej choćby falsyfikacji. Najpewniejszym jednak dowodem tego, że ewolucja naprawdę się dokonała, jest istnienie nas samych i całego świata ożywionego.

Cytowani tu dwaj amerykańscy autorzy dokonują pewnego rodzaju salda czy podsumowania. Teraz już wiadomo — pisałem o tym także w *Okamgnieniu* — że prawie całkowite obrócenie kuli ziemskiej w jedną olbrzymią zlodowaciałą planetę odbyło się 2,4 miliarda lat



temu. Ziemia znalazła się niesłychanie blisko granicy, poza którą stałaby się całkowicie zamrznięta i zbyt zimna dla jakichkolwiek postaci życia. Wtedy jednak, jak się dziś sądzi, po pierwsze wzmożła się insolacyjna energia słoneczna, po drugie przyszła epoka dosyć gwałtownej aktywności sejsmicznej. Nie wiadomo, czy kula ziemską miała takie samo nachylenie osi obrotu do ekliptyki jak teraz, czy nie — w każdym razie pancierz lodowy pękł z obu stron i zaczął się odsuwać w kierunku biegunów. Łądy ziemskie tworzyły wówczas jedną ogromną masę lądową; jedni nazywają ją Pangeą, inni inaczej, pojawia się sporo rozmaitych kontrowersji, jak to zwykle między specjalistami.

Potem życie po troszeczkę pełzało, aż do tak zwanej eksplozji kambryjskiej sześćset milionów lat temu. Nastąpiło wtedy tak korzystne ocieplenie i taka poprawa warunków, że powstać mogły w jakimś zdumiewającym zrywie wszystkie te rzędy, które trwają do dziś. Jednak fakt, że trzy miliardy lat musiały upłynąć od powstania życia, ażeby mogło ono przybrać postać wielokomórkowych organizmów, oznacza, że ukształtowanie życia zwierzęcego jest znacznie trudniejszym i — jeśli wolno tak powiedzieć — ambitniejszym problemem aniżeli pierwotne uformowanie życia nieanimalnego.

Freeman Dyson, mądry człowiek, i jego współpracownicy doszli do wniosku, że trzeba minimum trzystu genów, ażeby utworzyć najmniejszą drobinę życia. Są jednostki prostsze, mianowicie wirusy, ale trudno je nazwać żywymi, ponieważ nie mają żadnej przemiany materii. Wirus taki pod elektronowym mikroskopem wygląda jak stołek na trzech nogach, ma białkową otoczkę i swoją głową wnika do wnętrza bakterii. Wówczas jego zespół enzymatyczny zaczyna jakby przestawiać zwrotnice wewnętrznej przemiany materii bakterii w taki sposób, że odtąd wytwarza ona już tylko potomne wirusy, po czym następuje jej pęknięcie i setki wirusów wylatują na zewnątrz. Sądzono początkowo,

że skoro ów wirus jest nieożywiony, to porusza się wedle zasady ruchów Browna, jak martwy proszek wsypany do wody. Jednak nie — okazuje się, że bakteria wytwarza w trakcie swej przemiany materii wydaliny, powstaje więc wokół niej rodzaj pola o słabnącym natężeniu. Wirus urządzony jest czujnikowo w taki sposób, że zmierza ku bakterii, zaczyna jednak pracować dopiero w jej wnętrzu. Wirusy nie mogły poprzedzić powstania najprostszego życia komórkowego, ponieważ nie miałyby na kim pasożytować.

Znaczna różnica poglądów dotyczy tego, w jakiej mierze można nazwać przypadkową całą serię ciosów zadawanych nam z Kosmosu. Dwieście pięćdziesiąt milionów lat temu dokonał się genocyd tak zyciobójczy, że w jego rezultacie zginęło 90 procent wszystkich ówczesnych organizmów żywych. Życie jednak okazało się harde, odtworzyło się jego olbrzymie dorzecze, by z kolei przed sześćdziesięcioma milionami lat, co wiemy dobrze dzięki reżyserowi Spielbergowi i jego *Parkowi Jurajskiemu*, mogło się rozpocząć wymieranie dinozaurów. Dziś już przyjmuje się jako pewnik, że dinozaury, zanim jeszcze zaczęły latać, w pewnych formach okryte były pokrywą z piór, a dzisiejsi ich potomkowie to ptaki. To jednak wątek uboczny.

Ward i Brownlee zreformułowali jakby słynne równanie Paula Drake'a, które miało określić matematyczny potencjał prawdopodobieństwa powstawania życia inteligentnego; podkreślają nadzwyczajną wielość przeszkód stojących na drodze ku istotom o wyższej organizacji. Druga z odnotowanych w „*American Scientist*” książek (Iris Fry, *The Emergence of Life on Earth: A History and Scientific Overview*) zajmuje się przede wszystkim biologiczną stroną ewolucji. Nie spoglądamy już dziś na ewolucję jak na proces biegnący — może trochę

falistą linią — od tego, co najprostsze, do tego, co najbardziej skomplikowane, jak na przykład nasze mózgi. Uważamy raczej, że dokonywała się ona drogą kapryśnych i zmiennych zwrotów. Klóćą się przy tym tak zwani saltacjoniści z punktualistami. Wgłębiać się w to szczegółowiej nie ma sensu: mówiąc najkrócej, chodzi o to, czy zmiany pojawiają się skokowo czy też poprzez drobne, punktualistycznie gromadzące się kroczki.

Okrutny warunek ewolucji zobrazować można metaforą kolejową: wyobraźmy sobie, że ktoś ma drezynę przerobić w trakcie jazdy na lokomotywę, a przy tym nie wolno mu nigdzie stanąć i operacji dokonać musi w ruchu. Wszystkie pośrednie formy muszą być przecież także zdolne do życia, bo inaczej proces ewolucyjny zostanie przerwany. Stąd zresztą liczne ślepe uliczki ewolucji, o których mówi się z rozmaitym natężeniem entuzjazmu. Nam rozmaite Spielbergi wmówiły nadzwyczajną atrakcyjność dinozaurów, ale dałoby się znaleźć sporo innych przykładów.

*Homo neandertalensis sapiens* przez co najmniej trzydzieści tysięcy lat współżył z *Homo sapiens sapiens* i zupełnie nie wiadomo, dlaczego wyginął. Skrzyżować się z *Homo sapiens* nie skrzyżował, ponieważ różnice między nim a nami były większe aniżeli między osłem a koniem, a wiadomo, że z połączenia tych dwóch gatunków powstać może jedynie bezpłodny osłomuł. Równocześnie twierdzi się, że człowiek neandertalski w jakiś nieodtworzalny dla nas sposób wierzył już w życie pozagrobowe, wyposażał bowiem groby w produkty swojej cywilizacji. Sto sześćdziesiąt tysięcy lat temu było już więc zapotrzebowanie na zaświat!

Przez wiele wieków emergencja, czyli pojawianie się gatunków, nie mogła być problemem do dyskusji, ponieważ obowiązywało przekonanie o spontanicznej generacji, czyli po prostu kreacjonizm. Ostatnio kreacjoniści poczęli znów podnosić głowę, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, i starają się palce swoje wsadzać wszędzie tam, gdzie wywęszą jakąś zagadkę. Gdy zaś empiria zdoła tę zagadkę wyjaśnić — przechodzą dalej. Był paleontolog nazwiskiem Gosse, który twierdził, że Pan Bóg, stwarzając Ziemię, umyślnie zakopał w niej rozmaite dziwne kości. Jednak obraz Pana Boga, który robiłby nam podobne kawały, wydaje mi się osobiście wysoce niesmaczny — co nie stanowi oczywiście żadnej naukowej refutacji tezy owego pana, ale raczej pogląd zdroworoządkowy.

Atmosfera Ziemi i jej skład chemiczny bardzo źle się zrazu nadawały do życia takiego jak nam współczesne, zasadniczo opartego na obecności tlenu i wody. Woda być już musiała, ponieważ jest ona roztworem, w którym molekuly chemiczne mogą się poruszać najswobodniej i łączyć w najdziwaczniejszy sposób; tlenu jednak nie było. Jak powstały cjanobakterie, nie wiemy, nie wiemy też, w jaki cudowny sposób powstały fotokomórki, algi fotosyntetyzujące, które potrafią bezpośrednio, jak powiedział mój mądry Golem, opad promienistej energii słońca przetwarzać w substancję swoich ciał. To, co dla nas jest niezbędne — czyli tlen właśnie — było dla tych najpierwotniejszych organizmów wydalina. I tak długo nasycaly nią atmosferę, aż życie żywione tlenem powstać wreszcie mogło.

Procesy życiowe zredukować można do bardzo skomplikowanym sposobem zachodzącego zimnego spalania; zimnego, bo nieodległego od temperatury marznięcia wody, a bardzo dalekiego od nuklearnych pożarów gwiazd. W toku tego spalania powstają jako wydaliny tak zwane wolne rodniki, bardzo aktywne chemicznie i rujnujące organizm, który podlega przez to nieodwracalnym zmianom. Życie ziemskie porusza się rodzajem graniówki, pomiędzy brakiem tlenu a jego nadmiarem; brak tlenu istnienie życia uniemożliwia, a jego nadmiar

przyspiesza koniec. Dlatego ci, którzy sądzą, że w warunkach ziemskich można dojść doczesnej nieśmiertelności, głęboko się mylą: to są bajdoły, które łaknącej sensacji publiczności opowiadają domorośli *science-writers*. Można oczywiście usprawniać rozmaite organy, a nawet wymieniać serca czy nerki, można usunąć szereg przynoszących choroby genów, ale nie można przekształcić całego systemu naczyń włoskowatych, które ożywiają nasz mózg.

Pojawił się już pewien — nazwijmy go tak — uczony, który wystąpił nawet na łamach „Scientific American”, a więc pisma pretendującego do rangi naukowej. Odciał on głowę rezusowi, przesadził ją na korpus innego rezusa, po czym rezus z nową głową żył aż osiem dni. Uczony oświadczył z dumą, że jest to wielkie osiągnięcie, które dowodzi, że wszystko da się przesadzić i przeszczepić. Już nawet nie chodzi o to, że trudno byłoby człowiekowi znaleźć inną głowę, ale jest to otwarcie wrót do rozmaitych, dość rzeźnickich eksperymentów. Są też podobno tacy, którzy się po cichu zabierają do klonowania ludzi. Z trzech powodów: po pierwsze dlatego, że nie wolno, po drugie — ponieważ wszyscy są przeciw, po trzecie — bo wywoła to ogromną sensację.

Element antyracjonalny i antyetyczny, ze stanowiska zarówno jakiegokolwiek wiary, jak świeckiego humanizmu koszmarny, w cywilizacji naszej może się zrealizować, ponieważ wartości komercyjne w niej przodują. A o tym, że przodują, mógł się ostatnio w Krakowie przekonać każdy, kto oglądał — ja na szczęście tylko na zdjęciach! — co się działo, kiedy otwarto nowy supermarket Tesco, w którym skądinąd niczego nowego nie ma. Są to jednak zjawiska typowe dla psychologii mas, nieprzyjemne świadectwo wystawiające gatunkowi ludzkiemu.

Sumując, powiedzieć można tak: ziemska cywilizacja stanowi wynik procesu tak długiego, tak skomplikowanego i o tak silnym współczynniku przypadku, że prawdopodobieństwo jego powtórzenia się jest znikome. Stąd nowy paradygmat, wedle którego jesteśmy sami. A skoro jesteśmy sami, ciąży na nas zwiększona, a nie zmniejszona odpowiedzialność. Nie możemy się wykręcać, mówiąc, że inni jakoś lepiej się urządzają. Nie ma żadnych innych — a przynajmniej taka hipoteza wydaje się najbardziej prawdopodobna.

2000

## Pytanie

Pisać o postępach nauki nie jest szczególnie trudno, pod warunkiem, że ograniczymy się do przeglądu jednego z poważnych periodyków naukowych, w rodzaju „American Scientist”, „New Scientist”, „Science et Vie”, czy wreszcie rosyjskiej „Prirody”. Trudności prezentowania wydarzeń na froncie naukowym piętrzą się jednak w postępie geometrycznym, jeżeli zwiększamy ilość zaprenumerowanych pism. Nie jest to po prostu sytuacja tak zwanego osła Buridana, który ginął z głodu, stojąc pomiędzy dwoma żłobami, z których jeden był wypełniony owsem, a drugi sianem. Rzecz w tym, że takich żłobów, czy może raczej głębinowych studni wypełnionych najnowszymi rewelacjami naukowymi jest bardzo dużo, często diametralnie różniących się między sobą.

Z numeru „New Scientist” z 7 października 2000 roku dowiaduję się, że większość lekarstw rzuconych na rynki apteczne jest niczym wobec pewnego gatunku miodu, który jest doskonałym panaceum na wszystkie dolegliwości, że najnowszy akcelerator cząsteczek, znajdujący się w budowie, może wytwarzać niezwykle dziwne drobiny, które będą stopniowo pożerały naszą planetę. Że powiększanie się obszarów wody na skutek topnienia lodowca na biegunie Północnym, czyli jeden z objawów ocieplenia atmosfery, niesie ze sobą — paradoksalnie — groźbę oziębienia klimatu Europy Środkowej, a Polski w szczególności. Że ulegają już podważeniu układy, które miały wykluczyć użycie broni atomowej w konfliktach międzynarodowych, ponieważ w Stanach Zjednoczonych toczą się prace nad stworzeniem pocisków nuklearnych, które tworząc coś w rodzaju jądrowego korkociągu, wkręcają się w skorupę ziemską, poszukując głęboko ukrytych bunkrów wroga (podług jednych fachowców byłyby takie nuklearne pociski sprzeczne z istniejącymi układami, podług innych trudno wymyślić coś bardziej szlachetnego i pożytecznego).

Na stronie siódmej omawianego tygodnika czytamy, że komórki odpornościowe naszego organizmu, stanowiące podstawę i tarczę jego immunologicznego systemu, mogą się pod wpływem pewnego rodzaju wirusów przemieniać w naszych śmiertelnych wrogów. Na karcie jedenastej pojawia się niezwykle obiecująca dla wszystkich posiadaczy samochodów informacja, przedstawiająca specjalny rodzaj filtra wynaleziony przez inżynierów z Australii, który potrafi zamienić wydechowe gazy samochodu w nieszkodliwe związki, a przy podwyższeniu temperatury do pięciu tysięcy stopni może wytwarzać diamenty. Wyobrażenie o samochodach, z których rur wydechowych sypałyby się szlachetne kamienie, wydaje się w pierwszej chwili dosyć kuszące. Paleontolodzy twierdzą, że jakieś sto milionów lat temu spacerowały po Ameryce Południowej tak zwane argentynozaury, ważące po sto ton sztuka! Dlaczego dawniej spacerowały po łąkach stutonowe stwory, a dzisiaj, nawet bardzo wysiliwszy się, żaden słoń więcej niż siedem ton osiągnąć nie może?

I tak, strona po stronie, przychodzi się nam dowiadywać o mniej lub bardziej sensacyjnych rewelacjach. Uczeni wizują nam narządy wewnętrzne świń, czekające już za progiem medycznego postępu jako przyszłe części składowe organizmu człowieka, toteż winniśmy się już niejako z góry powstrzymywać od niepohamowanej konsumpcji tych zwierząt. Dalej straszą nas rosnącym w światowej sieci, czyli Internecie, tłokiem, rozpychającym się i blokującym serwery (choć wspomina się przy tym o niewielkiej nadziei, jaką są tak zwane algorytmy genetyczne przy upychaniu informacyjnych Himalajów w sieciowych zbiornikach). Niestety, to nie wszystko. Uwagi te piszę 13 października w piątek, może dlatego w kolejnym artykule angielskich specjalistów z dziedziny tak zwanej radiacyjnej dozymetrii grożą nam ubocznymi skutkami działania filtrów przeciwsłonecznych, które co prawda chronią nas przed szkodliwym działaniem promieni ultrafioletowych, ale wymierzają przy tym naszym organizmom o wiele bardziej szkodliwe ciosy.

Fatalne wiadomości mamy na temat ciemnej materii kosmicznej, również nic dobrego nie mogą nam badacze powiedzieć na temat kondycji naszego Słońca, które w każdej chwili może zgasnąć. Jednym słowem, jeżeli ktoś zdołał jeszcze przed końcem świata przeczytać niniejsze słowa, winien się uznać za szczęśliwca.

Znajduję się pod niepokojącym wrażeniem, że coraz większa liczba uczonych na świecie, narastająca w proporcji do powiększającej się ludzkości, próbuje za wszelką cenę skupić na

sobie światła reflektorów, wymyślając koncepcje z pogranicza taniej science fiction i podając je jako rezultaty dogłębnych przemyśleń naukowych. Pewien mędrzec, Którego nazwiska nie wymienię z uprzejmości, napisał, że masywne dinozaury, będąc jaroszami, musiały codziennie spożywać wiele ton roślin, fermentujących w ich trzewiach i wydalanych w postaci metanowych wiatrów: to właśnie owe gazy miały wytwarzać dziury w atmosferycznej powłoce Ziemi.

Nie wiem, kto, w jaki sposób, ani dlaczego nauczył psy machać ogonami na znak, że nas lubią. Jak tylko jednak poznam odpowiedź na to dręczące mnie pytanie, natychmiast poinformuję o tym czytelników.

*piątek. 13 października 2000*

## **Kulą w płot**

Przewidywanie przyszłości znowu jest w modzie. Szczegółowe prognozy są jednak po prostu niemożliwe.

Na próbach drobiazgowej konkretyzacji przyszłych stanów rzeczy potykały się niezliczone przepowiednie, jakimi obrodziła druga połowa XX wieku. Nie mówię tego, aby siebie samego bronić, ale ponieważ są obecnie znane wszystkie klęski futurologii, usiłującej wykraczać poza generalizacje.

Najpierw sięgnę do dawniejszych czasów. W roku 1895 prezydent Towarzystwa Królewskiego w Anglii, lord Kelvin, orzekł: „Latające maszyny cięższe od powietrza są niemożliwe”.

Na początku XX wieku Akademia Francuska ostrzegała przed ekologiczną katastrofą, do jakiej musi nieuchronnie doprowadzić nagromadzenie końskiego nawozu, spowodowane rozwojem komunikacji konnej w Paryżu.

W roku 1903 amerykański fizyk Albert Michelson stwierdził, że wszystkie najważniejsze prawa fizyki zostały już odkryte.

W roku 1929 Irving Fisher, profesor ekonomii Uniwersytetu Yale, zapewnił: „Akcje osiągnęły taki poziom, który gwarantuje permanentną stałość”. Było to tuż przed ówczesnym światowym kryzysem.

W 1957 roku Tomasz Watson, prezes IBM, zapewniał: „Sądzę, że na całym świecie jest popyt na około pięć komputerów”.

Szczególną uciechą napawa fakt, że w roku 1899 Charles Duell, zawiadujący Federalnym Urzędem Patentowym, zaproponował, ażeby ten urząd zamknąć, ponieważ zostało ‘ już wynalezione wszystko, co mogło być wynalezione.

Prognozy, zapowiadające niesłychane innowacje, a nawet przewroty w bardzo wielu dziedzinach naszego życia, stały się obecnie tak masowe, a nawet powszechne, że nie sposób otworzyć dowolnego czasopisma, ażeby się nie natknąć na ich bezmiary. Jest rzeczą nie tylko zrozumiałą, ale i oczywistą, że należy się im przeciwstawiać, zwłaszcza w tej mierze, w jakiej robią nam z mózgu mętną wodę, by łowić w niej ryby.

Prawdą jest, że klimat się zmienia, to znaczy ulega ociepleniu, i że powoduje to, zwłaszcza dla stref umiarkowanych oraz dla takich kontynentów, jak europejski, niedobre skutki, po-

nieważ dogrzewanie wód oceanicznych dostarcza energii kierującej burze i orkany na lądy przybrzegowe. Prawdą jest też, że zwiększa się przyspieszenie rozwoju naukowo–technicznego (jakkolwiek bardzo nierównomiernie zlokalizowanego w naszym świecie), lecz o jednym i drugim pisałem niezmiernie dawno temu, toteż dla mnie są to dania odgrzewane. Przewidywałem również inwazję działań technologicznych na procesy życiowe. Natomiast neguję prognozy, które zapewniają nas, że już bardzo rychło położymy kres wszelkim nowotworom, także złośliwym, że będzie można prowadzić najrozmaitsze pogawędki i dyskursy z komputerami wypełnionymi sztuczną inteligencją, że klonowanie doprowadzi do powstania składów ludzkich części zapasowych, jak na przykład nerki, serca, lub nawet oczy i uszy. Wielu popularyzatorów nauki, patrząc przez szkła powiększające optymizmu na najświeższe dane laboratoryjne, ogłasza, że już można z komórek macierzystych żaby wyhodować żabie oczy, co bodaj miałyby oznaczać, że się oczy będzie rychło wprawiać niewidomym ludziom. Paliwa kopalne w końcu się, niestety, wyczerpią, ale przewidywanie, jakoby miały je zastąpić tak zwane paliwowe komórki, w których głównym dawcą energii będzie wodór, to przecież zawracanie głowy, ponieważ wodór praktycznie jest w postaci czystej na Ziemi nieobecny i wyzwolenie go z wody wymaga elektrolizy, a zatem dopływu odpowiedniej ilości prądu elektrycznego. Osobom, które piszą o tych genialnych rozwiązaniach, należy przypomnieć znaną historyjkę o człowieku, który okrążył stół z taką szybkością, aż zdołał kopnąć w tyłek samego siebie.

2000

## Priony

Jak wiadomo, krowy są roślinożerne. Ponieważ zaś roślinna karma bogata jest w celulozę, którą niełatwo organizmowi strawić, przewód pokarmowy krów charakteryzuje się posiadaniem kilkukomorowego żołądka, który ponadto dla pełnienia swoich funkcji wymaga, aby krowa co jakiś czas . spożyty już pokarm roślinny przeżuwała. Krowy polegające na pastwisku, które „kręcą mordą”, kojarzą się z sielskością i świętym spokojem.

W pogoni za maksymalizacją zysku z hodowli bydła została wprowadzona obróbka technologiczna padłych sztuk, przetwarzanych na tak zwaną mączkę mięsno–kostną. Około jedenastu lat temu w Anglii zaobserwowano pierwsze przypadki schorzenia, pospolicie zwanego chorobą wściekłych krów, po angielsku *Bovine Spongiform Encephalopathy*, oznaczającą gąbczaste zapalenie mózgu u bydła.

Rzecz oczywista, potoczna nazwa „wściekle krowy” nie może być traktowana dosłownie, ponieważ postępujące uszkodzenie ośrodkowego układu nerwowego, kończące się śmiercią porażonego zwierzęcia, nic wspólnego z wściekliczną nie ma. Wydaje się nadzwyczaj prawdopodobne, że ten śmiertelnie kończący się zespół objawów wynikł z przestawienia roślinożerców na mięsożerność, a mówiąc dokładniej, na karmę złożoną z padliny, ponieważ tak zwana mączka to po prostu rozdrobnione technologicznie szczątki.

O chorobie wściekłych krów, która może u osób spożywających wołowinę doprowadzić do równie śmiertelnej choroby Creutzfeldta–Jakoba, pisze się obecnie wiele i można w sensie ogólnym powiedzieć, że przestawienie roślinożernych przeżuwaczy na kanibalizm padli-

nożerny spowodowało ów koszmarny efekt. Przed pojawieniem się owej fatalnej choroby za pewnik uchodziło twierdzenie, że rozplem może być realizowany wyłącznie drogą przekazów nukleotydowych (genowych). Przekonanie to zostało przekreślone przez rozpoznanie prionów jako przyczyny sprawczej BSE. Chodzi o pewną, tak zwaną trzeciorzędą strukturę białka, która pod wpływem wciąż jeszcze nie rozpoznanego przez badaczy mechanizmu przekształca się w prion, będący niczym innym, jak tymże białkiem, lecz odmienionym — trochę tak, jak ma się do siebie przedmiot i jego lustrzane odbicie. Raz powstałe priony powodują lawinowe narodziny następnych, niszczących przede wszystkim mózg. Nawet bardzo niewielkie ilości prionów wprowadzone do organizmu potrafią spowodować tragiczne objawy choroby u zwierzęcia i człowieka.

Początkowe przekonanie o zlokalizowaniu pandemii na terenie Anglii okazało się złudne. Strach przed wołowiną poszedł w Europę. Chociaż do tej pory nie dało się tego udowodnić, przyjęto jednak za pewnik, że czynnikiem sprawczym BSE jest mączka padlinopochodna. O kosztach Walki z tą plagą nowego wieku ani o olbrzymich stratach hodowców nie będę nic mówił. Natomiast można by nad całą tą niespodziewaną tragedią wygłosić następujące memento. Bezwzględna, pazerna pogoń za zyskiem, usuwająca mienić tradycyjne metody hodowli bydła, dała groźny i niespodziewany rykoszet. A przy tym chodziło o zmuszanie niewinnych trawożerców do konsumpcji rozdrobnionej padliny ich własnego gatunku. Znane jest porzekadło, że Pan Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy. Nie mieszałbym do powstałej reakcji panicznej Pana Boga gdyż wystarczy orzec, że znieważona Przyroda potrafi sama odplacić niepięknym za nienadobne. Życzyłbym sobie, aby te osoby, które zarzucają mi czarnowidztwo i nadmierny pesymizm, zechciały przenieść swoją uwagę na nie przewidziane przez nikogo skutki dotąd opłacalnych finansowo harców w zakresie żywienia zwierząt hodowlanych. A tuż za progiem czekają biotechniczne wtargnięcia w ustrój człowieka, obiecujące mnóstwo udoskonaleń naszym organizmom. Nie przekonują mnie jałowe bajania, mające nas uspić i uspokoić, że nic złego się nie stanie. Medycyna i weterynaria, a przede wszystkim genetyka, powinny znaleźć się w centrum światowej uwagi.

PS. Podług opinii, i to najświeższej, fachowców, prawie nic nie może dać rady prionom. Nie niszczy ich ani alkohol, ani sterylizacja, ani jonizująca radiacja, toteż nawet ten, kto decyduje się przejść na wegetarianizm, prionom nie umknie, ponieważ wydaliny bydła (popularne krowie placki) zakażają trawę na pastwiskach, prionośne substancje zaś mogą się znajdować w żelatynie, z jakiej wytwarza się wszystkie kapsułki dla leków, w mydle, a nawet w kremach wygładzających zmarszczki. Na wspomnianą już chorobę Creutzfeldta–Jakoba zmarł artysta, który tylko używał kremu wygładzającego zmarszczki, a będącego bardzo daleką krówską pochodną.

2001

## Nowy człowiek

Pragnę złożyć oświadczenie w miejsce przysięgi, że to, co napiszę poniżej, nie jest w najmniejszej mierze płodem mojej fantazji, lecz stanowi prezentację prognostycznych po-

glądów, które zostały omówione w poważnym naukowym periodyku amerykańskim „Science”.

Omawiając przyszłą budowę oraz szczegółowe ukształtowanie człowieka w głębi naszego stulecia, autor prezentuje następujący pogląd. Człowiek współczesny nieprzypadkowo mieści się swoim wzrostem pomiędzy stu sześćdziesięcioma i dwustu dziesięcioma centymetrami. Jest tak dlatego, że spędzając znaczną część życia na dwóch nogach w postawie wyprostnej, człowiek narażony jest na urazy czaszki bardziej od wszystkich czworonogów. Z przyczyn oczywistych, im niższy osobnik naszego gatunku, tym mniejsze ryzyko wystąpienia przykrych konsekwencji upadku. Ze względu na to, sterując swoją dalszą ewolucją, człowiek nie będzie konkurował wzrostem z żyrafą, lecz przeciwnie, będzie się starał jak najbardziej przybliżyć do ziemi. Ażeby dodatkowo obniżyć środek ciężkości ciała, co spowoduje zwiększenie stateczności, mięśnie glutealne oraz poruszające udami będą spotęgowane. Równocześnie człowiek nie będzie mógł zginać nóg w stawach kolanowych tak jak obecnie, lecz przeciwnie, kolana będą „składały” się do tyłu, jak o tym zresztą napisałem w mojej *Wizji lokalnej*. Dodatkowe zapewnienie ogólnej stateczności zostanie wzmocnione z lekka kabłąkowatym grzbietem, tchawica zaś wraz z nagłośnią zostaną tak obniżone w klatce piersiowej, ażeby nowemu człowiekowi było trudniej się udławić. Wydrukowanej prognozie towarzyszy anatomicznie ilustrująca ją rycina, na której widać owego człowieka przyszłości o muskularnie potężnej dupie. Autor zaznaczył wprawdzie, że obniżenie tchawicy razem z krtanią pogorszy nasze możliwości werbalnego kontaktu, ale jakoś przechodzi nad tym do porządku, do czego dodam tutaj już mój własny komentarz, że gadatliwość jest przywarą napiętnowaną w znanym porzekadle: „Mowa jest srebrem a milczenie złotem”.

Autor owej przyszłej anatomii człowieka nie zajmuje się spotęgowaniem jego sprawności umysłowej, w czym wyręcza go jednak inny uczonec. Jego koncepcja jest nowa i radykalna technicznie. Gacie przyszłego człowieka będą posiadały wkład elektroniczny, sterujący termostatem dli właściwego utrzymywania cielesnej ciepłoty. Prąd będzie dostarczał temu człowiekowi dwuczłonowy agregat, znajdujący się w obu obcasach jego bucików. Poruszając się, niby tłoki w cylindrach, obcasy będą w czasie chodu napędzać miniaturowe zespoły elektrodajne, służące gaciom. Z kolei od gaci iść będzie przewód do okularów na nosie, bodaj jedno szkło tych okularów będzie zaś telewizyjnym monitorem. Możliwe stanie się również spotęgowanie słuchu, dzięki odpowiednim wtyczkom dousznym. Najlepszym dodatkiem stać się mają przystawki domózgowe, potęgujące pamięć, sprawności obliczeniowe oraz przypuszczam, że także inteligencję ogólną, których lokalizacje autor tej przepowiedni pozostawia jednak otwartą, jako adresowaną do przyszłych psychoinżynierów.

Obie te prognozy nie wywołały u mnie bynajmniej entuzjazmu, lecz przytaczam je, ponieważ dobrze jest wiedzieć, co nam futurologowie z uniwersyteckimi dyplomami szykują. Człowiek przyszłości z nazwanej, wielobarwnej ryciny w tygodniku „Science” przypomniał mi trochę przygarbioną małpę krótkonogą, o szczególnie silnym zadzie, gwarantującym dobrą stateczność. Być może znajdują się amatorzy takiego fizjoanatomicznego rozwiązania modelu *homo sapiens*, ja jednak do nich nie należę.

Oczywiście przytoczone koncepcje dają do zrozumienia, że tak wzmocniony, usstateczniony, udoskonalony człowiek będzie znajdował się w nieustającej łączności z Internetem, czy raczej z taką przyszłościową siecią łączności światowej, która Internet zastąpi. Przy-



puszczam, że domyślne powinny być strumienie gigabajtów, które tej człękopochodnej małpie do obu uszu będą naszeptywać kalesonowe elektrony, lecz winienem niezwłocznie dodać, iż ten ostatni akapit mojego tekstu już nie pochodzi ze stronic amerykańskiego czasopisma, ale został przez mnie na własną rękę logicznie wydedukowany i do przedstawionego streszczenia doklejony.

2001

## Magicy i szarlatani

W tygodniku angielskim „New Scientist” jest rubryka, w której osoby ze świata nauki, ciekawe wyjaśnienia rozmaitych zjawisk, zadają pytania, w następnych zaś numerach czasopisma pojawiają się uczone odpowiedzi. Jednym z wielu problemów było pytanie, dlaczego posmarowane grzanki spadają na podłogę zawsze stroną maślaną. Ów dylemat podzielił uczonych na dwa obozy: jedni twierdzili, że częstość upadku grzanki na jedną i drugą stronę jest taka sama. Wysuwali oni śmiałą koncepcję, zaczerpniętą nie z fizyki, lecz z psychologii, podług której upadek grzanki stroną maślaną sprawia temu, kto ją miał zamiar spożyć, więcej przykrości. Niby że się utrwalają w pamięci tylko te irytujące wypadki. Natomiast znaleźli się uczeni, którzy skłaniali się ku tezie, że jednak masło na grzance przy upadku jest szczególnie narażone. Osobiście nie miałem nigdy zamiaru wkraczania w dziedzinę tego sporu, lecz byłem gotów zaproponować prosty eksperyment. Należy przygotować sto posmarowanych masłem grzanek i upuszczać z wysokości stołowego blatu na podłogę. Do wykonania tego doświadczenia nie doszło, gdyż jest pewno uważane za niewartą zachodu błahostkę.

O ileż większą wagę miały orzeczenia sowieckiej nauki, spośród których wymienię tutaj tylko cztery. Po pierwsze: Trofim Łysenko, w czasach kiedy genetyka, a więc geny jako nośniki dziedziczności były już dobrze znane, głosił burżuazyjną kłamliwość owej teorii, ponieważ uważał, że dziedziczność należy poddawać surowym działaniom, czyli tak długo nią trząść, aż się na przykład z ziaren zboża jarego zrobi ozime. Straty gospodarki rolnej Sowieców po próbach stosowania łysenkizmu, który cieszył się aprobatą Stalina, poszły, jak mówią, w miliardy. Z kolei Olga Lepieszyńska wykryła, że moczenie nóg w wodzie z dodatkiem sody przedłuża życie. Niestety, światowa nauka również i ten ważny fakt całkowicie zapoznała. Innym kandydatem z szeregu namaszczonego przez Stalina naukowców był jego mość, który wynalazł kaloryfery. Nie były to jednak takie sobie zwyczajne kaloryfery, jakie mamy w naszych mieszkaniach, lecz oparte na dziwnym, nauce nie znanym dotąd zjawisku, albowiem nie tylko nie wymagały dopływu gdzieś podgrzanej ciepłej wody, lecz na odwrót, taką wodę porządnie gorącą same sobie sporządzały. Ostatnim uczonym, o jakim warto tu choć w paru słowach wspomnieć, był odkrywca nie znanego dotąd stanu zwyczajnej wody w kapi—larach, czyli wąskich rurkach szklanych. Badane to było w laboratoriach krajów ościennych tak długo, aż się pokazało, że dziwny stan wodzie tego hydrologa nadały niewielkie ilości brudu, który się rozpanoszył widocznie w jego pracowni. Nauka rosyjska ma jednak na swoim koncie prawdziwe, rzetelne rezultaty, prezentowane w miesięczniku „Priroda” wydawanym przez rosyjską Akademię Nauk.

Należy przyznać, że nauka na Zachodzie, szczególnie w ostatnich dekadach, również jest zmuszona dbać o samooczyszczanie się z fałszywych doniesień odkrywczych, w rodzaju na przykład tak zwanej „zimnej fuzji nuklearnej” w szklance wody. Ilość takich doniesień narasta, ponieważ na świecie przybywa ludzi, a tym samym uczonych, więc również osób łaknących rozgłosu.

Zdawało mi się kilkadziesiąt lat temu, że zjawiska zwane pozazmysłowymi, jak telepatia lub jasnowidzenie, zostały definitywnie złożone do grobu, ale ostatnio znowu czy—tam o jasnowidzach i telepatach, ponieważ ogromna jest skłonność ludzka do myślenia magicznego, o czym zresztą powiadają nas wielkie sukcesy bestsellerowe wymyślonej przez panią Rowling szkoły czarnoksiężstwa. Nie przeprowadzono jak dotąd żadnego eksperymentu, w którym jakiegokolwiek zjawiska paranormalne zostałyby uwierzytelnione. Proponowałem publicznie czterdzieści lat temu proste doświadczenie, polegające na tym, że pod starannie zapieczętowanym kloszem szklanym, takim, jakim często nakrywa się sery, zostaje umieszczona cieńsza od włosa, pionowa struna kwarcowa, z przylepionym do niej małym okruczem zwierciadła. Urządzenie to jest znane fizykom jako tak zwany galwanometr Einthovena. Służy on do pomiaru nadzwyczaj słabawego prądu, a działa tak, że się promień świetlny, skierowany w lustro, odbija od niego i jasną plamką pada na białą ścianę. Sugerowałem zatem, żeby batalion albo pułk atletów telekinetycznych, siedząc naprzeciw tego urządzenia, zjednoczonym wysiłkiem umysłów doprowadził zwierciadło na strunie do minimalnego wychylenia, udokumentowanego wędrówką świetlnej plamki na ścianie. Niestety, nigdy nic z tego pomysłu ani też z prób innych naukowych weryfikacji nie wyszło.

2001

## Hochsztaplerzy

Zawsze zastanawiało mnie, w jakiej mierze ludzka niecność oraz przewrotność zasiedla obszary nauk ścisłych. Nie mam na myśli teorii lub hipotez publikowanych w dobrej wierze, czyli mówiąc zwyczajnie pomyłek, i błędów zachwaszczających środowisko naukowe. Myślę raczej o swoistej, pełnej animuszu i perfidii zaciekłości, z jaką cały szereg ludzi uważanych za naukowców zajmował się działalnością po prostu fałszerską.

W czasie kiedy domniemania dotyczące istot pozaziemskich, jakoby pasjami odwieczających naszą planetę, były w szczególnej modzie, było wiele przypadków świadczących o rozmyślnej złej wierze. Bodaj w latach siedemdziesiątych został zaprezentowany ekspertom naukowym trup przybysza z gwiazd, który z dużym wysiłkiem zidentyfikowano jako zmacerowany i ufarbowany na zielono małpi płód. Były to czasy, kiedy od fotografii, a także ręcznie sporządzanych rysunków dostrzeżonych nad Ziemią Niezidentyfikowanych Obiektów Latających, zwanych UFO, roilo się w czasopiśmie z całego świata. Z gorącymi wyznawcami odwiedzin Ziemi przez gwiazdnych gości był kłopot tym większy, że trudno przychodziło odróżnić majaczących, opętanych lub tylko podległych złudzeniom optycznym, czyli takich, którzy sami w jakieś obserwacje UFO uczciwie wierzyli, od cynicznych oszukańców, na wierze takiej żerujących. Ci bowiem inwestowali sporo kunsztu i wysiłków w sporządzanie zdjęć i opisów tego, co jakoby zstąpiło na Ziemię.

Zasięg tej manii jest wielki, trudny do ogarnięcia i wcale nie zaczyna się od osławionej w środowiskach paleoantropologów, tak zwanej czaszki z Piltdown, którą sporządził znawca osteologii, używając w tym celu składanki ludzkiego czerepu i dolnej szczęki znacznie od czerepu starszej, przy czym w robocie swojej był tak zręczny, że owe nieszczęsne szczątki utraciły przypisywaną im wiarygodność dopiero po dokładniejszych analizach. Zupełnie świeżym zaś, odnalezionym jakoby ostatnimi czasy, jest artefakt, który miał być szkieletem naszego zwierzęcego protoplasty, będącego zarazem pośrednikiem ewolucyjnym pomiędzy gadem i ptakiem. Zastosowana metoda polegała na złączeniu fragmentów kośćca dinozaura z kawałkiem zniekształconego szkieletu ptasiego.

Wszystko to razem zebrane stanowi zaiste bogatą kolekcję, poświadczającą istnienie — pośród ludzi podających się za naukowców — zwyczajnych oszustów, łaknących za wszelką cenę uznania i sławy. Historia fizyki, a zwłaszcza biologii, notuje liczne przypadki, w których odróżnienie złej wiary od dobrej bywa bardzo trudne. Tak na przykład niemiecki uczoney Pettenkoffer, otrzymawszy próbkę z roztworem pełnym bakterii cholery od ich odkrywcy, całą jej zawartość łyknął, ponieważ uważał, że owe bakterie (przecinkowce) *vibrio cholerae* nie są groźne. I rzeczywiście, nic mu się nie stało, dzięki temu, że był na czczo, kwas solny żołądka zaś wszystkie zarazki unieszkodliwił. Całkiem inna była historia biologa nazwiskiem Kammerer, który wierzył w dziedziczenie cech nabytych, zgodnie z koncepcją Lamarcka, wbrew Darwinowi. Salamandry, na jakich dokonywał doświadczeń, wykazywały rzeczywiście w następnych pokoleniach plamistość skóry, jakby odziedziczoną w układzie zabarwień po generacji wcześniejszej. Został jednak zdyskredytowany, ponieważ rzekomo autentyczne desenie okazały się naniesione farbami i można je było zmyć. Już nie pamiętam dokładnie, jak to było z Kammererem, który skończył ze sobą samobójczo, ale okazało się, że nieszczęśnik sam żadnego oszukaństwa nie zamierzył, lecz salamandry retuszował potajemnie jego współpracownik. Szczególne kłopoty mają badacze zajęci wykopaliskami z zakresu archeologii, ponieważ nie brak tu miłośników fałszerstw, podających najrozmaitsze fragmenty popękanych starych naczyń i przerdzewiałego żelastwa za autentyki mające być świadectwami pradawnych kultur.

Piszę tutaj o udowodnionych przypadkach oszustwa w dziedzinie nauk ścisłych, choć oczywiście znacznie częściej mamy do czynienia z fałszerzami na terenie sztuk pięknych. W swoim czasie narobił szumu niejaki Van Maegeren, który świetnie podrabiał malarską manierę Vermeera, szereg falsyfikatów sprzedał Goeringowi, po wojnie zaś poszedł w związku z tym za kratki. Znakomitość pędzla, jaką odznaczał się Vermeer, imitował świetnie i gdyby sygnował obrazy własnym nazwiskiem, byłby pewnie cenionym malarzem. W ostatnich dniach marca bieżącego roku wyczytałem, że dwa znane płótna Goi są falsyfikatami. Jednym z nich ma być słynny portret tak zwanego *Kolosa* — dowody są podobno nieodparte. Sądzę, że przydałaby się edycja *Wielkiej Encyklopedii Podrabiania*.

2001

**Wszechświat**

Dziwna rzecz, na jak kruchych podstawach stoją obecnie najbardziej fundamentalne twierdzenia, dotyczące WSZYSTKIEGO. Zamierzchłą epokę, w której mniemano, że cały nasz Wszechświat wylał się z jaja kosmicznego, mamy od dawna za sobą.

Następna była koncepcja, wedle której Uniwersum, ze wszystkimi swoimi gwiazdnymi konstelacjami, mgławicami spiralnymi, planetami oraz materią międzygwiazdą, nieustannie się rozszerza. W tej kwestii były jednak dwie przeciwstawne teorie. Według jednej, do której autorów zaliczali się głównie angielski astrofizyk Fred Hoyle oraz Hindus Narlikaar, bez względu na to, czy się Wszechświat rozszerza, czy nie, jego stan jest jednorodnie stały, taki akurat jak obecnie. Inaczej mówiąc, miała czasoprzestrzeń miliony lat temu prezentować się tak samo jak dzisiaj i tak już powinno na zawsze pozostać. Jednakże przeważała, oparta na obserwacjach astronomicznych, druga teoria, zgodnie z którą Wszechświat wyglądał dawniej zupełnie inaczej niżeli obecnie, jego zaś zmienności w czasie dowodzi fakt, że im bardziej są oddalone od nas mgławice i gwiazdy, tym bardziej ich światło czerwienieje (w ich widmie spektralnym prążek światła o dłuższej fali przesuwają się ku czerwieni). Tak zatem wyszło na to, że cały Kosmos rozdyma się jak nadmuchiwany balon, a skoro tak, to musiał mieć początek, od którego wielkie rozszerzanie się poczęło. Rychło jednak okazało się, że już we wczesnej swojej młodości musiała czasoprzestrzeń w jakiś sposób ujednostajnić się, czyli zdobyć jednorodność, co o tyle było dziwne, że największa dopuszczalna fizycznie szybkość, mianowicie światła (300 tysięcy kilometrów na sekundę), do takiej powszechnej homogenizacji by nie wystarczyła. W owej niemiłej dla astrofizyków sytuacji została wymyślona tak zwana krótka faza wczesnego, a zarazem bardzo gwałtownego rozszerzania się Wszechświata i tym sposobem powstał model WSZECHŚWIATA INFLACYJNEGO. Według niego na początku był dość zagadkowy, nie podległy dalszej retrospekcji WIELKI WYBUCH (Big Bang). Od niego się miało wszystko zacząć, powstała bardzo gorąca „zupa” promienista energii i dopiero kiedy trochę wychłodziła, powstały w niej cząstki elementarne, z których zbudowane jest całe Uniwersum. Jednakowoż dość dręczące pozostało pytanie, z czego właściwie wziął się Big Bang, i podczas kiedy jedni mówili, że powstał z tak zwanej singularności, inni, że raczej był olbrzymią fluktuacją nicości. Ponadto nie było wiadomo, czy Wszechświat jest, czy nie jest płaski. Wszechświat płaski to taki, który się nieustannie i bezgranicznie rozszerza, natomiast jego odwrotnością byłby Wszechświat, który rozszerza się tylko do jakichś granic, ażeby następnie rozpocząć zapadanie się, kurczenie, mniej więcej tak jak modelowy balon, z którego uchodzi powietrze. Kiedy jednak badania wykazały, że nasze Uniwersum jest płaskie, czyli euklidesowe, coraz bardziej natrętne stało się pytanie o jego stan początkowy. To zagadnienie nie zostało wyjaśnione aż do naszych dni i właśnie ostatnio zjawiał się nowy model czasoprzestrzeni.

Podług niego nasz gwiazdny i zaludniony Wszechświat powstał dzięki temu, że się ze sobą zderzyły dwa inne wszechświaty, oba najzupełniej puste, czyli bezgwiazdne. Na zdrowy rozsądek wydaje się to co najmniej dziwaczne, ale trzeba przyznać, że nasz zdrowy rozsądek nie potrafi znaleźć się w sytuacji, w której  $0 + 0 = 1$ . Ponieważ jednak założeniem kolizji obu pustych kosmosów jest mechanika kwantowa, stawiająca naszą ziemską logikę na głowie, większość astrofizyków powitała nowy model, który nazwę „zderzeniowym”, z umiarkowaną satysfakcją, ponieważ godzi się on dobrze z popularną dzisiaj w fizyce cząstek elementarnych

teorią strun. Zakłada ona istnienie wielu wymiarów i gdybym ją miał choć pokrótce wyłożyć, musiałaby z tego powstać osobna książka!

Morał z owej historii jest taki: astrofizycy zagłębiają się konstrukcjami matematycznymi w czeluściach, do jakich żadne doświadczenie wstępu mieć nie może. Są to zatem spekulacje zasadne o tyle, że dobrze się zazębiają i wspierają na innych spekulacjach, te zaś inne już mają obserwacyjne i wyliczeniowe doświadczenia za podstawy. Gdyby ktoś chciał koniecznie, mógłby zauważyć, żeśmy powrócili do jaja kosmicznego, tym razem zbudowanego z matematyki. Nie ośmielę się jednak powiedzieć, że tak jest naprawdę. Sądzę jedynie, że najnowszy, „zderzeniowy” model powstania naszego Wszechświata nie jest ostateczny.

2001

## **Iluminacja i mózg**

Odczuwał ją Einstein — ową moc, która przyciąga ludzi do kościołów, skłania ich do modlitwy, świętych tańców i spełniania rozmaitych rytuałów. Podobne przeżycia bywają naszym udziałem w wysokich górach czy nad morzem. Ale czym one są? Czy to obecność Boga, dotknięcie transcendencji, czy też mistyczny ekwiwalent tak zwanego *deja vu*, trik odgrywany przez nasz umysł?

Pytanie to otwiera artykuł w „New Scientist”, referujący badania Andrew Newberga, specjalisty od neurofizjologii z Uniwersytetu Pensylwanii w Filadelfii. Newberg zafascynowany jest biologią zjawisk religijnych. Przyznaje, że jako uczony pojmuje dziwaczność swej roli. Zadawano mu często pytanie, czy sam jest osobą szczególnie religijną, czy też raczej cynikiem, który postawił sobie za cel dowieść, że Boga nie ma; on jednak odżegnuje się od podobnych kategorii.

Newberg studiował reakcje uczuciowe właściwe doświadczeniom religijnym, a zarazem wspólne wyznawcom różnych konfesji. Chodzi o poczucie jedności z uniwersum, które tak fascynowało Einsteina, a także o podziw, który towarzyszy objawieniom religijnym i sprawia, że podobne momenty stają się najważniejszymi chwilami w naszym życiu.

Wybrano ośmiu wprawionych w medytacji buddystów którzy zgodzili się poddać swoje mózgi badaniom. Technik wprowadzał im cienką rureczkę do żyły, a potem w samotności i zupełnym spokoju oddawali się medytacji, koncentrując się na jakimś szczególnie sobie bliskim religijnym symbolu. Tymczasem przez rureczkę wstrzykiwano badanemu do krwioobiegu radioaktywną substancję znaczącą. Jej zagęszczenie w mózgu, stwierdzone dzięki komputerowej tomografii, wskazywało na okolicę najbardziej ukrwioną, a więc najbardziej aktywną podczas medytacji. Później uczeni zestawiali wyniki z aktywnością mózgu badanych w czasie, kiedy nie oddawali się oni religijnym ćwiczeniom.

Nie było zaskoczeniem, że podczas medytacji specjalną aktywność wykazują okolice mózgu odpowiedzialne za koncentrację uwagi. Stwierdzono też jednak szczególną aktywność części płata ciemieniowego w lewej półkuli. Okazało się, że chodzi o obszar, w którym rodzi się rozróżnienie pomiędzy jaźnią a wszystkim, co nią nie jest. Mówiąc szerzej, lewa półkula zajmuje się odtwarzaniem świadomości istnienia naszego ciała, natomiast prawa bardziej

skupia się na kontekście, to znaczy na otoczeniu, w którym przebywamy. U medytujących nasilało się uczucie wyłączenia ze świata, które odcinało ich od dźwięków i sygnałów wzrokowych, ułatwiając inny rodzaj kontaktu — chociaż nie wiadomo, z czym. Doświadczenie powtórzone z udziałem mniszek z zakonu reguły św. Franciszka. Mniszki modliły się głośno, a więc ich uwaga koncentrowała się raczej na słowach aniżeli na symbolicznych obrazach, jak w przypadku buddystów, i ich mózg wykazywał aktywność okolicy zawiadującej mową. Podobnie jednak jak buddyści, odłączały się od reszty świata. Poczucie jedności z uniwersum nie jest jedyną cechą doświadczeń religijnych. Mają one także szczególnie silny podtekst emocjonalny. Uczucie podziwu i czi, objawienie, czyli *illuminatio*, rodzi się na ogół, jak powiadają badacze, w okolicach odległych od płatów ciemieniowych, w tym, co nazywamy *emotional brain* — mózg przeżywający emocje. Chodzi o system limbiczny, spoczywający w głębi obu płatów skroniowych. Uruchamia się on przy szczególnie znaczących, afektywnie silnie zaznaczonych doznaniach, jak ujrzenie twarzy własnego dziecka. Podczas intensywnych doświadczeń religijnych system limbiczny staje się niesłyszanie aktywny. Dlatego ludzie, którzy takie doświadczenia przeżywają, mają trudności w ich przekazaniu. Ująć werbalnie potrafimy tylko ich zewnętrzną treść, składową wzrokową czy zmysłową, która nie różni się wiele od codziennego doświadczenia, natomiast najistotniejsza część przeżycia, owo uczucie radosnej harmonii, jest nieprzekazywalna.

Podobna do tych stanów jest niezwykle silna aura, jaką odczuwają ludzie cierpiący na epilepsję skroniową. Dostojewski mówił o „dotknięciu Boga”, którego doznaje tuż przed atakiem. Natomiast kiedy pojawia się choroba Alzheimera, często towarzyszy jej stopniowy zanik zainteresowań religijnych; u takich chorych system limbiczny ulega zniszczeniu. Bogactwo stymulacji limbicznej pozwala wyjaśnić, dlaczego rozmaite religie w tak znacznym stopniu opierają się na rozmaitych rytuałach — twierdzi Newberg. Ceremonialne ruchy, liturgia, muzyka — wszystko, co się odróżnia od aktywności codziennej, pomaga wzmocnić religijne uczucia. Poczucie wyłączenia bardzo się zbliża do osobistego doświadczenia obecności Boga. Jest taki uczony nazwiskiem Persinger, który uważa, że właściwie każdy może spotkać Boga, nosząc specjalny hełm, wytwarzający tak zwana stymulację transzaskową (*transcranial stimulation*). Najzwyczajni ludzie doznają wtedy ponadrealnych wrażeń. Najlepsze rezultaty daje słabe pole magnetyczne o natężeniu jednego mikrotesli. Aktywizuje ono płaty skroniowe i na pięć osób badanych — cztery doznają poczucia obecności kogoś niewidzialnego. Konkretność przeżycia poszczególnych jednostek zależy od ich osobistej skłonności i wiary. Jeśli komuś na przykład zmarła niedawno jakaś szczególnie ukochana osoba, doznaje on poczucia jej powrotu.

Persinger, który wykoncyrował ów hełm, sam przeżył jego działanie i twierdzi, że bogactwo doświadczenia zmniejszone było tylko przez fakt, iż wiedział, w jaki sposób całe urządzenie funkcjonuje. Trudno oczywiście zjawy Persingera zrównywać z doświadczeniem osób religijnych, chodzi o rzeczy podobne, ale nie tożsame. Rzecznik naczelnego rabina Londynu porównywał je do doświadczeń z halucynogennymi narkotykami.

Trzeba podkreślić, że nasz system limbiczny rozwinął się w bardzo dawnych czasach i należy do najstarszych ewolucyjnie części mózgu. Dzięki niemu jesteśmy zdolni do uczuć, do których nie dorastają inne żywe istoty. To, co znajduje się w mózgu, nie jest oczywiście Bo-

giem. Interpretacja naszych doznań zależy od specyfiki wiary, jaką się wyznaje. Nie jest ona częścią eksperymentu, ale rezultatem wpływu kultury, w której dany osobnik się rozwinął.

Można tylko powiedzieć, że ewoluująca biologia wykryła coś, co dotyczy stosunku naszych umysłów do Wszechświata. Czy to dowód, że jesteśmy zjednoczeni z Bogiem albo Kosmosem? Na to dręczące pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Rzecznik Amerykańskiego Stowarzyszenia Ateistów w New Jersey mówi: nie, chodzi tylko o pewnego rodzaju aktywność mózgową. Osoba o usposobieniu religijnym powie natomiast: to oczywiste, że nasz mózg umie przeżywać takie stany, został przecież w odpowiedni sposób ukształtowany, ponieważ istnieje Bóg.

Jeden z ekspertów dał taki przykład: sonety Szekspira można traktować jako pewną kombinację ruchów pióra i celulozy. Można jednak również uważać je za skoncentrowany głos wielkiego ducha — i to także będzie prawda. Istnieją rozmaite wyjaśnienia, z których każde jest na swoim poziomie prawdziwe, nie dają jednak łącznie jednoznacznej odpowiedzi. My tylko prowadzimy doświadczenia — tłumaczy Newberg — natomiast ich wykładnia leży już poza granicami empirii. Potrzebujemy nie tylko nauki, ale i bardziej subiektywnego, uduchowionego rozumienia zjawisk, by pojąć naturę rzeczywistości. Mózg jest odbiornikiem, nauka może zbadać zasady jego działania — nie potrafi jednak odpowiedzieć na pytanie, co on właściwie odbiera.

2001

## Zagłada Ziemi

Szanowni Czytelnicy! Ostrzegam Was, poniższy projekt nie należy do gatunku science fiction, ale został zaprezentowany przez angielskiego astronoma Marka Garlicka w czerwcowym numerze czasopisma „Scientific American”!

Nasze Słońce, uformowawszy się cztery miliardy sześćset milionów lat temu, dało zarazem początek wykształceniu z okrążającej je mgławicy protoplanetarnej planet wewnętrznych, do jakich należą Wenus, Ziemia i Mars, oraz zewnętrznych, z olbrzymami jak Jowisz i Saturn. Młode Słońce, wszedłszy na tak zwaną główną gałąź rozwojową gwiazd (diagram Hertzsprunga–Russella), rozpalało się z wolna, kosztem wewnętrznych jądrowych przemian, to jest syntezy wodorowo–helowej, pospolicie zwanej fuzją termonuklearną. Obecnie Słońce dostarcza prawie czterdzieści procent więcej energii aniżeli w pradawnej epoce swych narodzin.

My, ludzie, jako istoty w skali kosmicznej żyjące niesłychanie krótko, razem z naszą cywilizacją, nie dostrzegamy tego, że Słońce rozpala się i — zgodnie z kosmicznymi prawidłowościami ewolucji gwiazd — będzie stawało się coraz bardziej gorące, czyli palące. Oczywiście, przyłożyć termometru do Słońca nie można, ale astrofizykom wiadomo już, że mniej więcej za miliard lat Słońce będzie o dziesięć procent mocniej nagrzewało przestwór okołosłoneczny, a zatem i Ziemię. Oceany wyparują, a wszystko, co żyje na lądach, zginie. Pod kierownictwem Donalda Korycanskiego z Uniwersytetu Kalifornijskiego został stworzony projekt niezwykle ambitny, ale w zasadzie możliwy do zrealizowania, który mógłby

ocalić Ziemię od tej nieuchronnej zagłady życia. Kiedy kosmiczne ciało zbliża się do planety, dzięki jej grawitacji ulega przyśpieszeniu i oddala się, uzyskawszy dodatkową, niejako pożyczoną porcję energii. Wskutek tego planeta traci na energii ruchu tyle samo i nieco oddala się od Słońca, czyli poczyną je okrążyć na nieco większej niż poprzednio orbicie.

Zespół Korycanskiego opublikował w marcowym numerze amerykańskiej „Astrofizyki” obliczenia pokazujące, w jaki sposób mogłaby ulec poszerzeniu średnica orbity okołosłonecznej Ziemi: dzięki ściągnięciu z krążącego między Ziemią a Marsem pasa planetoid ciała o średnicy około stu kilometrów i ważącego około dziesięciu trylionów ton (10<sup>16</sup>)! Kiedy taki obiekt przeleci w pobliżu naszej planety, odlatując, odejmie Ziemi nieco energii ruchu orbitalnego, wskutek czego trochę oddalimy się od Słońca. Trajektoria orbitalna owego ciała (pożyczającego energię ruchu od Ziemi) musi być tak zorientowana, ażeby po oblocie Ziemi Pomknęło ono w stronę Jowisza albo Saturna, gdzie nastąpi proces odwrotny. To znaczy, kiedy to ciało będzie już dostatecznie odległe od Słońca, zostanie wprowadzona, dzięki odrzutowi umieszczonych na nim odpowiednio potężnych silników, korekta jego ruchu, wskutek czego rzeczona planetoida powróci z czasem do Ziemi.

Zespół Korycanskiego obliczył, iż po to aby Ziemia otrzymywała tę samą intensywność słonecznego promieniowania co obecnie, opisany manewr kosmiczny powinien być powtarzany co sześć tysięcy lat przez cały pozostający okres wzmagającej się radiacji Słońca. Dzięki temu za sześć miliardów lat Ziemia znalazłaby się w okolicy dzisiejszej orbity Marsa.

Scenariusz ów pobrzmiwa jak science fiction, ale obliczenia są wiarygodne, a technologia, na jakiej się opiera, może być osiągalna już za kilkadziesiąt lat. W związku z tym nasuwają się jednak cztery dodatkowe problemy.

Planetoida użyta dla tak zwanego „efektu procy” może zamiast minąć Ziemię, uderzyć w nią, a taka kolizja nie byłaby, przy zakładanej masie „pocisku”, szczególnie dla nas korzystna. Po wtóre, zmiana orbity Ziemi może zakłócić ruch innych planet naszego systemu w sposób trudno obliczalny, ponieważ jest to tak zwany problem wzajemnego oddziaływania wielu ciał. Po trzecie, najprawdopodobniej Ziemia utraciłaby po przedstawionej operacji swój Księżyc, co byłoby dla nas bardzo niekorzystne, ponieważ krążący wokół naszej planety Księżyc stabilizuje ją i chroni, pełniąc rolę kosmicznego żyroskopu. Uratować Księżyc można, ale wymagałoby to zużycia dodatkowych ilości energii. I wreszcie, po coraz potężniejszym rozbłyśnięciu, Słońce najpierw spuchnie, przekształcając się w tak zwanego czerwonego olbrzyma, a potem ulegnie zapaści i stanie się zimnym, bladym karłem gwiazdowym. Jeżeli nawet taka fatalność nie miałaby się stać końcem naszego systemu, to nie pozostanie nam już nic innego, jak tylko poszukanie sobie wśród bezliku gwiazd innego, młodszego Słońca.

2001

## **Kreacja przez destrukcję**

W 1982 roku, przebywając w tak zwanym Institute for Advanced Studies w Berlinie Zachodnim, napisałem między innymi cykl esejów *Biblioteka XXI wieku*. Obecnie pragnę wrócić do jednego z tych tekstów, zatytułowanego *Das Kreative Vernichtungsprinzip. The World as Holocaust*. Odnosił się on wówczas do Wszechświata, a w szczególności do ogólnej



reguły, zgodnie z którą powstają uporządkowane systemy, takie jak galaktyki, a w nich układy planetarne.

Skoncentrowałem się na zdobytej przez astrofizyków wiedzy, ustanawiającej wyraźną więź przyczynową pomiędzy potężnymi eksplozjami gwiazd supernowych a rozsiewaniem przez ich szczątki w wielkich obszarach Kosmosu tych wszystkich pierwiastków, jakie są niezbędne dla powstawania najpierw planet, a potem ustrojów żywych. Sprowadzona do maksymalnej zwięzłości, reguła ta powiada, że życie powstaje z gwiazdnych popiołów.

Obecnie uszczegółowione dociekania wykazały, że planety życiorodne zawdzięczają ową sprawczą potencję pierwiastkom z grupy węgla, wodoru, tlenu, siarki, fosforu oraz siadom cięższych metalicznych związków, uzyskanym dzięki takiej centralnej gwiazdzie, która w owe molekuly może je zaopatrzyć. Można też dokładniej i trochę inaczej powiedzieć, że gwiazdy umożliwiające powstanie planet ziemskiego typu muszą mieć właśnie taką, dość bogatą w metale, charakterystykę jak nasze Słońce. Są to tak zwane gwiazdy drugiej generacji, które pojawiają się w przestrzeni uprzednio nasycanej rozpięchłymi resztkami gwiazd pierwszej generacji, rozszarpanych przez eksplozje.

W tym właśnie związku domyślałem się przed dwudziestu laty uprawnienia do nazwy „kreacyjny holocaust”, skoro poprzednikami planetogenezy życiosprawczej są gigantyczne destrukcje gwiazd daleko wcześniejszych. Z grubsza biorąc, na ustaleniu tej więzi przyczynowej pomiędzy katastrofami prasłońc i powstającymi wokół na nowo rodzących się słońc pierścieniami mgławicowymi, w których powstają planety, zatrzymywała się moja ówczesna perspektywa, mająca ogarnąć związki i następstwa gwiazdnych kataklizmów. Nie były natomiast znane do ostatnich czasów przyczyny sprawujące kolejne fazy rozwojowe życia na naszej planecie.

Dzięki pracom paleogeologów i paleontologów dowiedzieliśmy się, że życie w swej najprostszej postaci prokariotów powstało zaledwie kilkaset milionów lat po ukształtowaniu naszej planety i skrzepnięciu jej powierzchni. Było także wiadomo, że potem, przez grubo ponad dwa miliardy lat, trwała jedynie perpetuacja najprymitywniejszych prakomórkowców, ale nadal nie było wiadome, w jaki sposób i czy w ogóle Kosmos zadawał już podówczas naszej planecie gwałtowne ciosy spadającymi na nią meteoritami. Geologia pozwoliła już z grubsza ustalić kolejność największych zderzeń Ziemi z takimi ciałami, z których każde było równoznaczne z zoocydem, czyli niezmiernie nagłą i gwałtowną zagładą gatunków, zarówno żyjących w oceanie, jak i potem na lądzie. Takich kolejnych trafień szczególnie ciężkiego kalibru Ziemia przeżyła kilka, a jedno z największych zaszło jeszcze w permie i wybiło moc prymitywnych organizmów w oceanach, natomiast nieznaną była zupełnie przyczyna, dzięki której powstała tak zwana wielka i prawie równoczesna kreacja zupełnie nowych gatunków żywych w kambrze, to znaczy około pół miliarda lat przed naszą erą.

Zupełnie niedawno rozpoczęto jednak nowe badania, które miały wykryć ślady pradawnych meteorytowych uderzeń na Ziemi. Nie było to zadanie łatwe, ponieważ czynniki zarówno geologiczne, a mianowicie tak zwana tektonika płyt, jak oceaniczne, a także kolejne zlodowacenia i wywoływane nimi zmiany oceanicznych i atmosferycznych prądów skutecznie maskowały pradawne kraterki, które powstały od meteorytowego bombardowania. Nowe dociekanie przyjęło za wstępne założenie podobieństwo częstości uderzeń w Ziemię i w jej księżyc. Ponieważ na Księżycu brak zarówno ruchów sejsmicznych, jak też wód oraz atmos-

fery, stał się on jak gdyby muzealną kliszą, na której utrwaliły się miliardoletnie bombardowania meteorytowe. Odległość między Ziemią a Księżycem jest astronomicznie znikoma, można zatem przyjąć, że częstotliwość ciosów, jakim były poddane obydwie te ciała niebieskie, była w różnych epokach bardzo podobna.

Okres, w jakim bombardowany był Księżyc, udało się ustalić selenologii, zarówno dzięki próbkom skalnym przywiezionym przez wyprawy amerykańskich astronautów, jak i na podstawie analizy fotografii Srebrnego Globu. Jak się Woźna było domyślić, stosunkowo młody Księżyc był pod bacznie gwałtowniejszym ostrzałem meteorytowym, aniżeli w bliższym naszej epoce czasie, ponieważ w Systemie Słonecznym stopniowo zaczął panować ład, jakiemu sprzyjał zwłaszcza Jowisz, pełniący podług astronomów rolę wielkiego śmieciarza naszego układu. Okruchy skalne, które jako meteory biją w Ziemię lub w Księżyc, pochodzą z pierścienia asteroidów znajdującego się pomiędzy planetami wewnętrznymi, typu Ziemi i Marsa, a wielkimi zewnętrznymi, typu Jowisza i Saturna. Na krańcach Systemu Słonecznego znajduje się tak zwana chmura Oorta, która również dostarcza względnie niewielkich ciał kometowego typu.

Po ustaleniu częstotliwości uderzeń w Księżyc można było przystąpić do poszukiwania ich ziemskich odpowiedników, dzięki specjalnej sejsmicznej służbie. Za pomocą wielkich tąpnięć, czyli gwałtownych uderzeń w skorupę kontynentów, wywoływanych odpowiednio przystosowanymi do tego zadania maszynami, udało się odnaleźć już niedostrzegalne na powierzchni Ziemi krater, ukryte pod młodszymi nawarstwieniami skalnymi, o rozmiarach co najmniej osiemdziesięciokilometrowej średnicy. Po tej serii wstępnych badań można już było narysować przebiegającą w czasie krzywą wyznaczającą częstość bombardowań tak Ziemi, jak Księżyca i okazało się wówczas, że wielkie ciosy zadawane z przestrzeni kosmicznej powodowały masową zagładę życia, dochodzącą do dziewięćdziesięcioprocentowej likwidacji istniejących gatunków. Zarazem po czasie astronomicznie krótkim, bo liczącym tylko dziesiątki tysięcy lat ziemskich, rozpoczynała się epoka powszechnej radiacji gatunków, jakie uprzednio nie istniały. Tym samym możemy już powiedzieć, że po każdej katastrofie planetarnego życia następował czas jego odnowy, i tym samym zmuszeni jesteśmy dostrzec przyczynową więź zagłady i kreacji, czyli kosmicznego holocaustu i biologicznej innowacji.

W nadzwyczajnym uproszczeniu obrazującym te zjawiska możemy sobie imaginować jakiś wielki kalejdoskop, który nie porusza się w przestrzeni, zawarte w nim elementy zaś ulegają gwałtownym przetasowaniom dopiero, kiedy podlegnie on potężnemu udarowi z zewnątrz. Wygląda bowiem na to, że życie trwało w fazie względnej prostoty prokariontów przez miliardy lat dlatego, że nic nie zniewoliło go do podjęcia przekształceń innowacyjnych i dopiero zagłada każdorazowo otwierała nową epokę gatunkotwórczej specjacji. W samej rzeczy obecnie widziałem już dwie krzywe rozpostarte na przestrzeni miliardolecia, z których jedna ukazuje zmienną gęstość meteorytowych ostrzałów Księżyca i Ziemi, a druga, prawie równoległa do pierwszej ujawnia, że w ślad za wielkimi zagęszczeniami owych bombardowań następowała nowa epoka rozwoju takich organizmów żywych, jakich do tej pory Ziemia nie znała.

W ten sposób statystyka katastrof, z których ostatnią znamy jako zagładę dinozaurów, wyjawia, jak biosfera bywała na przestrzeni eonów niejako zmuszana ślepych ciosami, pochodzącymi z Kosmosu, do wszczęcia nowych prac kreacyjnych. Krótko można to określić w

sposób właściwie aforystyczny, powiadając, że zawdzięczamy nasz byt, a więc nasze życie, kataklizmom nieziemskiego pochodzenia, które wytrzebiły dominujące gatunki epok poprzednich. Okazuje się zatem planeta jak gdyby przeraźliwym teatrem, zniewalanym do odgrywania przez buszujące na niej życie coraz to nowych wariacyjnych odmian, ponieważ po każdej epoce rozwoju określonej a ogromnej, ale wzajemnie współwegetującej liczby gatunków zapada ogniowa zasłona, po której przychodzi do kolejnego aktu stwarzania nowych form żywych.

Empirysta powie, że w ten sposób dostrzegamy statystykę naprzemiennych dramatów wielości życia zabijanego po to, ażeby z jego szczątków powstała epoka nowych form. Metafizyki mogłyby we właściwy sobie sposób wyinterpretować owe miliardolecia zagłady i narodzin, uznając każde zło każdego holocaustu za bezosobowy lub osobowy czynnik sprawczy następnego aktu egzystencji żywota ziemskich pokoleń. Może on nawet, dzięki takiemu oglądowi, nazwać sprawcą epokowych przemian nie po prostu ślepią statystykę losów wirujących odłamów okولوجwiedznej materii, lecz jakiegoś szatana. Trzeba przyznać, że i takiej interpretacji dziejów ziemskiego życia niepodobna lekką ręką przekreślić.

2002

## **Początek i koniec**

W ubiegłym wieku, po klęskach futurologii, pojawiło się porzekadło, że nic nie zmienia się tak bardzo jak przyszłość. Obecnie jednak okazuje się, że taka sama reguła obowiązuje w stosunku do przeszłości. Mam przy tym na myśli w obu tych przypadkach nie to, co skryte za dekadami, ani to, co składa się na historyczne dzieje naszego gatunku. Ambicje nasze urosły do tego stopnia, że usiłujemy pogłębić wiedzę o narodzinach Wszechświata, a jednocześnie przewidzieć jego dalsze losy.

Zadanie wysondowania zjawisk sprzed piętnastu miliardów lat jest niełatwe i dlatego wciąż ze sobą konkurują rozmaite hipotezy kosmogoniczne, pragnące ustalić, co było na początku. Ostatnio zaś rozzuchwaleni badacze nawet poczęli wysnuwać dość fantasmagoryczne koncepcje, ukazujące to, co było jeszcze wcześniej. Jedna z ostatnich takich wizji sugeruje, że wszechświaty w liczbie mnogiej mogą następować kolejno po sobie, aczkolwiek nie bardzo wiadomo, w jakim superczasie by się to odbywało, ponieważ każdy kosmos winien mieć czas własny, jako ograniczenie jego trwania od rozbłysku do zagaśnięcia w mrocznej nicości.

Dzieje naszego Systemu Słonecznego (szczególnie w wypadku Ziemi) są łatwiejsze do odtworzenia, jako element wszechświatowego ogromu. Wiemy, że nasze Słońce podtrzymujące życie na Ziemi, rozjarzyło się nuklearnie wiele miliardów lat przed jego narodzinami. Słońce, jako pożar jądrowy, spala wodór, obracając go w hel. Co najmniej półtora do dwóch miliardów lat będzie jeszcze gorzało ognisko słoneczne, rozgrzewające się w ciągu każdego stu milionów lat tak, że nasza ojczysta planeta będzie w tym okresie zyskiwała mniej więcej jeden stopień Celsjusza.

Kiedy Słońce obróci prawie cały swój wodór w hel, rozedmie się w tak zwanego czerwonego olbrzyma. Zanim jeszcze pochłonie ogniem najbliższe planety, takie jak Merkury i Wenus, przeciętna temperatura na Ziemi osiągnie tysiąc osiemset stopni. Wskutek tego

oceany zagotują się i wyparują. Powstała z nich para wodna rozłoży się na tlen i wodór, który umknie w kosmiczną przestrzeń. Rzecz oczywista, wszystko, co żywe, zginie znacznie wcześniej. Ziemska cywilizacja ma przed sobą jeszcze wiele milionów lat istnienia, o ile sama się nie zgładzi w jednym z samobójczych zamachów wojennych, do których ma taką słabość.

Można by powiedzieć, że stan Ziemi całkowicie już martwej nie bardzo powinien nas interesować. Jednakowoż uczeni nie mogą poprzestać na zamknięciu sprawy w momencie likwidacji życia. Podług najnowszych symulacji typu astrofizycznego, późny los naszej zmartwiałej planety nie daje się jednoznacznie określić. Rzecz w tym, że Słońce promieniuje kosztem swej masy i tym samym natężenie jego grawitacji będzie słabło. Jeśli tak, Ziemia — przy ciągnana coraz słabiej przez Słońce — będzie się od niego oddalała, wskutek czego może się znaleźć poza powierzchnią czerwonego olbrzyma słonecznego, nawet jeśli jego średnica wyniesie trzysta milionów kilometrów. Pocięcha tego co prawda niewielka, ponieważ nawet nietknięte przez rozpuchłe Słońce życie na Ziemi musi zniknąć.

Inne symulacje sugerują jednak, że ostateczny los planety sprowadza się do tego, że będzie ona po spirali zapadała się w czerwonym Słońcu i tym samym ulegnie definitywnemu zniszczeniu. Konkurujące ze sobą hipotezy nie przynoszą nam jednoznacznego opisu przyszłych dziejów naszego globu i schodzą się tylko w jednym punkcie: już za siedemset do ośmiuset milionów lat zaczną obumierać rośliny, co pociągnie za sobą zgon wszystkich gatunków zwierzęcych. Życie rozwijało się na Ziemi od niespełna czterech miliardów lat, czas zaś, w jakim będzie jeszcze mogło wegetować, jest daleko krótszy.

Nie musimy zbyt martwić się odległą o milionolecia perspektywą ziemskiego bytowania, ponieważ dręczące niedogodności egzystencji kumulują się już na naszych oczach. Jakkolwiek objaśnienie kolejności, w jakiej ziemskie życie będzie zamierało, nie wydaje się sprawą szczególnie pilną, możemy z pewnością orzec, że podobnie jak istnienie narodziło się pod postacią bakterii, zdolnych trwać miliardy lat w najcięższych warunkach, tak samo też bakterie będą ostatnią generacją organizmów żywych, wegetującą głęboko pod powierzchnią wyschłego i wypalonego globu, aż i one od słonecznego pożaru rozpadną się na atomy. Kwin-tesencja powyższego opisu jest prosta: wszystko, co miało początek, ma też swój koniec.

2002

## **Nowe fronty**

### **Szarańcza informacyjna**

Odkąd minęły upały, rankami znów przesiaduję z tomem słownika na kolanach. Wielki „Słownik warszawski” jest bez wątpienia przestarzały, lecz zarazem stanowi monument, bez którego trudno się obejść.

Nowy słownik PWN razem z suplementem, trzytomowy, nawet się do tamtego starego kolosa nie umywa. Wielozakresowe były przesiewania, czy wręcz zwyczajna cenzura, która asystowała porodowi nowego słownika. Wyrazów nieobyczajnych już w nim prawie że nie ma. A ten stary pouczał przede wszystkim, jak słabo znam ogrom bogactwa polszczyzny. Zresztą każdemu z moich słowników mam sporo do zarzucenia. Czterotomowy pol-

sko–niemiecki i niemiecko–polski to ma do siebie, że zarówno wydania peerelowskie, jak i najnowsze, prawie za każdym razem, kiedy chcę znaleźć odpowiednik polski takiego wyrazu niemieckiego, którego sens wprawdzie rozumiem, lecz dokładnej repliki w polszczyźnie nie znam, pozostawiają mnie bez odpowiedzi. Jaki odpowiednik ma *nachvollziehen* — nadal Pojęcia nie mam. Omówieniem, peryfrazą można oczywiście sens wyłożyć, ale brak zwieżłości jest brakiem celności. Już na tym niskim, leksykograficznym poziomie objawia się dylemat tłumaczy: dlatego znać biegle dwa różne wzmacniacze służące śmierci. A chociaż z tego obrazu wynika mi przeświadczenie o nieuchronnej deprawacji krótkiego zwarcia informacyjnego Wszystkiego i Wszystkich ze Wszystkimi, chociaż jeszcze dla wsparcia tych przeczuć nie dysponuję pełną realią dowodów, przeczuwam niedobre konsekwencje. Informacja jest znów jako wymiana wiadomości służących poznaniu — tylko awersem. Rewers nieodłączny od awersu to wielkie rozmiary przestępczości nowego typu. *Core Wars. Computer Crime*. Podśluchy, podglądania, szyfry, walki z inwazjami informacyjnymi, które uruchamiają anonimowe mocarstwa przez swoich szpiegów albo które stają się narkotykiem hakerów. Sama informacja staje się i poza seksem rodzajem odurzającego, labiryntowego narkotyku dla szyfrantów–deszyfrantów, a zatem po prostu paranoidalnych frantów. Tak, tego, że procedury podobne rakowato się wzmogą i rozprzestrzenia w czasach nadchodzących, boję się szczególnie.

Rzecz jasna, nie jestem wołającym na pustyni samotnym prorokiem informacyjnej szarańczy, bitowego potopu, gwałtów, kradzieży, oszustwa, przesilenia i totalnej falsyfikacji. Dostrzegając zagrożenia, czy też mądrzejąc po szkodzie, kolejne gromady instytucji oraz osób (zarówno prawnych, jak i fizycznych) zaczynają bronić się, zamiast archaicznych zamków szyfrowych i kodowania stawiając zapory *firewalls*, jako bariery filtrujące, które mają umożliwiać wypływanie własnych informacji w sieć światową, lecz powstrzymywać próbujące wniknąć do chronionego sedna informacyjne wytrychy. Tak zatem *cold war* zastępować poczyna *information war*. Być może coraz trudniejsze stanie się rozróżnianie ziarna od plew, prawdy od kłamstwa, danych autentycznie wzbogacających wiedzę od falsyfikatów, a przede wszystkim odsiewanie informacyjnego śmiecia. Wirtualne biblioteki, wirtualne domy towarowe stają się wirtualnymi labiryntowiskami. Nie wiem czemu, już teraz wykraczając poza obszar tych wszystkich elektronicznych zmagania, ideałem godnym ścigania i doświadczenia zdaje się fanatykom informacyjnej autostrady i jej bocznych odgałęzień (jak *cyberspace*) człowiek zamknięty w uszczelnionym kokonie elektronicznym, który z innymi ludźmi może się komunikować przede wszystkim za pośrednictwem Sieci, który poprzez przewody, dzięki pajęczynie elektronicznej, może, nie ruszając się z fotela, zastygły w jednym miejscu, zwiedzać kontynenty, nabywać, kupować, inwestować, poznawać innych ludzi, wieść z nimi dyskursy, grać w sto tysięcy rozmaitych gier i loterii, doznawać rozkosznych szoków na widok innopłciowej nagości, a wreszcie, jak to nazwałem ongiś, podlegać fantomatykacji.

I ta poczwarkowa, poczwarcza samotność, to dziwaczne jeszcze dla nas przedłużenie instrumentalne naszych wszystkich zmysłów, owo uwikłanie w Sieci do potęgi, do eksponencjalnych mocy, obiecujące jakiś osobliwy surogat wszechobecności i wszechspełnienia życzeń, ma jakoby doprawić nam byt — ci rzecznicy Wszechsieci nie powiadają — szczęściem, ale na to mi wygląda. Otóż nie wierzę w doszczęśliwienie tym wyrafinowanym rozpaczeniem zmysłów ludzkich, nie tylko dlatego, że (jak powiadają co trzeźwiejsi) kupić,

toby się kupiło, i sprzedać by można..., tylko jak bezpiecznie płacić elektronicznie, nie całkiem wiadomo...

Zresztą być może się mylę: nie głosiłem nigdy, że jestem nieomylnym przepowiadaczem przyszłości, owszem, dość skwapliwie starałem się przyznawać do popełnianych błędów, do chybień prognostycznych, do krótkowzroczności. Przyszłe stany rzeczy wyobrażałem sobie zbyt górną — może teraz w nazbyt głęboki pesymizm, w zaćmienie czarnowidzące się zagłębiłem...

1994

### *Cave Internetum*

Z Wiednia otrzymałem list, którego autorzy zauważyli pewne zdanie w wywiadzie danym przeze mnie „Spiegłowi” na temat antymaterii. Powiedziałem tam — może trochę lekkomyślnie — że znacznie mniej boję się antymaterii niż Internetu.

To ich zafrapowało, ponieważ wszyscy są Internetem zachwyceni i uważają, że nic już innego nie będziemy robić, tylko pływać i jeździć w jego sieci w tę i we w tę.

Spróbowałem więc — trochę na wyrost, wybiegając w przyszłość — zgrupować argumenty wspierające tamto zdanie. Internet stanowi dla mnie jedno ze zjawisk o czysto technologicznym charakterze, których dobry awers jest szeroko rozgłoszony i przez to lepiej widoczny niż mroczny rewers. Jako model, oczywiście prymitywny, wziąłbym olbrzymi dworzec kolejowy, z mrowiskiem torów prowadzących w różne strony, ze zwrotnicami, obrotnicami i innymi urządzeniami. Wyjeżdżają z niego setki pociągów. Myśl, że mogłyby być one napełnione wyłącznie sianem, bakami i grochem z kapustą, wydaje się nonsensowna; ważne jest, co wiozą i do kogo wiozą. Otóż Internet to spełnienie czysto komunikacyjnych marzeń, natomiast co się tyczy treści — rzecz się komplikuje.

Instytuty naukowe, uniwersytety, wielkie redakcje czy agencje prasowe na pewno mają z Sieci wielki pożytek. Ale skutecznie korzystać z niej mogą o tyle, o ile działają w obiegu zamkniętym. Jeśli natomiast — jak to się planuje — obieg otworzymy i sieć Internetu nie będzie miała żadnych ograniczeń, żadnego centrum ani kontroli (boję się wypowiedzieć słowo „cenzura”), to wtedy grozi nam nie tylko jakaś tam pornografia, ale otwiera się po prostu olbrzymi obszar kryminogenny. Skoro każdy, kto ma modem, telefon i komputer, może w każdej chwili rozmawiać z innym, to zaraz wkraczają rozmaite mafie, camorry, terroryści. W Sieci można, i specjaliści to robią, kraść tajne informacje czy numery kart kredytowych, jednym słowem: dokonywać oszustw na wielką skalę. Błyskawiczne przekazywanie danych bez żadnej kontroli z jednego krańca globu na przeciwny spowodować może trzęsienia kursów giełdowych.

Ja, niestety, nie wierzę, że *anima naturaliter christiana est*, doświadczenie uczy, że raczej człowiek człowiekowi wilkiem. Bardzo bym sobie życzył, żeby to nie było otwarcie wszystkich drzwi na oścież, żeby kontrola tej Sieci istniała. Dość bezzębne są jednak podejmowane w Niemczech próby eliminowania z niej pewnych treści, takich jak narodowy socjalizm czy terroryzm. Sieć sama w sobie nie jest rozumna, podobnie jak sieć telefoniczna; dla niej wia-

domość, że dziesięć bomb atomowych spadło na Japonię, ma tę samą wagę co informacja, że gospodyni stęchło jajko w lodówce.

Czytam w najnowszych wypowiedziach entuzjastów Internetu o możliwości dokonywania na odległość operacji chirurgicznych w gąszczach afrykańskiego buszu; wykonawcami będą miejscowi lekarze, ale dyrygentem — genialny amerykański chirurg, siedzący w swym gabinecie na innym kontynencie. I tu jednak coś tracimy — jak ktoś jest chory na cukrzycę i przychodzi do niego stary, doświadczony lekarz omnibus, to od razu poczuje lekki zapach acetonu, który wytwarza się przy kwasicy krwi. Internet żadnych zapachów nie przekaże i intuicyjna wiedza doświadczonego, dobrego lekarza schodzi tym samym ze sceny.

Większość zresztą traktuje rzecz całą jako zabawę czy grę — miło jest połączyć się ze znajomym i porozmawiać, nie ruszając się od biurka. Internet staje się w ten sposób rodzajem utysiąckrotnionego telefonu komórkowego, który obejmuje całą kulę ziemską. Nastęrcza się tu kolejna obiekcja, banalna, choć się o niej nie mówi: żeby z Sieci korzystać, trzeba znać alfabet łaciński i język angielski. Japończyk, Tajlandczyk czy Słowianin, co się posługuje cyrylicą, do Internetu ze swoim pismem ani mową nie wjedzie; nie istnieją żadne urządzenia przekąźnikowe, które by go tłumaczyły.

Najpierw musisz, bracie, nauczyć się dobrze angielskiego. Następuje rozcięcie ziemskiej populacji na tych, którzy tym językiem władają, i tych, którzy nim nie władają. Ta anglicyzacja szeroko się rozpościera i niepokoi mnie nie tylko ze względów lingwistycznych; chodzi o technologię, która jednych uprzywilejowuje, innych zaś poza nawias wyłącza.

Dochodzą kwestie czysto techniczne. Poszczególne adresy w Internecie składają się z bezsensownego sznureczka liter i cyfr. Póki chodzi o kilka tysięcy adresów — zmieszczą się w książce. Dziś jednak mówi się o czterdziestu milionach — to już nawet nie encyklopedia, ale cała biblioteka. Dawno temu wymyśliłem w *Wizji lokalnej* drogistów, którzy mierzyli informacyjną drogę, jaką trzeba przemierzyć, by się na przykład dowiedzieć, gdzie ktoś dokonał jakiegoś doświadczenia czy napisał książkę. Jak przed wielkimi tamami, które wodę spiętrzają dla elektrowni, umieszcza się filtry chroniące przed zamuleniem, tak i Internet powinien się bronić przed informacyjną powodzią. A twierdzenie, jakoby Internet mógł zastąpić księgarnie, biblioteki, książki po prostu — brzmi fatalnie. Trochę tak, jakby ktoś się zdalnie żenił, mając partnerkę na drugim końcu świata. Książka nie jest tylko przedmiotem — chce się ją wziąć do ręki, prze—kartkować, ot, jak ja z przedwojennym wydaniem *Ogniem i mieczem* teraz czynię.

Myślę też, że istnieją niebezpieczeństwa, o których nie mamy na razie pojęcia. Kiedy się pojawił pierwszy samochód, też nie przewidywaliśmy, co wyniknie z rozwoju motoryzacji. Każda technologia ma swoją ciemną stronę, z góry nieprzewidywalną. Nie neguję oczywiście pozytywnych stron Internetu — obiecują, że nawet wirtualna rzeczywistość będzie dzięki niemu częściowo dostępna. Nikt jednak nie pisze w sposób zborny i ogarniający wszystkie kategorie zjawisk o związanych z nim zagrożeniach. Bardzo się obawiam, że główną siłą, która z zaplecza Internet napędza, jest wielki kapitał. Inwestorzy spodziewają się dużych zysków, stąd próba przekonania wszystkich, że jak się podłączą do Sieci, to się rozpocznie szczęśliwa epoka w ich życiu. Ja natomiast widzę liczne zagrożenia, choć nie tknąłem nawet sfery politycznej, która i tu ma wielkie znaczenie. A więc — nie *cave canem*, tylko *cave Internetum*, takie jest moje osobiste stanowisko.

## Raju nie widać

Z niebezpieczeństwami, jakimi grozi zbyt gwałtowne wdrażanie nowych technologii, łączy mi się temat drugi, który w na poły maniackalny — a może nie całkiem maniackalny — sposób chciałbym znów podjąć. Chodzi o Internet.

Czytałem ostatnio książkę pani Heleny Eilstein — ona należała do kręgu filozofów, który rozpedzono, kiedy Kołakowskiego wyrzucono z Polski — *Homo sapiens i wartości*. Mowa tam jest między innymi o pewnych, nazwijmy to delikatnie, mankamentach marksizmu, sprowadzających się do tego, że człowiek, którego sobie Marks wymyślił, nigdy nie istniał. Nigdy nie było żadnego wyalienowanego rozmaitymi feudalizmami i kapitalizmami anioła, którego wystarczyło pozbawić wszelkiej własności, zwłaszcza prywatnej, by odzyskał pełnię anielskich cnót. Koncepcja taka nosiła piętno skrajnej utopii, a kiedy utopijne koncepcje wtłacza się ludziom, czyni się to zawsze na podobieństwo Prokrustesa i trzeba obcinać duże kawałki człowieka w sposób mniej lub bardziej krwawy, by do tych koncepcji pasował.

W przypadku Internetu analogię widzę w fakcie, że zastępuje on — nie w całej, ale dość szerokiej gamie — własność prywatną możliwością uzyskania informacji. Książki na przykład stają się zupełnie niepotrzebne! Pierwsi przerazili się wydawcy, bo zagrożone zostały wszelkiego rodzaju copyrighity — beletrystyczne, naukowe, muzyczne, plastyczne itd. Owszem, pojęcie własności uległo w naszych czasach pewnej amplifikacji i przerostom — byle świstek papieru podpisany przez Picassa albo oryginalne machnięcie pędzlem Michała Anioła warte są od razu miliony, podczas gdy najdoskonalszą nawet kopię, którą tylko garstka ekspertów potrafi odróżnić od oryginału, ocenia się bardzo nisko. Ale Internet powoduje skrajne wahnięcia w stronę przeciwną, i to, co sobie Marks w *Manifestie komunistycznym* zamarzył jako odebranie ludziom własności — czy mówiąc zwyczajnie: rabunek — można teraz łatwo zrealizować. Po cóż ci, bracie, encyklopedia, *Dziela wszystkie* Mickiewicza czy w ogóle jakiegokolwiek książki, wystarczy podejść do komputera, wystukać odpowiedni adres i wtedy Internet, za który płacisz ryczałtowo miesięczną, stosunkowo skromną opłatę, na ekran monitora wszystko ci rzuci.

Rozkosze życia właściwe bibliofilom i poszukiwaczom białych kruków, cała galaktyka Gutenberga, za jednym zamachem mają ulec unicestwieniu i anihilacji. Wizja ta nie tylko nie napawa mnie radosnym zachwytem, jak miłośników Internetu, ale wręcz budzi zgrozę. Nie potrafię sobie na przykład wyobrazić czytania ulubionego poety w ten sposób, że się przy łóżku, przy poduszce, postawi monitor komputera. Cała ta koncepcja zdalnego kontaktowania się z dowolnymi miejscami na Ziemi, zastępowania autentycznej obecności elektroniczną iluzją wydaje mi się dziwacznie skrzywionym nie dzieckiem, ale potworkiem i dziwolągiem zrodzonym przez technologię. I to potworkiem, którego czary osobiste i uroda są nam gorąco zachwalane.

Dodam też, że głucho wciąż o wielkich odkryciach i wynalazkach, które by nastąpiły dzięki interdyscyplinarnym zapłodnieniom myśli kreacyjnej za pośrednictwem Internetu, choć już lat kilka cała sfera osób i instytucji zachęca nas do podłączenia się do Sieci. Zawsze natu-



ralnie można w odwet słyszeć: poczekaj dalszych sześć lat, a zobaczysz. Nieufnie traktuję zapowiedzi błogich następstw gorszej rzeczywistości aktualnej: jeszcze Chruszczow zapewnił swoje społeczeństwo, a za pośrednictwem naszych bossów komunistycznych także i nas, że współczesne pokolenie dożyje komunizmu. Jakoś nie dożyło. Zapowiedzi takie chętnie są jednak słuchane, stąd trwanie na kuli ziemskiej obszarów, gdzie się myśl o komunizmie wciąż kołacze. Jak ludzie przestają wierzyć w możliwość rajy na Ziemi, to im się nijako robi, bo nie życzą sobie czekać, aż dopiero w Dolinie Jozafata zostanie im zagwarantowana komunია z zaświatem; chcą mieć raj już, zaraz, możliwie szybko i możliwie małym kosztem. Tymczasem jest raczej odwrotnie — rajy nie widać, a świat zdaje się pograżać w chaosie.

Kilkanaście lat temu zmarł futurolog, którego nazywano moją *bête noire*, pan Herman Kahn. Był między innymi autorem książki zatytułowanej *The Next 200 Years*; muszę powiedzieć, że z tego, co napisał, dokładnie nic się nie spełniło... Nadzwyczajna jest umiejętność chybiania rzeczywistości przez futurologiczne wysiłki. Nic to jednak instytucjom takim jak Rand Corporation nie szkodzi; instytucje, jak wiadomo, nie są tak śmiertelne jak jednostki, które je zakładały, instytucje mają bardzo twarde życie, ponieważ szkielet biurokratyczny podtrzymuje ich wegetację, a subwencje i dotacje rządowe dalej płyną. Futurologi zmieniają po prostu kurs, choć mało kto już daje im wiarę, a pełne optymizmu obrazy przyszłości jakoś osłabły. Ktoś słusznie powiedział, że nic się tak szybko nie zmienia jak przyszłość...

1996

## Skąd błąd?

W artykule zatytułowanym *Selling Evolution in a Way Darwin Never Imagined*, zamieszczonym na pierwszej stronie „The International Herald Tribune” z 30 października 2000 roku, Steven Pollack donosi o wkraczaniu sterowanej przez człowieka ewolucji w rozmaite obszary produkcji przemysłowej. Amerykańskie konsorcja, takie jak Maxygen, Diversa czy Applied Molecular Evolution, wprowadzają odpowiednie mutacje bakterii, zaprzęgając je do wytwarzania protein, które służą uzyskiwaniu różnorodnych produktów końcowych: od proszków do prania, poprzez nowe warzywa, aż po udoskonalone zwierzęta hodowlane. Prezes jednej z tych firm powiedział: „*you can do better than nature*”.

„Dogonić i przegonić naturę”: takie hasło sformułowałem w napisanej trzydzieści siedem lat temu książce *Summa technologiae*, która stanowi zbiór rozmaitych przewidywań dotyczących rozwoju technologii. Jedna z trzonowych prognoz przewidywała, że człowiek, czyli bezpośredni sprawca technologicznego postępu, prędzej czy później stanie się jego obiektem. Wydawało mi się, że *homo sapiens* — ostatni relik naturalnej ewolucji — ulegnie inwazji technologii w swój organizm, a może nawet i umysł. Obecnie wiele faktów świadczy o tym, że kierunkowskazy wspomnianej inwazji, którą nazwałem autoewolucją gatunku ludzkiego, urzeczywistniają się, na przykład opracowano już prawie kompletną mapę ludzkiego genomu.

Jednakowoż rację prognostyczną miałem tylko częściowo. Będąc z natury skłonny do rozważań teoretyzujących, uczyniłem z umownego bohatera rzeczony książki, Konstruktor, postać wyidealizowaną, oderwaną w pewnym sensie od rzeczywistości, której motywy

działania są poznawcze, szlachetne i nie mają nic wspólnego z ekonomią i finansami. W tym miejscu wyznaję więc moją naiwność, ponieważ w ogóle nie przychodziło mi do głowy, że tak zwane przeze mnie „projekty płodowlane”, czyli próby praktycznego wykorzystania osiągnięć genomiki, staną się rynkowym towarem. W USA na przykład fragmenty rozpoznanego genomu ludzkiego traktuje się na podobieństwo wynalazku uzyskującego odpowiedni patent, którego właściciele mają wyłączne prawo do jego produkcyjnej eksploatacji. Rozsądni krytycy powiadają, że w nowej postaci powraca obecnie zgoda na uprawianie niewolnictwa, ponieważ z poszczególnych fragmentów substancji dziedzicznej, odczytanych i rozszyfrowanych, można złożyć całość i ta całość mogłaby również podlegać opatentowaniu. A zatem jakkolwiek żaden normalnie przychodzący na świat człowiek nie może już zostać sprzedany w niewolę, nabytą własnością może się przecież stać dokładny plan jego budowy, zakodowany w genach. Otwiera się tutaj pole dziwacznych, a nawet koszmarnych możliwości, polegających na tym, że jakaś osoba prywatna lub jakieś konsorcjum nabywają patentowe prawa wyłączności do posiadania „molekularnego rysopisu” pani X albo pana Y i będą w prawie tak uzyskane informacje, jako licencje produkcyjne, sprzedawać. W niedalekiej przyszłości może powstać rynek genetycznej informacji, mogą pojawić się dealerzy i handlarze, a także biura obsługi zainteresowanych, gdzie można się będzie udać, ażeby zamówić sobie za odpowiednią opłatą, czyli mówiąc zwyczajnie, obstałować, ze wszystkimi uszczegółowionymi cechami, projekt bioarchitektoniczny dziecka.

Cały rynkowo—komercyjny aspekt przewidywanej przeze mnie autoewolucji umknął mojej uwadze. Zresztą dodam, że gdyby mi to nawet w latach sześćdziesiątych przyszło do głowy, nie odważyłbym się wspomnieć o merkantylnej stronie biotechnicznych osiągnięć, ponieważ byłyby to wtedy nawet dla mnie sprawa nad wszelki wyraz fantastycznie niewiarygodna. W ten sposób zgrzeszyłem przeciwko powszechnym i — zwłaszcza teraz — nieubłaganiemu panującemu nam prawom ekonomicznym, zgodnie z którymi wszystko może się stać towarem, podległym prawom popytu i podaży.

2000

## Genetyka

Panuje powszechne przekonanie, że rozszyfrowanie i opisanie ludzkiego genomu otworzy przed nami nieograniczone możliwości: będziemy mogli projektować nowych, coraz doskonalszych ludzi. Jednak zadania stojące przed inżynierami, czy też kompozytorami przyszłych genomów, których działalność nazwałem w jednym z utworów „pracą płodowlaną”, będą nie tylko niezwykle skomplikowane od strony naukowo—technicznej, ale również muszą podlegać ocenom i zakazom etycznym.

Każdy chciałby mieć piękne i rozumne dziecko. Nikt natomiast nie chce mieć za dziecko rozumnej i pięknej maszyny cyfrowej, nawet gdyby miała być sto razy bardziej inteligentna i krzepka od dziecka. Otóż program autoewolucji to śliska pochyłość bez zastawek, wiodąca ku otchłani nonsensów. Jest on w pierwszej fazie skromny: zmierza do usuwania genów zmniejszających żywotność, powodujących ułomności, mankamenty dziedziczne itp. Lecz tak wszczęte naprawy nie mogą się zatrzymać, bo i najzdrowsi chorują, a najmędrsi ulegają starc-

zemu marazmowi. Ceną za usuwanie i tych niedostatków będzie stopniowe odchodzenie od naturalnego planu budowy organizmu, utrwalonego ewolucyjnie. Tutaj pojawia się w autoewolucyjnym działaniu paradoks Łysego. Po wyrwaniu jednego włosa nie powstaje łysina i nie można wskazać, ile włosów należy wyrwać, żeby powstała. Zamiana jednego genu na inny nie przekształca dziecka w istotę obcego gatunku, lecz nie można wskazać miejsca, w którym powstanie nowy gatunek. Gdy traktować ustrojowe funkcje oddzielnie, usprawnienie każdej wyda się pożądane: krew odżywiająca tkanki lepiej od naturalnej, nerwy nie ulegające zwyrodnieniom, bardziej odporne kości, oczy, którym nie grozi ślepotą, nie wypadające zęby, nie głuchnące uszy i tysiąc innych cech cielesnej niezawodności warto by mieć ponad wszelką wątpliwość.

Lecz jedne udoskonalenia muszą za sobą pociągnąć inne. Spotęgowane mięśnie wymagają potężniejszych kości, a szybciej pracujący mózg — głębszej pamięci; gdy następny etap melioracji będzie tego wymagał, zwiększy się pojemność czaszki i jej kształt, aż nadejdzie czas, kiedy przyjdzie sam białkowy budulec zastąpić bardziej uniwersalnym, wtedy bowiem sprawności ustroju pójdą skokiem w górę. Ustrój niebiałkowy nie boi się żaru, promieniowania, przeciążeń astronautycznych; ustrój bezkrwawy, w którym utlenienie zachodzi wprost dzięki wymianom elektronów bez prymitywnego pośrednictwa krwiobiegu, o ileż mniej będzie uciążliwy i śmiertelny, i takimi przekształceniami rasa wykroczy poza nałożone na nią ograniczenia planetarnej łożyska.

Te kolejne kroki prowadzą wreszcie do istoty zbudowanej może bardziej harmonijnie, znacznie odporniejszej na przeciwności i urazy od człowieka, do istoty daleko bardziej wszechstronnej, rozumnej, chyżej, trwałej, w granicy nawet nieśmiertelnej dzięki łatwej wymianie zużytych organów i zmysłów, do istoty, która poradzi sobie z każdym środowiskiem i z każdą zabójczą dla nas sytuacją, która nie będzie obawiała się raka, głodu, kalectwa, uwiadu starczego, toż nie będzie się wcale starzała, i będzie to istota prawdziwie udoskonalona dzięki technikom poprawczym, przyłożonym do całej masy dziedziczności i do całego ustroju — z tym jednym zastrzeżeniem, że ta istota będzie akurat tak podobna do człowieka, jak maszyna cyfrowa lub traktor.

Skoro takiego miejsca, takiej nieprzekraczalnej granicy nie ma, po cóż właściwie te syzyfowe roboty, rozciągnięte na wiele pokoleń? Skoro dane pokolenie samo się nie przemienia, lecz wprowadza zmiany w potomstwo, czyż nie prościej i lepiej od razu usynowić maszynę cyfrową albo cały ośrodek obliczeniowy? Przecież rozłożenie optymalizacji na następujące po sobie generacje to zwykły kamuflaż, transakcja gatunkowego samobójstwa na raty, więc dlaczego by właściwie samozagłada na raty miała być czymś lepszym od natychmiastowej? Tylko ten, kto się godzi na usynowienie ośrodka obliczeniowego na nogach (czy też na poduszce raketowej), może bez obawy i zastrzeżeń rozpocząć preparowanie własnego potomstwa, skierowane ku doskonałości prawnuków.

Kto daje zgodę na autoewolucję, ten zgadza się na likwidację własnego gatunku i przejście cywilizacyjnego dziedzictwa przez istoty pod każdym względem nam obce. Ponieważ jesteśmy ułomni, śmiertelni, ograniczeni w myśli i w czasie, więc niechaj się zwolennicy perfekcji wyzbęda fatygi, za jednym zamachem adoptując całość myślącej technologii planety. Bo niby czemu miałyby nas zastąpić oddzielne jednostki systemowe, wszak jeszcze sprawniejszy będzie od nich planetarny krystaliczny mózg, nasz potomek, dziedzic i spadkobierca!

## Muzyka genów

Jak powszechnie wiadomo, Musorgski skomponował *Noc na Łysej Górze*, Ravel *Bolero*, a Chaczaturian *Taniec z szablami*. Wszyscy posługiwali się zasadniczo tymi samymi nutami. Nie budzi powszechnego zdumienia, że z paru gam powstały i mazurki Chopina, i symfonie Beethovena. Zdziwienie ma natomiast wywoływać fakt, że z czterech nukleotydów, będących pospólną własnością wszystkich istot żywych w ich zaraniu, powstały formy tak rozmaite, jak drożdże i człowiek. Jestem zdziwiony zdziwieniem tych, którzy się dziwią.

Mamy już teraz tylko trzydzieści tysięcy genów. Liczba ta stanowi według fachowców przybliżenie; kiedy robota pójdzie dalej, okaże się prawdopodobnie, że genów jest o kilka tysięcy więcej. Jeszcze przed rokiem uważano, że mamy ich osiemdziesiąt tysięcy, a niektórzy mówili nawet o stu dwudziestu tysiącach.

Jak to możliwe, żeby trzydzieści tysięcy „zdań” genowych wystarczyło do produkowania setek tysięcy i tysięcy rozmaitych składników? Geny dają początek pewnym aminokwasom, które zaczynają się do siebie w niewiadomy dokładnie sposób przystosowywać. Mamy jakby szkicowy plan katedry, ale poszczególne cegły czy kamienie posiadają — inaczej niż w architekturze — dodatkową zdolność dopasowywania się do kształtów, które są dane ogólnikową tylko prefiguracją.

Te same geny w rozmaitych konfiguracjach i zespoleniach mogą współtworzyć bardzo rozmaite cechy organizmu. Nie wygląda to na porządną robotę inżynierską: nikt przecież, budując dom, nie wznosi najpierw komina z drugim piętrem, a potem dopiero reszty, budujemy w sposób zaplanowany i uporządkowany. Tutaj zaś mamy porządek, który powstał z pierwotnego nieuporządkowania, sam siebie na ślepo wyłonił z chaosu.

Twierdzą, że jest około czterdziestu genów wyraźnie określonych, które są odpowiedzialne za kilka form epilepsji, za głuchotę, za rozmaite rodzaje ślepoty na kolory i za dystrofię mięśniową. Wszystkie geny, których ekspresja pojawia się dopiero po zakończeniu fazy osiagania dojrzałości płciowej i rozmnażania, nie mogą ulec usunięciu w sposób naturalny — selekcja naturalna już się ich nie ima. Stąd rozmaite przykrości, które, jak uczeni optymistycznie powiadają, niebawem się usunie.

Genów, które dają ekspresję określonych cech w organizmie w stosunku jeden do jednego, jest zresztą raczej mniejszość; w większości przypadków, na przykład jeśli chodzi o inteligencję, musi współdziałać duża ich liczba. Są one przy tym nastawione środowiskowo: na pytanie *nature or nurture*, natura czy wychowanie, nie ma jednoznacznej odpowiedzi, bo to trochę tak jak pytać, co lepsze, zupa czy pieczyście. Jedno bez drugiego na nic, dzieci chowane poza środowiskiem ludzkim mówić się nie nauczą. Jesteśmy socjalnymi stworzeniami bardziej, niż sądzimy.

To istotnie dziwaczne, że mamy pewne geny wspólne z bakteriami; prawdopodobnie nasi przodkowie parę ładnych milionów lat temu zostali przez te bakterie zainfekowani i one nam się jakoś do genomu wkradły. Genialny i zapoznany Olaf Stapledon, autor *Last and First*

*Men*, napisał dawno temu — była to oczywiście fantazja! — że jakieś zarazki z Marsa spowodowały najpierw straszną hekatombę na Ziemi, a potem ich resztki wniknęły do ludzkich genomów. Wynika stąd, że nie ma rzeczy tak dziwnych, by ich nie można było prekursorsko wymyślić.

Pisze się też o miejscach naszego genomu, które są czymś w rodzaju maleńkich pustyniek; nic tu jak gdyby nie jest zakodowane, czy jednak miejsca te mają jakieś znaczenie w naszym rozwoju, dowiemy się dopiero wtedy, kiedy ktoś odważny choć częściowo je usunie. Jest to problem poważniejszy od klonowania wujcia i cioci, chodzi o eksperymenty śmiałe, ale też i ryzykowne; należy się, niestety, obawiać, że do nich dojdzie.

Niektóre sekwencje „milczących” genów z tak zwanego „śmiecia” powracają jak sekwencje tonów w utworach muzycznych. Tam chodzi o stworzenie określonego efektu akustycznego: o co chodzi tutaj, nie wiadomo. Są uczeni, którzy sądzą, że te powtarzające się geny jakoś wspomagają powstawanie i powielanie się aksonów, rozgałęzień i rozdrzewień rozmaitych białek.

Wiadomo też już, że źródło różnic między nami a Murzynami czy rasą żółtą to dosłownie parę genów. W ogromnej ich masie jesteśmy natomiast jednorodni i ci, którzy opowiadali głodne kawałki o zasadniczych różnicach między nami a Cyganami albo Semitami i „Aryjczykami”, zawracali gitarę zupełnie nienaukowo. To były powierzchowne cechy nabywane na przestrzeni mniej więcej ostatnich stu dwudziestu tysięcy lat: pigment nadający skórze kolor ciemnobrązowy lub czarny chroni przed promieniowaniem ultrafioletowym; z kolei ludy dalekowschodnie narażone były na chłody, stąd nos ich zrobił się płaski, mniej skłonny do odmrożeń, kości policzkowe poszły w górę, a szpara oka pomniejszyła się, dzięki czemu gałka oczna jest lepiej chroniona przed mrozem.

Jeżeli porównujemy człowieka z organizmami prostymi, jak nicienie (to rodzaj robaków) albo mucha, zauważamy ze zdziwieniem, jak skromna garść innowacji genetycznych pozwoliła przejść od najstarszych form żywych organizmów do form wyższych i bardziej złożonych, przede wszystkim do kręgowców. Modny jest teraz saltacjonizm, mówi się o rozwoju skokowym. Zdaje się, że pewne radykalne zmiany gatunko-, gromado- czy rządowótworcze powstawały metodą jakby duplikowania się pewnych sekwencji genowych, które dawały progresywne szansę. Duplikacje zespołów genowych zadecydować miały o rozwoju układu krążenia, kluczowego dla istnienia kręgowców. U owadów tlen dochodzi do organizmu tylko przez tchawki; one w ogóle nie oddychają, dlatego nie mogą dorównać nam wielkością. Następna seria duplikacji dała początek całemu widmu hormonów i rozmaitych molekuł, dzięki którym poszczególne tkanki i komórki ciała ludzkiego potrafią komunikować się między sobą w organizmie i koordynują swoje czynności z daleko posuniętą precyzją. A jeszcze jednej saltacji zawdzięczamy stopniowy rozwój systemu nerwowego. Dyrektor National Human Genome Research Institute powiedział: Nazywaliśmy ludzki genom księgą życia, naprawdę jednak są to trzy księgi. Po pierwsze: książka historyczna, niesie bowiem bagaż świadczący o swoich dziejach — wszystko, co nie daje ekspresji letalnie szkodliwej, może się spokojnie przenosić z pokolenia na pokolenie. Po drugie: genom to roboczy podręcznik i lista części składowych, z których jesteśmy sporządzeni. Po trzecie: podręcznik medycyny sięgającej głębiej i doskonalszej niż dotychczasowa, medycyny na poziomie molekularnym.

Genom nasz zawiera powtarzające się kopie rozmaitych genów powodujących choroby. Są to jakby cieniowe możliwości, które wszyscy w sobie nosimy. Warto by je wyeliminować: kłopot w tym, że na przykład niektórzy z największych twórców, jak Dostojewski, cierpieli na epilepsję albo inne podobne schorzenia i nie wiadomo wcale, czy były one z ich geniuszem rozłączne. Nie chciałbym być ekspresowo pospieszonym eugenicznym genochirurgiem — to zajęcie ryzykowne.

Największy problem polega na tym, że potrzebne są tutaj doświadczenia na materiale embriogenetycznym. Brytyjski parlament uchwalił, że na poziomie blastocysty wolno jeszcze robić doświadczenia, Watykan uważa, że nigdy. Jedna rzecz wydaje mi się pewna: chwila, kiedy Stephenson postawił maszynę parową Watta na czterech kołach i zbudował pierwszą lokomotywę, była początkiem nieodwracalnego rozwoju kolei. Z chwilą gdy się rozszfrowało genom, dalszych badań nie da się zatrzymać — choć niosą one niebezpieczeństwa.

Ilość instytutów, które się badaniami genetycznymi zajmują, jest ogromna. Amerykańskie fachowe pismo „Science” i angielska „Nature” spierały się, kto pierwszy ogłosi dane o genomie. Wtargnął tutaj nieprzyjemny czynnik komercyjny, o którym dawniej w związku z nauką w ogóle — naiwnie! — nie myślałem. W dziedzinie tej pogrzebane są jednak miliardowe pieniądze, by wspomnieć choćby o farmakogenomice.

Ostatni potop publikacji dotyczących badań genomu przypomina mi to, co się w sporcie dzieje przy końcówce biegu, czyli tak zwany rzut na taśmę. Taśmą jest w tym przypadku Nobel i wszyscy się spieszą, aby tę nagrodę złapać. Nobli bowiem rozmnożyć się nie da, tak aby wszyscy byli usatysfakcjonowani.

Naukowcy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa i nie wiemy, jakie okropne Frankensteiny rzucą się teraz, aby wleźć na szczyty sławy. Na pewno jednak żyjemy w ciekawej epoce — po lądowaniu na Księżycu, po wyzwoleniu energii atomowej i po wyborach, z których wyniknął pan prezydent Bush. Nie dziwi mnie zasada, na jakiej zorganizowane są istoty żywe, dziwię się natomiast, że takich ciekawych czasów dożyłem.

2001

## **Sportowiec doskonały**

Groźne i wstrząsające wiadomości należy aplikować czytelnikom kroplomierzem. „International Herald Tribune” z 26 stycznia 2001 roku, opatrzony nagłówkiem *Sport i genetyka: pokąd patrzą inżynierowie genetyczni*, nie trzyma się tej zasady. Human Genome Project rozszyfrował naszą substancję dziedziczną, wznosząc kurtynę nad erą, w której ludzie będą mogli żyć dłużej i najprawdopodobniej będą dysponować środkami, które udoskonalą ich wielozakresowo. Chirurg belgijski Rodge głosi, że genetyczna rewolucja nie tylko pozwoli uzdrawiać w nowy sposób, ale będzie miała przerażające konsekwencje. Przerażające dlatego, ponieważ nasza wiedza biotechniczna rodzi moc etycznych dylematów. A w szczególności nadejdą przemiany, które będą miały nowy i potężny wpływ na arenę sportu, której patronuje Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Jak pisze dziennikarz wspomnianej gazety, przejście od tyczki do szklanego włókna przy skoku wzwyż albo od drewna do tytanu w kijach gol-

fowych jest niczym wobec czasu, w którym zejda ze sceny wszystkie skandale związane ze środkami dopingowymi w sporcie. Obecnie moralna problematyka w tej dziedzinie jest dość wyrazista. Można wykrywać atletów usiłujących usprawnić swoje osiągnięcia przez użycie zakazanych środków. Tym samym młodzi ludzie, którzy chcą się stać wybitnymi tenisistami albo atletami, są poddawani badaniom udaremniającym udział w zawodach wszystkim, którzy przekraczają to, co dozwolone. Lecz w przyszłości każdy będzie mógł dostać zastrzyk tak zmodyfikowanych genów, ażeby jego cielesne sprawności poważnie się spotęgowały. Doświadczenia tego rodzaju zostały już z powodzeniem przeprowadzone na mandrylach. Niewątpliwie manipulacje genetyczne dają nam olbrzymią szansę na pokonanie dotąd nieuleczalnych chorób i tym samym zmniejszenie ludzkich cierpień. Co się zaś tyczy atletów, będą oni mniej narażeni na urazy, ponieważ ich kości, ścięgna i mięśnie zostaną wzmocnione (już teraz można tego dopiąć przy chrząstkach). A w dalszej przyszłości rodzice będą mogli sobie wybrać i obstalować potomstwo spośród embrionów tworzonych dzięki sztuczemu zapłodnieniu, ażeby powstał szczególnie uzdolniony (a tym samym nagradzany) atleta. Jeżeli czarnoskóra Venus Williams może zarobić na tenisie czterdzieści milionów dolarów w przeciągu pięciu lat, to jak wiele ona mogłaby otrzymać od firmy biotechnicznej za sprzedaż praw do jej kodu genetycznego? Co więcej, jeśli się pojawi nowa gałąź super—atletów zdolnych do obrócenia rekordów ludzi powstałych po staremu po prostu w nicość, to czy publiczność będzie w ogóle chciała patrzeć, jak ci supermani zabawiają się sportem?

Jedno jest pewne: sportowe autorytety nie będą w stanie rozpoznawać atletów udoskonalonych genetycznie, ponieważ żadne badania moczu lub krwi nie wykryją spotęgowanej mocy mięśni lub ścięgien. Jak powiada ekspert, opisana tutaj przyszłość czeka światowy sport mniej więcej za dziesięć lat. Co prawda, ażeby wyklonować idealnego sportowca przyszłości, nawet gdyby to prawnie było dozwolone, trzeba by czekać dwadzieścia pięć lat, by taki doskonały twór dojrzał. Odpowiednio motywowani rodzice będą w stanie zamówić embrion posiadający najlepszy potencjał atletyczny (i finansowy). Mówi się nawet o tym, że w dalszej przyszłości pojawią się dwa typy elitarnych sportowców: naturalni i usprawnieni genetycznie, co w jakimś sensie może odpowiadać przeciwstawieniu wagi piórkowej i ciężkiej.

Bardzo wiele rzeczy dotąd nie spełnionych zawiera powyższy artykuł. Lecz mogącą nas uspokoić ogólnikowość sportowo—futurolologicznych wizji przekreśla kolejny artykuł, umieszczony w cytowanym już piśmie. Mianowicie pewien lekarz, którego nazwisko gazeta notabene podaje, oświadczył, że zamierza wyklonować człowieka i że w związku z takim postanowieniem już rozgląda się za wszystkimi niezbędnymi rzeczami, które umożliwią mu realizację jego projektu. Ta okoliczność, że na terenie USA klonować ludzi nie wolno, nie zakłóca owemu doktorowi snu, ponieważ nie wyjawiał, ani gdzie, ani przy czyjej pomocy będzie urzeczywistniał swój zamysł. Schematycznie możemy już sobie wyobrazić dwuczęściowość takiej operacji: kobiece jajeczko należy zapłodnić *in vitro*, a potem zapłodnione wprowadzić w głąb macicy niewiasty, która rozwijający się embrion wynosi aż do porodu.

Mam nadzieję, że pana doktora wsadzą do kryminału wcześniej, zanim rozpocznie publicznie zapowiadaną działalność. Zarazem obawiam się, że pokusa wyklonowania egzemplarza naszego gatunku będzie z upływem czasu rosła i być może już w pierwszej połowie nowego stulecia pojawią się młodzi ludzie, oświadczający, że zostali wyklonowani. Ustalenie, czy głoszą prawdę, czy też kłamstwo, może się okazać nadzwyczaj trudne.

## Autoewolucja

Dwa wielkie zespoły biologów, częściowo ze sobą rywalizujące, a częściowo współpracujące, prawie równocześnie sporządziły mapę substancji dziedzicznej człowieka. Jeszcze nie wszystko na tym szkicu, który zajął mi całą jedną ścianę pokoju, zostało dokładnie wyjaśnione i rozszyfrowane, lecz autorzy epokowego projektu, nazwanego *Human Genome Assembly*, w licznych naukowych pracach wypełniających ostatnie numery periodyków, jak „Nature” oraz „Science”, zapowiadają początek zupełnie nowej ery wszechpotężnej inżynierii biologicznej. Będzie się na nią składała farmakogenomika, czyli technologia produkcji takich leków, które z absolutną celnością i skutecznością zlikwidują warunkowane genetycznie ułomności naszego organizmu, usuwając z łańcuchów dziedzicznej substancji szkodliwe geny. Będzie to także historiografia genowa, czyli rozpoznawanie śladów miliardolentnych szczątków genowych, jakie odziedziczyliśmy po najstarszych, jednokomórkowych organizmach. Zaawansowana inżynieria ma zrewolucjonizować przemysł spożywczy (produkcja jadalnych białek czy transgenicznej żywności), farmakologię (drobnoustroje wytwarzające insulinę), kopalnictwo, rolnictwo, ochronę środowiska, medycynę.

Pracom naukowców towarzyszy wielkie zainteresowanie mediów, prezentujących pierwsze kroki w labiryncie genów jako sensację dnia, obiecujących na tej podstawie wszystkim zdrowie, szczęście, wszelakie satysfakcje, wraz z nieśmiertelnością na dokładkę. W niniejszym felietonie nie zamierzam się jednak poświęcić prostowaniu niezliczonych fantazmatów dziennikarskich, mających zadziwić szeroką publiczność.

Zdumiewający fakt rozpoznania poszczególnych liter alfabetu życia stał się jednocześnie, jak to zwykle bywa, pożywką dla działań wysoce nieodpowiedzialnych. Oto już zgłosili się samozwańczy chirurgowie genetyczni, gotowi klonować ludzi, jeden z nich zaś udziela wywiadów, w których chełpi się swoimi zamierzeniami, mającymi umożliwić uzyskanie potomstwa małżeństwu niezdolnym do płodzenia dzieci w sposób naturalny. Uczony ów zastrzega się jednak, że nie może podać kraju, miejsca ani metody klonowania, jakiej użyje, ponieważ mogłoby to nań ściągnąć wiele przykrości natury penitencjarnej. Tak to już jednak zawsze bywało w ludzkiej historii, że autentycznym, znamienitym i wielkim osiągnięciem, czy to w nauce, czy w sztuce, towarzyszy pojawianie się wielu osobników usiłujących przyodziać się skrawkami zapożyczonej sławy.

Bez względu na to, jakie będą praktyczne efekty rozpracowania ludzkiej substancji dziedzicznej, jedno jest pewne: przyniosą one miliardowe majątki instytucjom i kompaniom, które zaangażowały się aktywnie, to znaczy finansowo, w badania. Rozwój życia ludzkiego może się stać przedmiotem obrotu towarowego i może być eksploatowany w celach handlowych. W różnych państwach legislacyjne fronty, jako pakiety pośpiesznie uchwalanych ustaw i uprawnień, starają się dogonić i unormować postęp biotechnologii. Życzylbym sobie, ażeby się udało dokonać takiej jednorodnej regulacji w światowym wymiarze ponieważ każda zwłoka na tym froncie może wiele kosztować ludzkość, gdyż, jak mówili starożytni Rzymianie, *periculum in mora*. Sądzę jednak, że bardzo niewiele pomoże taka ograniczająca sa-



mowolę autoewolucjonistów legislacja, ponieważ każdorazowo sprawdzała się w ludzkiej historii teza głosząca, że technologia jest niezależną zmienną cywilizacji. Nie możemy zakrywać odkryć. Nie da się już zabutelkować i zakorkować energii atomowej. Niepodobna również, bez względu na wzrost kosztów, powstrzymać dalszego biegu wypraw pozaziemskich człowieka, czyli astronautyki. Musimy się zatem obawiać, że przerabianie dziedziczności ludzkiej stanie się zaiste tym, co ongiś nazwałem „inżynierią płodowlaną”. Pisałem o niej dawno, a więc bezwinnie, ponieważ nie roіło mi się ani na jawie, ani w snach, że dożyję jej prawdziwych początków.

W każdym razie należy sobie uświadomić, że w tej zupełnie nowej dziedzinie, jaką jedynie ogólnikowo mogłem naszkicować, znajdujemy się na samym wstępie niewiadomych prac i dokonań. Mówiąc obrazowo, stoimy jak gdyby na obrotowej tarczy, z której prowadzi wiele rozchodzących się szlaków w przyszłość. Pewne docelowe efekty obecnych odkryć są wprawdzie bardzo mocno zarysowane, ale ze spokojnym sumieniem rzecz można, że nic pewnego, a zwłaszcza nic szczególnie dobrego ze zbioru przyszłych rezultatów nie jest nam teraz wiadome.

2001

### **Pod kuratelą podkoszulka**

Pewien superspecjalista od mikrosystemów, nazwiskiem Joy, w artykule w magazynie „Wired”, a także na seminarium podczas ostatniego ekonomicznego forum w Davos, oświadczył, że zagraża nam — cywilizacji ludzkiej — zagłada, niebezpieczeństwo zaś nadchodzi od strony nauki. Domagał się więc, by zastopować badania w wielu jej obszarach.

W trzech zwłaszcza dziedzinach wiedza zakumulowała się jego zdaniem tak, że stanowi bezpośrednio zagrożenie dla ludzkości. Są to: inżynieria genetyczna, nanotechnologia i robotyka, wszystkie uzależnione od komputerów. Projektowanie coraz doskonalszych komputerów doprowadzi do tego, że w roku 2030 będziemy zdolni budować maszyny milion razy potężniejsze aniżeli tak zwane pecety, *personal computers* dnia dzisiejszego. Największe niebezpieczeństwo upatruje pan Joy w możliwości samoreplikacji artefaktów. Będą się one rozmnażały bez jakiegokolwiek interwencji ludzkiej i w końcu uwolnią się spod naszej kontroli. Stąd ów apel db uczonej, a także postulat wprowadzenia surowego kodeksu etycznej odpowiedzialności oraz przysięgi odpowiadającej przysiędze Hipokratesa. Uczeni — mówił ów pan — powinni mieć odwagę, by nawet z uszczerbkiem dla własnej sławy przerwać niebezpieczne działania, wyciągając wnioski z nauki danej nam przez bombę atomową i wyścig zbrojeń.

W żywej dyskusji uczestniczyło kilka tuzinów wybitnych naukowców i wszyscy oświadczyli, że pesymizm aż tak eschatologiczny jest niezasadny, argumenty za przerwaniem badań naukowych mało sensowne, a poszukiwanie prawdziwej wiedzy stanowi raczej cnotę. Nie zgodzili się ze zdaniem, że roboty obdarzone sztuczną inteligencją mogą wyeliminować ludzi, ani z tym, że innowacje genetyczne oraz molekularne urządzenia przekształcą się w straszliwą

broń. Rzecznik owej całkowitej likwidacji nauki oświadczył jednak, że zgodnie z zasadami demokracji ma prawo do wygłaszania swoich mniemań, a on widzi przyszłość czarno.

To jedna strona medalu; Flora Lewis, znana dziennikarka amerykańska, za którą referuję poglądy pana Joya, uważa, że chodzi tutaj o najczystsza utopię w sensie negatywnym. Wahadło może się jednak wychylić i w drugą stronę. Jeżeli ktoś czytał moją *Wizję lokalną*, pamięta być może, co tam pisałem o etykosferze, bystrach i czujnikach bystrowych. Teraz okazuje się, że podobne pomysły są już przedmiotem badań w laboratoriach MIT, czyli Massachusetts Institute of Technology, a ich praktycznym zastosowaniem zajmują się projektanci płci obojga.

W „New Scientist” czytam więc o „odzieży, która będzie myślała, opiekowała się tymi, którzy będą ją nosić, i kierowała ich zachowaniem”. Istniejące dziś komputerowe przyczepki czy czujniki, które można umieścić przy pasku, to już starocie. Elektroprzewodzące włókna polimerowe z dołączeniem pewnych związków srebra stanowią podstawę dla nowych tkanin, które będą mogły wytwarzać energię elektryczną — albo bezpośrednio korzystając z ciepła organizmu ludzkiego, albo, w sposób trochę odmienny, z nasłonecznienia, albo też z umieszczonych w obcasach butów mikrouządzeń, działających jak tłoki w cylindrze.

Odzież uszyta z takich tkanin zmierzy nam tętno, ciśnienie krwi, potliwość, będzie też zważać na to, czy znajdujemy się w wesołym miasteczku, czy na przykład w kościele. Kiedy potrzebować będziemy skupienia, nie dopuści, by dochodziły do nas sygnały w rodzaju poczty elektronicznej, a przesłane wiadomości zmagazynuje w podkoszulku. Bielizna działać będzie odwaniająco i bakteriobójczo, dzięki nanometrycznym polimerowym komórkom zawierającym odpowiednie preparaty. Może też ona wydzielać rozmaite wonie, w zależności od tego, czy jej nosiciel stara się na przykład o posadę, czy też wybrał się na randkę z niewiastą; zapach petenta czy też absztyfikanta nastawi drugą stronę odpowiednio korzystnie. Równocześnie odzież nasza zmieniać będzie kolory i ornamenty — o tym pisałem już w *Powrocie z gwiazd*. W dni słoneczne będzie różowa, o zachodzie słońca trochę pociemnieje...

Co najważniejsze, nie będzie ona wyrzaskiwała swemu posiadaczowi żadnych rozkazów, urządzenia wszyte w kołnierzyk będą tylko naszeptywać pewne sugestie. Kiedy ktoś na przykład straci orientację w wielkim budynku, czujniki jego odzieży — może gaci, nie wiem — rozpoznają otoczenie, by poprowadzić właściciela we właściwą stronę cicho i łagodnie. Niekoniecznie słowami; jeśli człowiek chciałby iść na lewo, a powinien pójść na prawo, wówczas prawa strona koszuli zrobi się cieplejsza, podług wiadomości behawiorystów bowiem reagujemy podświadomie na tego typu wskazanie. Od łagodnego opiekuństwa przechodzimy więc powoli pod kuratelę koszuli, podkoszulka, kalesonów i skarpetek, które, jak przypuszczam, będą wydzielały wonie szczególnie przyjemne.

Tyle „w największym uproszczeniu: „New Scientist” opisuje także z nadzwyczajną dokładnością, jakie niebywałe uciechy, w tym seksualne, czekają nas dzięki rozumnej bieliźnie. Już nie sam człowiek decydować będzie, kto zostanie jego życiowym partnerem, ale jego odzież dokona wstępnej probabilistycznej oceny, otaksuje, ustali, stwierdzi... Dostrzeże też początki schorzeń neurologicznych, podwyższone ciśnienie krwi albo pierwsze objawy cukrzycy. Poprzez skórę wsączy w organizm potrzebne leki, gdyby zaś to się okazało niedostateczne, zwróci się do odnośnych ośrodków.

Artykuł traktuje rzecz serio i opisuje ją w tonacji bardzo pozytywnej. Badania podobne toczą się na dużą skalę także w Japonii, a pierwsze sztuki rozumnej odzieży, produkowane w krótkich seriach, można już nabywać w cenie od sześciuset do kilku tysięcy dolarów. Osobiście zrezygnowałbym z przyodziewku, który by się do tego stopnia interesował moją osobą. Widzę w tym zamach na naszą suwerenność i wolną wolę. Że pod wpływem podszeptów koszuli nie zachowasz się nieprzyzwoicie, to jeszcze pół biedy, trudno jednak nakreślić granicę, za którą delikatna sugestia podkoszulka zmienia się w subtelnie podawane musy. W *Wizji lokalnej* wszystko już okazuje się zbystrowane i decyzje etyczne nie wynikają z wewnętrznej zasady moralnej, tylko płyną z zewnątrz.

Niezależnie od dwóch cytowanych tutaj źródeł dodaję, że istnieje możliwość wszczepiania podskórnie maleńkich chipów, dzięki którym dany człowiek może zostać poddany kontroli zarówno od strony jego fizjologii, jak i jego ruchów oraz działań. Nad nami, jak anioły stróżę, będą krążyły satelity dokonujące takiej identyfikacji. Mrowiskowe komputerowisko przyszłości wydaje się najzupełniej realne. Wedle tych, co o nim piszą, stanowi normalny bieg rzeczy: robimy to, czego nasi pradziadowie nie mogli, a nasi wnukowie zrobią to, czego my sobie jeszcze nie potrafimy wyobrazić. Na tej drodze czają się liczne niebezpieczeństwa. Nauki zamrozić się nie da, nie miałbym jednak nic przeciw temu, żeby powstała grupa niezależnie wykształconych naukowo śledczych i detektywów, którzy by poszukiwali rozmaitych szalonych doktorów Frankensteinów i uniemożliwiali im klonowanie ludzi, przeszczepianie głów czy też realizację innych obłądnych pomysłów.

Jesteśmy — wraz ze mną — bardzo zapóźnieni. Nie tylko front legislacyjny wlecze się za frontem najnowszych odkryć naukowych i technologicznych, także ludzka reaktywność i świat naszych emocji za nimi nie nadąża. Z apeli wspomnianego na początku superinżyniera nic oczywiście nie wyniknie, rozumiem jednak lęki, z których płyną podobne reakcje. To, co zachwyca Amerykanów, mnie nie zachwyca. Być może w gustach moich jestem staromodny; to, co pisałem po rozmaitych *Wizjach lokalnych*, uważałem za puszczenie wodzy fantazji, nie za możliwość, której realizacji się doczekam.

Był u mnie niedawno rosyjski specjalista od komputerów i pyta: — Dlaczego przestał pan pisać science fiction? Przestałem, odkąd zauważyłem, że to, co traktowałem z lekkiej ręki, jako fantazję, zeskała się w rzeczywistość, oczywiście nie tożsamą z płodami mojej wyobraźni, ale jakoś do nich podobną. Uznałem, że trzeba zastosować powściągi, bo jeszcze domyśle się czegoś takiego, co mi się już całkiem nie będzie podobało.

2001

## Nieśmiertelność

Artykuł Davida Ignatiusa, którego tytuł w wolnym tłumaczeniu brzmi „Nauka daje nadzieję na nieśmiertelność” (*Science is Warming to Intimations of Immortality*, „International Herald Tribune”, 9–03.2000), otwiera pytanie: co będzie przyczyną zgonu za sto lat od dnia dzisiejszego? Jeśli wydaje wam się, że odpowiedź jest oczywista, to znaczy, że nie doce-

niliście rewolucji zachodzącej w biotechnologii. Podstawową przyczyną śmierci w niedalekiej przyszłości staną się nieszczęśliwe wypadki, morderstwa lub wojna!

W XXI wieku, wobec rozmnożenia się instrumentów „regeneratywnej medycyny”, ciało ludzkie będzie mogło trwać bardzo długo. Przypadłości obecnie zabójcze — choroby serca, nowotwory, choroba Alzheimera, nawet sam proces starzenia się — staną się jedynie przykrymi wspomnieniami naszego gatunku.

Jak dotąd, uczeni byli pewni, że materiał komórkowy, z którego zbudowane są nasze ciała, musi się zużyć. Bez względu na osiągnięcia w leczeniu nowotworów albo chorób serca, człowiek nie może żyć dłużej niż sto dwadzieścia lat, toteż nieśmiertelność przemieszczała myśl człowiecza w obręb utwierdzanych religiami zaświatów. Biotechnologowie twierdzą jednak, że nowe typy terapii medycznej strzaskają obowiązujące dzisiaj granice życia. Zgodnie z opublikowanymi przewidywaniami, w drugiej połowie XXI wieku medycyna osiągnie takie postępy, że ludzie będą mogli otrzymywać dawkę komórek macierzystych zdolnych odtwarzać rozmaite narządy. Komórki te, w biologicznej nomenklaturze *totipotentne*, znajdują się w zapłodnionym jajeczku i z nich wykształca się żywa całość ludzkiego ustroju.

William Haseltine, uczony, który prowadzi biochemiczne laboratorium farmakologiczne w Bostonie, przedstawia dalszą drogę rozwojową lecznictwa, zmierzającego do immortalizacji człowieka. Dzisiaj, powiada on, umiemy zastępować zużyte stawy kolanowe albo biodrowe, lecz w XXI wieku będziemy umieli produkować repliki narządów ludzkich, używając materiałów kształtowanych z dokładnością do atomowej tolerancji. Lista owych mikroprotetycznych urządzeń biegnie od sztucznych żył do siatkówek oka, a nawet do sztucznej pamięci, przechowywanej w chipach zbudowanych tak jak neurony. Początek owej przyszłości można obejrzeć w Rockville, gdzie kompanie biotechniczne rozmnażają się z szybkością bakteryjnych kultur. Kompania pana Haseltine, Human Genome Sciences, wykorzystuje taśmę produkcyjną nadzorowaną przez roboty, co obraca stare biologiczne laboratorium w coś w rodzaju wytwórni dorożek. W jednym skrzydle szeregi maszyn dokonują „rozszyfrowania” nukleotydowych spirali ludzkiego genomu. Jak dotąd, zbadano dwa miliony fragmentów genowych, a z nich wyizolowano sto dwadzieścia tysięcy różnych genów. Pośród nich znajdują się „molekuły sygnałowe”, które stymulują inne komórki do wzrostu, do przemiany albo śmierci i dlatego mają szczególną własność jako potencjalne leki.

Autor tego artykułu powiada w zakończeniu, że jest zarazem rzeczą wspaniałą i przerażającą wyobrazić sobie działanie nauki zdolne do podważenia, a nawet unicestwienia najbardziej podstawowego procesu egzystencji człowieka — starzenia się (senilizacji). Na tej drodze jest jeszcze bardzo wiele przeszkód do pokonania, lecz kierownik zakładów biotechnicznych powiada na końcu: oto po raz pierwszy możemy sobie wyobrazić nieśmiertelność człowieka.

Powyższe nadzieje zdaje się potwierdzać prestiżowe czasopismo naukowe „Scientific American”, którego cały numer jest poświęcony narodzinom inżynierii tkankowej, mającej umożliwić hodowlę nowych narządów, jak serca, wątroby, nerki, rozwijających się w środowisku sztucznym z komórek pobieranych najpewniej z tak zwanych embrioblastów. Na razie badania znajdują się we wczesnej fazie eksperymentalnej, ale dopiero jeśli ruszyły z przyspieszeniem równym innym dziedzinom współczesnej nauki, wolno by mieć nadzieję na

osiągnięcie immortalizacji człowieka, którą pióra amerykańskich dziennikarzy już dzisiaj ściągają na łamy prasowe, obiecując nam osiągnięcie indywidualnej nieśmiertelności.

Wszystkie procesy, z jakich składa się streszczona powyżej wizja biotechniczna, można sprowadzić do zastępowania zużywających się elementów organizmu — nowymi. Problem w tym, że każde życie, a więc nie tylko ludzkie, ma za fundament procesy nieodwracalne w czasie, które jednocześnie są motorem napędzającym ewolucję. Już noworodek w momencie przyjścia na świat niesie w sobie widoczne dla fachowca znamiona przyszłej śmierci. Dlatego bardzo trudno wyobrazić sobie odwrócenie biegu normalnych procesów metabolicznych, które dopiero otworzyłyby nam drogę do nieśmiertelności. Gdyby taki zamysł mógł się powieść, oznaczałby moim zdaniem największy triumf człowieka, będący równocześnie zwycięstwem nad podstawowymi regułami ewolucji.

2001

## Splątany kłębek

*Straszliwa prawda* — taki jest tytuł artykułu w „New Scientist”, którego treść dla entuzjastów klonacji stanowić powinna zimny prysznic.

Na razie tylko zuchwali szaleńcy mówili o klonowaniu ludzi, natomiast specjaliści od hodowli bydła liczyli już na przemysłowe klonowanie wzorcowych byków i krów. Rozpoczęto poszukiwanie najznakomitszych przedstawicieli trawożernych; była na przykład jakaś Zita, krowa jedna na milion, dająca nadzwyczajną ilość mleka. Spodziewano się ogromnych zysków. O wyklonowanych befszytkach na razie nie ma jednak mowy. Przyczyną są dosyć powszechne, choć nie wiadomo jak powstające uszkodzenia na drodze przekazywania genomów zwierzętom klonowanym. Rzeczywiste rozmiary tego problemu były dotąd utajone.

Już niejaki pan Da Silva przestrzegł, że stwarzanie wyklonowanych, a więc tożsamyh genetycznie zwierząt byłoby prawdziwym nieszczęściem, oznaczałoby bowiem całkowity zanik różnorodności genetycznej, z nieprzewidywalnymi skutkami także w dziedzinie epizootii, czyli masowych schorzeń, łan Wilmut — ten, który wyklonował owieczkę Dolly — zwrócił z kolei uwagę, że klonowanie bydła w skali przemysłowej i ewentualne wprowadzenie na rynki uzyskanych w ten sposób produktów mięsnych bądź mlecznych musi zostać poprzedzone surowo kontrolowanymi próbami na wybranych farmach. Musimy mieć bowiem gwarancję, że żywność pochodząca z klonowania będzie w pełni bezpieczna. Kloniści powinni też przeprowadzać systematyczne porównania pomiędzy klonami a zwierzętami, które powstały normalną drogą.

Na razie jednak, w cztery lata po narodzinach Dolly, klonowanie wciąż pozostaje straszliwym marnowaniem zwierzęcego życia. Duża część cieląt–lonów ginie jeszcze w łonie krów, inne rodzą się przedwcześnie albo noszą piętno okropnych deformacji.

Artykuł w „New Scientist” wylicza konkretne przykłady takich patologii. Choćby łożysko wypełnione płynem objętości sześciokrotnie większej niż podczas normalnej ciąży. Przy porodzie cielę wyglądało normalnie — muczało, zaczęło oddychać, próbowało stanąć na nogach. Były to jednak objawy łudzące, gdyż poziom nasycenia krwi tlenem okazał się

zaledwie jedną trzecią normalnego i mimo prób ratunku nieszczęsne ciele bardzo szybko zdechło. Płuca jego nigdy nie wypełniły się normalnie powietrzem, miało też poszerzone serce i zdeformowaną wątrobę.

Myśleliśmy — powiadają zgorzkniali kloniści — że wkrótce uda się wynaleźć uzdrawiające rozwiązanie, tymczasem jednak lawina zwyrodnień narastała. Im więcej prób, tym dłuższa lista anormalności. Cieleta ogromne, o dziwacznie zniekształconych głowach, z językiem wypełniającym cały pysk. Kłopoty z sercem i płucami, źle działające nerki, blokady jelitowe, niewydolność układu odpornościowego, cukrzyca, przykurczone ścięgna, które zamieniają nogi w bezwartościowe kikuty. Nie ma przy tym jednego schematu, który by pozwolił ogarnąć wszystkie te zjawiska. Ich ofiarami stają się nie tylko klony, ale i same krowy nosicielki. Krowa, która wynosiła pierwsze sklonowane ciele, zachorowała po porodzie na ciężki spadek ciśnienia. W innym eksperymencie na dwanaście zastępczych matek cztery zakończyły żywot na skutek komplikacji ciążyowych.

Próby wciąż się powtarza, w nadziei, że klonowanie okaże się nie bardziej narażone na fatalne komplikacje aniżeli sztuczna inseminacja; dane wskazują jednak, że tak nie jest. Sztuczna inseminacja skuteczna jest w czterdziestu procentach, natomiast zaledwie pięć do dziesięciu procent sklonowanych embrionów dochodzi po implantacji do stadium żywego cielęcia. Poronienia i przedwczesne porody zdarzają się bardzo często, a siedemdziesiąt pięć procent cieląt już urodzonych ginie w ciągu dwóch miesięcy.

Nawet te klony, które przeżyły i wyglądają z pozoru zdrowo, okazują się często bombami z czasowym zapalnikiem i kryją w sobie uszkodzenia trudniej wykrywalne. Podczas badań w Cornell University okazało się, że krowie klony mają niższą inteligencję i mniejszą sprawność układu nerwowego aniżeli urodzone normalnie. Co się zaś tyczy klonów u myszy — jeden na trzy wygląda normalnie, ale wszystkie zaczynają potem gwałtownie przybierać na wadze. Są też gatunki, które klonowaniu się opierają. Należą do nich tak zwyczajne, zdawałoby się, zwierzęta, jak psy i koty. Zwolennicy klonowania szukają argumentów obronnych, powołując się na wczesną fazę badań. Ich oponenti replikują, że i tak wiele spośród fatalnych niepowodzeń przemilczano, i deklarują niewiarę w to, aby choć jedno zwierzę wyklonowane mogło dorównać zwyczajnie poczętym.

Nie wiadomo, gdzie się kryje przyczyna opisanych wyżej anomalii. Sceptycy ostrzegają, że najwidoczniej zaważyć tu może najmniejsza choćby nierównowaga przepływu hormonów, białek albo poziomu lipidów. Jedna rzecz jest pewna: klonowanie ludzi wydaje się w tej sytuacji absolutnie niedopuszczalne, pomijając nawet względy czysto etyczne. Badanie wyklonowanych embrionów w celu znalezienia ewentualnych anormalności chromosomów nie zapobiegłoby niebezpieczeństwu wystąpienia patologii. Embrion może wyglądać w sześćdziesiątym dniu ciąży normalnie, a w sześćdziesiątym pierwszym nagle umiera. A klon, który umiera po pięciu dniach życia, może mieć najzupełniej normalne chromosomy i geny. Jak więc — pyta fachowiec — można by w ogóle tę sprawę ruszyć z miejsca, skoro nie wiemy nawet, w którą stronę spojrzeć?

Należałoby tu zamieścić rysunek pokazujący, jak straszliwie splątany jest rybonukleinowy nośnik, który przekazuje od nukleotydów informacje dla syntezy białek. Rozeznąć się w takim kłębkku to rzecz piekielna. Zuchwałość eksperymentatorów zapowiadających rychłe klonowanie człowieka jest groźna, ponieważ nie wszędzie jeszcze wprowadzono wyraźny

zakaz takich działań. Mówiąc brutalnie, wygląda to trochę tak, jakby morderstwa nie wszędzie jeszcze były ścigane prawnie.

Nie weszliśmy na razie na szeroką drogę wszechklonowania. Oczywiście — można klonować, podobnie jak można rzucać granaty. Pamiętać jednak trzeba, że granaty wybuchają.

2001

## Biogenetyczne nadzieje

Czytam anglosaskie pisma z prawdziwego frontu nauki, jak amerykańska „Science”, i poza rozmaitymi niezwykłymi szczegółami dotyczącymi nowych badań i hipotez znajduję tam bardzo ciekawe prognozy, nie mające wcale charakteru wyciągania królika z kapelusza albo wysysania czegoś z palca. Otóż w ciągu najbliższych dwudziestu pięciu lat ludzkość wzrośnie najprawdopodobniej o mniej więcej dwa i pół miliarda; będzie nas prawie dziewięć miliardów. Równocześnie zapotrzebowanie na żywność tak zwanego Trzeciego, rozwijającego się świata ulegnie do roku 2025 podwojeniu. Jednak wzrost nie tylko areału upraw, ale po prostu masy żywnościowej roślinnej i zwierzęcej nie nadąza za przyrostem ludności.

Najnowsze, biogenetycznie udoskonalone rodzaje roślin uprawnych mogą zwiększyć agrarny urobek. Ale na przykład w Brazylii tamtejsi Zieloni zniszczyli wielkie tereny zmodyfikowanych upraw, twierdząc, że są one szkodliwe dla zdrowia. Twierdzenie to jest jednak, przynajmniej na razie, zupełnie gołosłowne. O ile bowiem podczas klonowania ssaków wykryto zakłócenia powodujące fatalne skutki i odstrasżające bardzo od tego typu eksperymentów, zwłaszcza na ludziach, to przy modyfikowaniu pomidorów czy kształtowaniu nowych rodzajów ryżu nic podobnego nie nastąpiło. Zdarzają się co najwyżej paradoksalne i prawnie trudne do rozstrzygnięcia sytuacje. Kiedy na przykład pyłki pochodzące z areału obsadzonego roślinami genetycznie już zmienionymi wiatr przewieje na pole sąsiada, gdzie znajdują się rośliny jeszcze niewinne, to firma, która temu pierwszemu sprzedała biogenetyczne patenty, domaga się zapłaty, jakby to rolnik był winien temu, że wiatr wieje. Podobne rozterki nie wpływają jednak na bezpieczeństwo osób spożywających owe rośliny.

Jednym z najcięższych i najtrudniejszych do rozwiązania problemów ziemskiej kultury agrarnej jest ilość wody słodkiej. Archeolodzy twierdzą teraz, że rzeczywistą przyczyną upadku cywilizacji Majów były długie lata zupełnej suszy. Wody w ogóle mamy aż za dużo: 70 procent kuli ziemskiej pokrywają oceany, ale wypełniająca je słona woda nie nadaje się ani do irygacji, ani tym bardziej do picia.

W wielu okolicach świata brak wody daje się dzisiaj mocno we znaki. Wiele rzek zostało osłabionych bądź powstrzymanych przez budowanie rozmaitych zapór czy zbiorników, 50 procent terenów podmokłych już znikło. Nadmierna eksploatacja zbiorników wody gruntowej sprawia, że poziom wód gruntowych na przykład w niektórych rejonach Meksyku, Indii, Chin oraz Afryki Północnej opada przeciętnie o jeden metr rocznie. Równocześnie wiemy, że pod Saharą kryje się olbrzymi podziemny zbiornik wody słodkiej, nie wykorzystuje się go jednak po prostu dlatego, że dotarcie do tej wody wymagałoby bardzo poważnych inwestycji. Zdumiewa fakt, że wyprodukowanie jednego funta bawełny wymaga siedemnastu tysięcy funtów wody.

Około 40 procent światowej żywności powstaje na glebach sztucznie nawadnianych. Po między wielkimi miastami i przemysłem a rolnictwem toczy się coraz bardziej zaostrzone współzawodnictwo o wodę, przy czym rolnictwo ma w tej rywalizacji zdecydowanie mniej szans — ze względu na koszty. Okazuje się teraz, że przy pomocy kontroli genetycznej można zwiększyć tolerancję niektórych roślin na słabe nawodnienie i stworzyć odmiany, których rozwój nie zostaje przerwany przez — niezbyt długie oczywiście — okresy suszy; byłoby to bardzo korzystne.

Uważa się, że około 40 procent produkcji roślinnej w Trzecim Świecie, a 20 procent tejże produkcji w świecie rozwiniętym pada ofiarą rozmaitych chorób, pasożytów i szkodników. Mniej więcej jedna trzecia strat spowodowana jest przez bakterie, wirusy i grzybice, reszta przez owady. Uczynienie roślin mało wrażliwymi lub wcale niewrażliwymi na tego rodzaju czynniki mogłoby również bardzo poprawić światową sytuację żywnościową.

Krótko mówiąc: wzrost podaży żywności jest mniejszy aniżeli wzrost popytu wywołanego wysoką dzietnością ludzkiej populacji. Biogenetyka, której postępy w dziedzinie klonowania zwierząt, a zwłaszcza ssaków, napawają znacznym lękiem, w dziedzinie agrarnej pokazuje twarz bardziej nam przyjazną.

2001

## Biogenetyczne bitwy

W powstałej kilkadziesiąt lat temu *Podróży XXI Ijona Tichego* pisałem o ontogenezie odwracalnej, czyli o wstrzymywaniu i cofaniu rozwoju płodowego, i o „technologii retroembryonalizacyjnej”. „Ubocznym produktem tej techniki — to już cytat dosłowny — była klonacja, czyli pobudzanie do rozwinięcia się w normalny organizm dowolnych komórek, wziętych z żywego ciała, na przykład z nosa, pięty, nabłonka jamy ustnej itp.”

Dziś mówi się już, i nie jest to science fiction, o cofaniu zróżnicowanej już komórki do stanu embrionalnego. Pojawiło się pojęcie dewolucji; udało się też wyhodować pisklęta kurze, które mają zawiązki ostrokończystych ząbków jak u dinozaurów — bo to faza wcześniejsza, przodkowie ptaków starsi o zaledwie pięćdziesiąt milionów lat...

Największą przeszkodą etyczno-moralną w pracach biogenetycznych, o której się pisze w amerykańskiej prasie naukowej i którą zajmują się kościoły, Papież, a ostatnio także Kongres, jest używanie do doświadczeń komórek embrionalnych, blastocyst czy komórek macierzystych. Jedni wiążą z tymi doświadczeniami wielkie nadzieje na zwalczenie choroby Alzheimera albo cukrzycy, inni protestują przeciw wytwarzaniu, a następnie uśmiercaniu embrionów. Ale ja uważam, że chodzi o pewien etap przejściowy. Cały nasz organizm zbudowany jest z komórek diploidalnych, czyli mających dwa komplety genów, od ojca i od matki. Jeśli odbierze się połowę puli genowej i dokona dewolucji komórki do stanu embrionalnego, to z mięśnia czy z tkanki skórnej można wrócić do tego, co by odpowiadało mniej więcej zygocie, z której organizm powstał. Roboty są dopiero w toku, ale uczeni pracują z dziką dociekliwością. Jeśli rzecz się powiedzie, problem zróżnicowania pomiędzy komórkami naturalnie embrionalnymi i somato-pochodnymi straci znaczenie. Nastąpi zrównanie komórek, którym zawdzięczamy rozmnażanie się, i naszych własnych.



Równocześnie w dużej mierze wyjaśniona została tajemnica nieszczęścia, które trapiło wyklonowane ssaki, takie jak myszy. Okazało się, że tak zwane śmieci genowe, *junk DNA*, stanowią w istocie — to oczywiście gruba przenośnia — coś w rodzaju przełączników, tasterów, uruchamiających ekspresję poszczególnych genów we właściwej kolejności. Podczas manipulacji związanych z procesem klonowania — przenoszenia jąder z komórki do komórki i tak dalej — bezwiednie uszkadzało się mechanizmy niesłychanie subtelne. Jeśli te uszkodzenia nie są zbyt wielkie, organizm ssaków w toku rozwoju płodowego daje sobie z nimi radę — jednak nie zawsze. Przeszkody na drodze klonowania człowieka nadal więc są znaczne, przede wszystkim zaś szturmowanie tej twierdzy wydaje mi się z założenia dosyć bezsensowne. Wyklonowany bliźniak wzięty z mojej tkanki byłby o siedemdziesiąt dziewięć lat młodszy ode mnie i tak samo nie byłby moją dosłowną kontynuacją, jak nią być nie mogą nasze naturalne dzieci.

Słynna Celera, która rozkodowała już ludzki genom, przystąpiła do następnej fazy: bada się tam teraz porównawczo geny szeregu osób, ażeby stwierdzić, gdzie znajdują się takie obszary, które są nośnikami chorób dziedzicznych albo skłonności do tych chorób. Chodzi na przykład o alergię, które jakby zjadają własny ustrój, bo nie potrafią rozpoznać jego identyczności. To tylko jeden z ruchów na ogromnej biogenetycznej szachownicy, kolejne z pół bitewnych ostatnio otwartych. Ci, którzy prowadzą badania, są pełni optymizmu, a równocześnie, jak zawsze, towarzyszą temu głosy ostrzegawcze i pesymistyczne. Uczony nazwiskiem Chargaff już dwadzieścia pięć lat temu ostrzegał przed eksperymentami biogenetycznymi. Mnie się zawsze zdawało, że czas na takie eksperymenty przyjdzie, niestety, nieuchronnie. Obietnice rychłego i ostatecznego zwalczenia raka oraz innych strasznych chorób uważam przy tym za pochopne. Do ich realizacji wciąż daleko, mówi się teraz za to o nowym typie tak zwanej molekularnej farmakodynamiki, o produkowaniu lekarstw na bazie molekularnej, adresowanych do konkretnych organów. Będą one mieć wąską ogniskową, by adresatem danego leku stał się tylko mięsień sercowy albo tylko nerki.

Postępy w dziedzinie genetyki i bioinżynierii idą wykładniczo, co mnie zdumiewa i równocześnie przyprawia o kłopoty: nie zdążę się doczytać jednego, a już za tydzień jesteśmy trochę dalej, tymczasem na biurku rośnie stos pism jeszcze nie otwartych. A „Science” czy „Nature” przynoszą wiadomości ze wszystkich frontów nauki. Ze względu na wysoką złożoność badanych procesów nad każdym takim projektem siedzi kilkanaście albo kilkadziesiąt osób. Charakterystyczne przy tym, że ich nazwiska są rozmaitego brzmienia i pochodzenia; Ameryka stała się wielką pompą, która wciąga uczonych z całego świata. Praca posuwa się żwawo i angażowane są w nią ogromne środki, a jeżeli nawet prezydent Stanów Zjednoczonych odetnie częściowo dopływ federalnych pieniędzy, od razu znajdują się chętni — wielkie konsorcja — by w te badania inwestować, choćby z powodu przeklętego moim zdaniem zwyczaju patentowania fragmentów genomu człowieka.

Czy będą przy tym ludzkie ofiary? Obawiam się, że będą. Ludzkich ofiar na świecie zawsze było strasznie dużo. A mój głos i tak jest jak pisk myszy pod kanapą — nie ma najmniejszego znaczenia.

## *Artificial Intelligence*

Douglas Hofstadter, wraz z grupą fachowców zafascynowanych wysiłkami zmierzającymi do skonstruowania sztucznej inteligencji, napisał książkę, liczącą sobie ponad pięćset stron, którą w miarę dokładnie przekartkowałem. Dzieło to, pełne dogłębnych rozważań, opartych oczywiście na analizie kolosalnej ilości prac usiłujących nadać komputerom zdolności umysłowe człowieka, porządnie mnie zmęczyło. Dlatego, usiłując iść na skróty, skierowałem się od razu do rozdziału ostatniego, licząc na to, że definitywnie, a zarazem jasno przedstawi on szansę naśladowania rozumu w maszynie. Otóż kwintesencja owego opasłego tomu zapowiada wciąż jeszcze bardzo odległą przyszłość, w której umysł kształtowany z elektronowych elementów stanie się właściwie nieodróżnialny od tego zwykłego, jaki mamy w głowach.

Na marginesie owej benedyktyńskiej pracy, która jest właściwie antologią kumulującą dokonania bardzo wielu naukowców, muszę wyznać, że mnie się od dawna już, bo od jakichś czterdziestu lat, wydawało, jaka może być droga w kierunku sztucznego intelektu. Sądziłem mianowicie, że kolejne etapy doprowadzą w końcu do takiej symulacji ducha w maszynie, która będzie coraz trudniej odróżnialna od ludzkich doznań. Mówiąc trochę inaczej, pojawi się niemal styczność myśli żywej i symulowanej, zgodna z generalną tendencją panującą w naszej technologii, która zatrze różnicę pomiędzy tym, co sztuczne, i tym, co naturalne.

Zaprogramowanie komputerom zarówno reguł składniowych, jak i bogatego słownictwa nie nastęrcza już poważniejszych trudności. Niejako równolegle pojawiły się próby publikowania tekstów, jakoby stworzonych przez komputerowe programy. Rzeczywistość jest jednak prozaiczna. Komputer potrafi produkować poprawne formalnie bełkoty, z których człowiek czuwający nad wydrukiem wydobywa jako tako trzymające się kupy zdaniowe całości, niczym rodzynki z zakalca. Charakterystyczna pozostaje i wówczas swego rodzaju bezkierunkowość pseudonarracji, przypominająca pijaka, poruszającego się chwiejnie i bezwładnie. Tego rodzaju teksty, bezdusznie wygadywane przez maszynę i odsiewane wybiórczo przez człowieka, nie posiadają żadnej przewodniej myśli, czy też tylko fabularnego przebiegu. Trochę lepiej ma się rzecz z maszynowymi rysunkami, jak również z fragmentami muzyki, czy wreszcie z dość prostymi matematycznymi dowodami, które udają się niezłe, ponieważ prowadzi je z reguły logicznie i sztywno sformalizowany tryb. To wszystko jednak, co prawdziwie decyduje o naszej umysłowej żywotności, to znaczy cel dyskursu, kierunek myśli, jej znaczeniowa jasność, a przede wszystkim dający się zdefiniować sposób kierowania wolą we wszystkich owych sztucznych produktach, jest nieobecne. Notabene, jest rzeczą charakterystyczną, że już czterdzieści lat temu został uruchomiony program, który naśladował z powodzeniem (nawet dla psychiatrów) typowy sposób myślenia paranoika. Myślenie to bowiem jest niejako silnie ograniczone w swoim rozmachu do właściwego umysłowi choremu monotematycznego ośrodka.

Jeden z pierwszych programów udających rozmówcę ludzkiego, zaprojektowany przez profesora Weizenbauma, a nazwany Eliza, potrafił niezgorzej mieć wielu prosto—dusznych interlokutorów. Chodzi mianowicie o to, że jeżeli ktoś do nas mówi, jesteśmy odruchowo gotowi uznać go za człowieka. Na tym tle powstawać może tak zwany efekt Elizy, który

srowadza się do przypisywania jakiejś, może nie całkiem dającej się pojąć, rozumności frazom właściwie bezrozumnym. Każdy zresztą, kto ma do czynienia z nowoczesnymi tekstami poetyckimi, pozbawionymi wszelkiej koherencji, zalatującymi nie dającymi się ujednoznaczyć asocjacjami, zdaje sobie sprawę z tego, jak żmudny, a nawet bezowocny okazuje się nieraz wysiłek ich zrozumienia. Trochę paradoksalnie zatem człowiek, który nie pozwala tekstowi językowemu prowadzić się niczym prosta droga, mimowolnie nadaje chaotycznym frazom taki sens, jakiego może wcale nie zawierają. Mechaniczne twory mogą sprostać naszym odbiorczym wymaganiom dlatego, że trwa w nas nieuświadomione założenie o ich ludzkim autorstwie. Wskutek tego niezmiernie najeżona przeszkodami problematyka symulacji płodów umysłu rozkłada się nie tylko na stronę bez wątpienia biernej maszyny, ale i na nasz aktywny i nieustający wysiłek zrozumienia wszelkiej, chociażby i najdrobniejszej cząstki świata.

2002

### *Votum separatum*

Książka niniejsza nie może spodobać się wszystkim — jak każda, która bierze na męki aktualnego „ducha epoki”, drwi zeń lub zadaje mu kłopotliwe pytania. Ta seria tekstów, publikowanych przez Lema w kilku czasopismach na przestrzeni ostatnich lat, układa się w parę wyrazistych cykli tematycznych poświęconych polityce, kulturze, nauce, obyczajom i najnowszym perspektywom cywilizacji. Sporo tam prostej informacji, sprawozdań z lektur naukowych czasopism ze świata, ale przeważa coś innego: mocno zaznaczone osobiste emocje i poglądy autora, jego „chcę” lub „nie chcę”, „podziwiam” lub „nie znoszę”, splecione bardzo ściśle z materią referowanej sprawy. Tego rodzaju książki budzą zwykle sprzeczne sądy, są bowiem kreślone grubą kreską, niekoniecznie drobiazgowo w analizie przywoływanych zjawisk, czasami niesprawiedliwe, czasami nieskore do zrozumienia i akceptacji dla nowych prądów w kulturze bądź obyczajach. Podatność na krytykę zwiększa w nich niepomiarne to, co wcześniej budziło podziw: ambicja ogarnięcia Wszystkiego, udzielenia odpowiedzi na większość najważniejszych pytań współczesności. Kiedyś, w klasycznych esejach Lema o perspektywach rozwoju technologii lub o filozofii przypadku, te odpowiedzi projektowały niedosiężną przyszłość — dziś formułowane są w perspektywie doraźnej i dlatego mogą oburzyć wielu ludzi uważających się za ekspertów w poszczególnych specjalnościach, w ramach których Lem się wypowiada.

Ich właśnie niektóre sądy pisarza — np. te o postmodernizmie czy o filozofii Derridy — mogą razić brakiem wyważenia bądź należnej tym otchłannym tematom analitycznej precyzji. Ale wizja tej książki rozszarpywanej przez specjalistów upominających się o więcej uwagi czy zrozumienia dla swych partykularnych problemów bądź oświadczających tonem nie znoszącym sprzeciwu, że ta czy inna sprawa jest „bardziej skomplikowana”, nie budzi mojego entuzjazmu. W myśleniu Lema, jak zawsze, najciekawsze jest to, co się dzieje pomiędzy dyscyplinami, najwartościowszy jest pogląd ogólny i jego ewolucja.

Autor *Dylematów* przychodzi do nas ze świata kultury rządzonej przez uniwersalny Rozum i prawidła moralne, kultury zhierarchizowanej i na wiele sposobów uporządkowanej, kultury,

w której elity różniły się czymś istotnym od mas, a masy elitarność — *nolens volens* — akceptowały, kultury, w której istniała sfera sacrum i strefy obłożone mniej lub bardziej rygorystycznym tabu, kultury wreszcie, w której instancją nadrzędną rządzącą postępowaniem była etyka, oddzielająca to, co szlachetne, od tego, co obrzydliwe, podle czy godne potępienia. W takiej kulturze praca naukowa, odkrywanie nie znanych dotąd praw rządzących naturą i otwieranie przed człowiekiem nowych możliwości działania to były rodzaje aktywności szczególnie mocno uwikłane w etyczne dylematy, boż przecie nowe odkrycie mogło prowadzić do zburzenia moralnego ładu w ludzkim świecie. Lem w ramach takiej kultury był rzecznikiem „trudnego postępu”, optował za nieograniczonym poszukiwaniem (naukowej) prawdy, któremu towarzyszyć miała wszelako zwiększona wrażliwość moralna, obrona etycznej aksjomatyki, która — choć ma charakter w zasadzie arbitralny — jest jednocześnie nieodzownym kościem każdej kultury.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, pojmiemy jednocześnie, skąd bierze się ton zrzędlawy autora tej książki, jego alergiczne reakcje na większość bodaj zjawisk charakterystycznych dla kultury czasów ponowoczesnych. Razi ona autora przede wszystkim dlatego, że dopuściła do rozmycia hierarchii, erozji struktur, zerwania pieczęci chroniących przed zbrukaniem pewne obszary sacrum lub intymności, a do tego osłabiła niemal do zaniku rygory moralne towarzyszące działalności naukowej, nie mówiąc już o kodeksach regulujących postępowanie polityków i innych postaci aktywnych w sferze publicznej.

Lem w swoich esejach nie jest tym razem wizjonerem wychylonym w przyszłość i rysującym obrazy światów możliwych, ale komentatorem zdarzeń zachodzących tu i teraz. Omawia więc najnowsze posunięcia rządów USA czy Rosji, rozważa niezwykle ciekawie konsekwencje ataku terrorystów na Amerykę, wygłasza krytyczne sądy na temat najświeższych dzieł literatury i plastyki, nie pomijając też modnych prądów literaturoznawstwa i filozofii, komentuje z pewną zgrozą schodzenie na psy kultury masowej, czego dowodem zjawiska w rodzaju *reality shows*, dodaje też glosy do najnowszych osiągnięć nauki — szczególnie odkryć z obszaru genetyki, bo one najściślej korespondują z tym, co wydaje się być Lema tematem naczelnym: kwestią ewolucji człowieka jako gatunku i ludzkiej kultury.

Wszystkie te cząstkowe komentarze do zdarzeń najnowszych na co się bowiem składają? Na portret ludzkości w dobie wielkiej przemiany. Brzmi to banalnie: „przemiana” jest zawsze — i zawsze zdaje się nam, że ta aktualnie przeżywana jest jakoś „szczególna”. A przecież ta widziana przez Lema jest naprawdę znamienna o tyle, o ile oznacza odejście w niebyt, ostateczną destrukcję porządku, w jakim wychował się autor *Dylematów* i jaki miał za coś trwałego. W tym sensie wykpiwany przez pisarza niestrudzenie postmodernizm jakoś jednak dał mu do myślenia, zmusił do refleksji nad kruchością norm etyki, estetyki, obyczajowej stosowności. „Żyjemy na początku trzeciego tysiąclecia, tak ponurym, że skłania mnie to do kilku refleksji, przytłaczających wiarę w możliwość wykształcenia w człowieku cnót zgodnych z elementarnym kanonem moralności” — pisze autor na wstępie *Rozważań sylwicznych CVIII*. Tak, ale czy i ten „elementarny kanon” istnieje naprawdę, czy rozleciał się w wyniku postępującej erozji wszystkich bez wyjątku ładów?

Ludziom młodym epoka, w której żyją, zawsze niemal wydaje się jakoś tam znośna, a w każdym razie „normalna” — bo w niej wyrosli. Ci narzekania Lema skłonni będą odbierać

jako typowe dla podeszłego wieku zrządzenie przedstawiciela odchodzącego pokolenia. W narzekanie „starych” warto się jednak czasami wsłuchać, zwłaszcza wtedy, gdy pochodzi od kogoś, kto naszą współczesność ongiś całkiem udanie przewidział i zaprojektował. Pouczające jest tu rozejście się prognoz szczegółowych, dotyczących kierunków rozwoju technologii, nauki, cywilizacji, z czymś, co nazwałbym „projektem ogólnym” kultury, jednoczącym odkrycia i osiągnięcia w sferze materialnej ze spajającymi je systemami wartościowania, wierzeń i obyczajów. Te ostatnie może i dałyby się kiedyś przewidywać, ale umysł wizjonera odrzucał je, usuwał z pola widzenia, ratując ten elementarny optymizm, który zakłada, że z naszymi potomkami będziemy mogli się porozumieć przynajmniej na gruncie wyznawanych wartości — w imię ciągłości ewolucyjnej kultury.

Ten punkt bolesny, międzypokoleniowe nieporozumienie i niepogodzenie, jest czymś godnym dostrzeżenia i analizy, bo ono właśnie jest znakiem rzeczywistej, gruntownej przemiany wszystkiego, co nas otacza, nie tylko w sferze materialnej, ale i w sferze ducha. Dlatego, powtarzam, eseje Lema czytać trzeba nie z perspektywy tej czy owej dyscypliny bądź specjalności, ale jako dość uniwersalny w wymowie akt niezgody na dzisiejsze porządki kogoś, kto ład stojący u podstaw epoki poprzedniej do głębi pojmował.

Czy jednak — przeczytawszy — poddać się czarnowidztwu pisarza? Jest w esejach Lema jeden aspekt mimo wszystko optymistyczny. Przed zmianą politycznego systemu w tej części Europy autor *Dylematów* na tematy aktualne wypowiadał się raczej rzadko — zapewne dlatego, że niezależny publicysta mógł wówczas zaledwie bić głową w mur zbudowany z gazetowych pół- lub ćwierćprawd, do autentycznej rzeczywistości dostępu bronił mu cały system zakłamań i cenzuralnych zapisów. Dziś przynajmniej może pisać i publikować z poczuciem, że choć zmienić biegu zdarzeń nie jest władny, to przynajmniej ma prawo wypowiedzieć swoje *votum separatum* i zostać wysłuchany. A co więcej: że świat, który mu się objawia, nie jest budowaną przez zakłamaną system sztuczną dekoracją, ale zbiorem faktów i zjawisk, który — choć wzbudza abominację — jest jakoś tam prawdziwy i dlatego warto się z nim spierać. To jest owo minimum, którego oczekiwać może od kultury sceptyczny i zgryźliwy Pan Cogito.

Jerzy Jarzębski